

Prof. Zbigniew Ćwiąkański

Dlaczego nowy Kodeks karny jest zły

Prof. Wiesław Łukaszewski

Co to znaczy być sobą

Jak PiS walczy
z Adamem Bodnarem

Nieświęta wojna
o Święty Krzyż

CO UKRYWA BAŁTYK

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



KUP ELEKTRONICZNĄ PRENUMERATĘ

NA SUBSKRYPCJI OSZCZĘDZASZ PRAWIE 60 ZŁ!



Nowy numer już w każdą sobotę

ZAMÓW NA WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL



W PREZENCIE
e-book

CYTATY

AIDAN WHITE,
dziennikarz brytyjski,
przewodniczący Ethical
Journalism Network
*Skoro państwo
subwencjonuje balet i operę,
to dlaczego nie miałyby
wspierać rzetelnego
dziennikarstwa?*
„Forum”

PROF. JAN ZIELONKA,
Uniwersytet w Oksfordzie
*Większość obecnych
zagrożeń nie uznaje granic.
Skuteczna władza publiczna
powinna być ponadczasowa.*
„Rzeczpospolita”

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawniczka, UW
*Episkopat doskonale
dogadywał się z władzami
PRL. Dowodem jest choćby
liczba nowych kościołów.
W 1945 r. było ich 7555,
a w 1989 r. aż 9358.*
„Fakty i Mity”

TOMASZ RACZEK,
pierwszy redaktor naczelny
polskiej edycji „Playboya”
*Nie lubię badań
czytelnictwa, nie wierzę im.
Wolę opierać się na intuicji.*
„Playboy”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Remontować czy zburzyć

Pokaz bezczelności, z jaką wszystkie programy TVP i większość programów Polskiego Radia odrzuciły standardy mediów publicznych, wprowadził w osłupienie opozycję, opiniotwórcze media, środowiska liberalne i artystyczne. Po 1989 r. było pod adresem tych mediów coraz więcej pretensji. I to uzasadnionych. Bo po kolejnych wyborach zwycięzcy rozpychali się coraz bardziej. A media publiczne były coraz słabsze. I coraz gorzej reprezentowały suwerena. Partie polityczne kierowały do zarządzania TVP ludzi mających przede wszystkim dbać o interesy władzy. Społegliwych urzędników, którzy choć zapisali w życiorysach pracę w mediach, to w przypadku konfliktu między interesem publicznym a partyjnym wiedzieli, kto ich powołał. I kto może ich łatwo odwołać.

Przez prawie 30 lat nie udało się w Polsce przygotować nawet koncepcji spójnego modelu mediów publicznych. Modelu, który jasno by określał ich obowiązki i zadania wobec obywateli i państwa. By faktycznie media mogły być czwartą władzą. Nie odpowiedziano na trzy proste pytania. Dlaczego właśnie media publiczne? Kto ma nimi zarządzać i w jakim trybie będzie powoływany? Kto ma je finansować?

Jeśli media publiczne mamy traktować serio, także jako trampolinę podnoszącą na wyższy poziom dziennikarstwo, to musimy ich funkcjonowanie tak zabezpieczyć ustrojowo, by nie mogła go rozwalić zwykła większość sejmowa. Trzeba też z góry założyć, że naprawa tego, co dziś jest w tak marnym stanie, musi być długim procesem. Trzeba więc stabilności i cierpliwości, pluralizmu i kompromisów.

Informacja, że w PO pracuje zespół, który ma posprzątać po Jacku Kurskim, i że w jego składzie są ci, którzy w czasie ośmioletnich rządów odpowiadali za media, jest twardym dowodem na to, że bezczelność polityków może nie mieć granic. To, że PiS zrobiło z mediów publicznych ich karykaturę i bardzo prymitywną, choć skuteczną, machinę do walki z przeciwnikami, nie zmienia przecież faktu, że lata rządów PO i PSL w tych mediach doprowadziły je do głębokiego kryzysu. Nepotyzm, leasingowanie pracowników, których później wywalono na bruk, walka Tuska z abonamentem to tylko część ówczesnego dbania o misję i zasady. Dajcie więc wreszcie spokój telewizjom i słuchaczom. Do sprzątania i po was, i oczywiście jeszcze bardziej po PiS, trzeba innych głów. Innych koncepcji i pomysłów.

SZUKAMY ZDJĘĆ

Drodzy Czytelnicy,
pracujemy nad serią książek
„Polska Rzeczywiście Ludowa”.
Chcemy pokazać, jak naprawdę
było w latach 1944-1989. Czas
na taki bilans. Bez politycznej
zaciekłości i kłamstw IPN.

Jeżeli macie zdjęcia z tego
okresu, prosimy o przysłanie
ich wraz z opisem. Najlepsze
znajdą się w książkach.

**Pierwsza ukaże się
w lipcu!**

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prawny populizm**
– rozmowa
z prof. Zbigniewem Ćwiąkałskim
- 14 Nieświęta wojna o Święty Krzyż**
Rząd chce się przypodobać zakonnikom
- 18 Co ukrywa Bałtyk**
Raport o stanie morza
- 50 Łódka sobie poradzi**
– rozmowa z Joanną Pajkowską
- 58 Jak sypał gang „Klapy”**
Kulisy śledztw CBS

PUBLICYSTYKA

- 10 Państwo na rozkaz**
czy państwo prawa i procedur
Jak PiS walczy z Adamem Bodnarem
- 23 Andrzej Walicki**
O Rosji inaczej

ZAGRANICA

- 24 Studenci zadłużeni na wieczność**
Korespondencja z USA
- 28 Autokratów lęk przed akademią**
Władze neutralizują ośrodki naukowe
- 54 Wszyscy jesteśmy ofiarami**
Młodzi rekruci FARC

PSYCHOLOGIA

- 32 Co to znaczy być sobą**
– rozmowa
z prof. Wiesławem Łukaszewskim

HISTORIA

- 36 Bohaterowie z „czerwonego afisza”**
Polacy we francuskim ruchu oporu
- 39 Gorące lata Gomułki**
Książka Zbigniewa Siemiątkowskiego

OPINIE

- 40 Andrzej Gierach**
Kankan na lotniskowcu

KULTURA

- 42 Lewica musi pozwolić sobie na drybling**
– rozmowa z Pawłem Mościckim
- 46 Kulturalia**
- 66 Wyspy morza Tawhaki**

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 48 Pracodawcy blokują związki**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Remontować czy zburzyć
- 13 Jan Widacki**
Długi marsz
- 31 Roman Kurkiewicz**
Barwy autorytarne
- 35 Tomasz Jastrun**
Czarne widzenie
- 45 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Chuck Norris mojego kręgosłupa
- 49 Edward Mikołajczyk**
Tubnięci



24
ZAGRANICA

STUDENCI ZADŁUŻENI NA WIECZNOŚĆ

Korespondencja z USA



42
KULTURA

LEWICA MUSI POZWOLIĆ SOBIE NA DRYBLING

– rozmowa z Pawłem Mościckim



50
KRAJ

ŁÓDKA SOBIE PORADZI

– rozmowa z Joanną Pajkowską

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EAST NEWS



Noteć wysycha,
jeziora się kurczą

**Prof. Szymon
Rudnicki**

Od Falangi do dzisiejszych
narodowców

**Aleksandra
Hamkało**

Albo mnie kochają,
albo nienawidzą



Zachcianka za prawie miliard

Tak, jasne, odbudować pałac Saski. Po co unowocześniać czy budować szpitale? Lepiej trzasnąć nikomu niepotrzebną skamielinę przeszłości.

Ula Górską

No to rozwalmy Zamek Królewski w Warszawie. To też „skamielina”. Sprawie odbudowy pałacu Saskiego miesięcznik „Skarpa Warszawska” poświęcił numer kwietniowy z 2018 r. I są tam logiczne argumenty za odbudową, sięgające jeszcze lat 50. Nie mają nic wspólnego z PiS. Im bardziej w ten pomysł będziemy walić jak w bęben, tym bardziej „dobra zmiana” się zatnie i pałac Saski postawi. Co mnie akurat by odpowiadało.

Marek Rezler

W przeciwieństwie do pałacu Saskiego Zamek Królewski był i arcydziełem architektury, i ważnym dla historii państwowości budynkiem. Jak kiedyś pisał historyk architektury Nikolaus Pevsner: „Zwykła szopa i katedra gotycka są budynkami, ale to katedra gotycka jest architekturą”. Pałac Saski to taka wielka szopa, na dodatek strasznie brzydka. Dlatego nie odbudowano go po II wojnie światowej.

Olaf Nowaczyk



Chcą pokazać swój związek ze szlachtą i hierarchią, skończą tak samo jak szlachta. Pytanie tylko, jaką część społeczeństwa pociągną za sobą.

Piotrek Urbański

Sama odbudowa obu zniszczonych pałaców – Saskiego i Brühla – wydaje mi się nawet fajnym pomysłem, ale w momencie, gdy brakuje środków na finansowanie opieki zdrowotnej, terapii onkologicznych, inwestycji proekologicznych czy modernizację sił zbrojnych, a gigantyczne transfery socjalne pochodzą z kredytowania, należy przesunąć ją na później. Rząd chce nas przekonać, że tych wszystkich problemów nie ma, za to koniecznie musimy mieć pałac Saski. Nie jestem przeciwny odbudowie, mówię tylko: najpierw to, co najważniejsze z punktu widzenia zdrowia i bezpieczeństwa społeczeństwa, a symbole – w drugiej kolejności.

Michał A. Redzko

Koszarowy blok bez cienia urody, inwencji i pomysłu. Może odbudować sławki, bo to kawał historii? Nie ma już architektów z ciekawymi pomysłami, projektami. Martyrologiczne podejście do wszystkiego musi zastępować nowoczesne myślenie? Odbudowywać wszystko, co było kiedyś. Może wrócić do dorożek? Nie budować wieżowców, tylko odbudować przedwojenne rudery?

Marek Adam Szklarz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jedzenie lepiej smakuje w dobrym towarzystwie – Sudańczycy dzielą się posiłkiem na pływającej wyspy Tuti, gdzie łączą się Błękitny i Biały Nil.





PYTANIE TYGODNIA

Czy fałszowanie historii jest dziś przepustką do władzy?

PROF. MICHAŁ ŚLIWA,

politolog i historyk, UP w Krakowie

Każda jednostka i grupa, by ugruntować swoją pozycję, odwołuje się do przeszłości. Stąd wynika odwieczna pokusa fałszowania jej obrazu, by dostosować go do swoich potrzeb. Historia jest jedną wielką wypożyczalnią kostiumów, dobieranych w zależności od tego, jakie mamy aspiracje i ambicje, jak chcemy się legitymizować w teraźniejszości. Z przykrością trzeba powiedzieć, że dotyczy to szczególnie polityków, którzy manipulując faktami historycznymi i ich oceną, próbują zyskać poparcie. Szczególnie nam, Polakom, przedstawia się obecnie wyimaginowane wizje przeszłości, czego przykładem jest eksponowanie wyidealizowanych wyobrażeń o „żołnierzach niezłomnych”.

WIESŁAW GAŁĄZKA,

dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

W krajach cywilizowanych polityka historyczna służy raczej wyciąganiu wniosków z przeszłości. U nas – podrabianiu przeszłości w celu wzmocnienia teraźniejszości i przygotowania obywateli na przyszłość, a przynajmniej tak to przedstawia obecna ekipa rządząca. O ile jednak można się zgodzić z Hitlerem, że do-

bre kłamstwo jest jak magiczne zaklęcie, o tyle w epoce internetu niektóre rodzaje kłamstw historycznych są łatwo wykrywalne i posługujący się nimi podejmują pewne ryzyko. W polskim kontekście tak postrzegam próby fałszowania historii Solidarności oraz Armii Krajowej i „żołnierzy wyklętych”. Sposób myślenia większości członków AK, formacji kojarzonej z inteligencją, nie pasowałby do idei głoszonych przez obecną władzę, która stara się pokazywać swoim wyborcom inne wzorce osobowe.

DR MIKOŁAJ MIROWSKI,

Muzeum Historii Polski

W każdych czasach umiejętne tworzenie opowieści o przeszłości może być istotnym czynnikiem w walce politycznej. Wydaje mi się jednak, że wybory wygrywa się przede wszystkim obietnicami „tu i teraz”, a przeszłość jest raczej wykorzystywana do późniejszego legitymizowania zdobytej władzy lub do tworzenia wokół niej korzystnej aury. Sanacja uzasadniała swoją rolę w polityce czynem legionowym, komunizm – reformą rolną i walką z analfabetyzmem. William Faulkner słusznie kiedyś powiedział, że „nic nigdy nie zdarza się tylko jeden raz i nic nigdy nie

jest ostatecznie skończone”. Podobnie jest z interpretacją przeszłości, która nigdy się nie kończy, ale mam wrażenie, że fałszowanie jej w wulgarny sposób ostatecznie okazuje się przeciwnie skuteczne. Efektywna polityka historyczna musi być zakorzeniona społecznie, co jedynie do pewnego stopnia można kreować. Odgórne dekretywanie historii na dłuższą metę musi zakończyć się fiaskiem.

ANDRZEJ B. IZDEBSKI,

czytelnik PRZEGŁĄDU



Dziś? To znaczy od kiedy? Przyjąłbym, że „od zawsze”. Natomiast walka o taką wiedzę historyczną i takie rozumienie historii, które pozwalałyby całkowicie zdewaluować poprzedni ustrój i jego dorobek, dając przy tym legitymację do sprawowania władzy nowej ekipie, rozpoczęła się natychmiast po przejęciu władzy w 1989 r. i z różnym nasileniem trwa do dziś. Nie do przecenienia jest w tym kontekście dorobek wydawniczy PRZEGŁĄDU, odklamający czasy PRL. Gdy zostanie przywrócona normalność, będzie do czego się odwoływać, a i dziś ludzie chcący samodzielnie myśleć i oceniać mają do czego sięgać.

Not. Michał Sobczyk

Prawny populizm

W ustawie zmieniającej Kodeks karny nie ma nic o wychowywaniu skazanego ani o chęci przywrócenia go społeczeństwu

Rozmawia Leszek Konarski

Prezydent Andrzej Duda podjął w ostatni piątek decyzję o skierowaniu przedłożonej mu przez parlament Ustawy Kodeks karny do Trybunału Konstytucyjnego. Czy będąc ministrem sprawiedliwości, myślał pan o zaostrzeniu kar dla przestępców?

– Nigdy o tym nie myślałem jako o głównym celu, bo w dzisiejszym świecie podejście do sposobów wykonywania kary pozbawienia wolności jest zupełnie inne. Wszyscy kryminolodzy potwierdzą, że ten najprostszy sposób zwalczania przestępczości poprzez podnoszenie kar jest zwyczajnie nieskuteczny. Radykalne zaostrzanie kar przestępczości nie zmniejsza! To jest przykład bardzo populistycznego myślenia.

Gdzie jeszcze na świecie tak myślą?

– Nie powiem. Dzieje się tak w krajach o ustroju autorytarnym, gdzie władza robi, co chce, karze za byle co i myśli, że zlikwiduje przestępczość. A przecież nadal są tam mordercy, gwałciciele czy złodzieje. Przestępczość nie zmniejszy się poprzez zaostrzenie kar, bo sprawcy nie kierują się tym, jakie są ustawowe zagrożenia i co ich czeka za konkretne przestępstwa, nie mają przy sobie Kodeksu karnego. O tym zaczynają myśleć dopiero po popełnieniu przestępstwa. W cywilizowanym świecie przestępczość zmniejsza się nie w związku z surowością sądów, ale wobec poczucia nieuchronności kary. Zresztą od wielu lat przestępczość w Polsce maleje. Nasz rząd rzucił takie bardzo chwytliwe dla



PROF. ZBIGNIEW ĆWIAKAŁSKI

– prawnik, były minister sprawiedliwości i prokurator generalny w latach 2007-2009

niektórych hasło: jak będą surowe kary dla przestępców, będziemy się czuli bezpiecznie. Ludzie to kupili, bo przecież każdy z nas chciałby żyć w bezpiecznym kraju. Nic bardziej błędnego.

Może minister Ziobro myśli, że dłuższy pobyt w więzieniu zwiększy efekty resocjalizacyjne, będzie większa możliwość powrotu skazanego do społeczeństwa i naprawienia błędów?

– Jaka resocjalizacja? W nowej ustawie przedstawionej prezyden-

towi nie ma nic o wychowywaniu skazanego ani o chęci przywrócenia go społeczeństwu. Dokonanie zmian w treści art. 53 pkt 1 to prawdziwy skandal. W dotychczasowym Kodeksie karnym było napisane, że przy wymierzaniu kary sąd powinien wziąć pod uwagę „cele zapobiegawcze i wychowawcze, które ma osiągnąć w stosunku do skazanego, a także potrzeby w zakresie kształtowania świadomości prawnej społeczeństwa”. W znowelizowanej ustawie zostało wykreślone słowo „wychowawcze” i jest tylko, że kara ma spełniać „cele zapobiegawcze, które ma osiągnąć w stosunku do skazanego”. Ani słowa o chęci resocjalizacji. To ustawa wyłącznie represyjna. A przecież nie każdy więzień jest zdemoralizowany. Potrzebna jest praca ze skazanymi, aby po zakończeniu kary powrócili do społeczeństwa i więcej nie robili tego, za co zostali skazani. O tym nic się nie mówi. Tylko o środku zapobiegawczym w postaci izolacji.

W zakładach karnych nie będzie wychowawców?

Zbigniew Ćwiąkałski – (ur. w 1950 r. w Łańcucie) prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, polityk, adwokat, w latach 2007-2009 w rządzie Donalda Tuska minister sprawiedliwości i prokurator generalny.

– Może niewielu ich będzie. Teraz już mamy ogromne braki kadrowe w służbie więziennej, a co się stanie, gdy w sposób lawinowy przybędzie skazanych? Już dzisiaj ok. 20 tys. osób nie odbywa kary pozbawienia wolności, mimo że została ona prawomocnie orzeczona. To gdzie ich umieścimy, jeżeli wydłużą się wszystkie kary w stosunku do nowych sprawców przestępstw? Dojdą też ci, którym nowa ustawa ograniczy kary wolnościowe. Jeżeli teraz bardzo

A skazani na bezwzględne dożywocie już nigdy z więzienia nie wyjdą.

– To przykład niestosowania się do europejskich standardów. Jestem przekonany, że to niezgodne z orzeczeniami Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości i Polska będzie miała kolejne problemy w Luksemburgu. A skoro rządzący często odwołują się do katolickości Polski, to trzeba zauważyć, że taka kara jest zdecydowanie sprzeczna ze stanowiskiem papieża Franciszka.

Ustawa zmieniająca Kodeks karny jest wyłącznie represyjna. A przecież nie każdy więzień jest zdemoralizowany.

często nie mamy zachowanych nawet tych 3 m kw. na skazanego, to wiadomo, że warunki w więzieniach bardzo się pogorszą.

Trzeba będzie budować nowe więzienia?

– I to dużo. Nikt nie myśli o kosztach, jakie spowoduje nowelizacja Kodeksu karnego. Potrzebnych też będzie dużo nowych funkcjonariuszy do pilnowania skazanych.

Niektórzy pójść siedzieć nawet na 30 lat.

– To właśnie przykład prawa represyjnego. W pierwszym projekcie przygotowanym przez Ministerstwo Sprawiedliwości, który w styczniu tego roku został opublikowany na stronach internetowych Rządowego Centrum Legislacyjnego, była zapisana kara terminowa do 20 lat pozbawienia wolności zamiast dotychczasowej do 15 lat. Po aferze pedofilskiej dorzucono jeszcze 10 lat i taką poprawkę naniesiono, a parlament ją zatwierdził. Gdyby dodano jeszcze 20 lat, Sejm też by to uchwalił.

Więzienia zapełnią też młodociani przestępcy.

– Dotychczas nieletniego można było skazać na maksimum dwie trzecie kary przewidzianej dla osoby dorosłej. Teraz tacy przestępcy mają odpowiadać tak jak inni i w więzieniach będzie dochodziło do ich trwałej demoralizacji. Zamiast miejscami resocjalizacji więzienia staną się fabrykami młodych przestępców.

Jakie zdanie na temat tych zmian mają sędziowie?

– Może dojść do totalnego chaosu. Będą problemy z wymierzaniem kary łącznej, zmieni się właściwość sądów i akta będą przesyłane

o tym, co się stanie, gdy kogoś skazano przed wejściem w życie ustawy i po wejściu. Takich uchybień w tych przepisach jest bardzo dużo.

O tych wszystkich sprawach jest mowa w pismach skierowanych do prezydenta przez wybitnych prawników. Dlaczego ta ustawa nie była konsultowana ze środowiskiem prawniczym?

– Władze państwowe i Ministerstwo Sprawiedliwości są niechętnie takim konsultacjom, bo uważają, że wszystko, co robią, jest doskonałe i nie wymaga dyskusji. Konsultacje z ludźmi z ulicy byłyby z pewnością sukcesem rządu, bo sporo Polaków uważa, że więźniowie powinni siedzieć w kazamatach, mokrych piwnicach, przykuci łańcuchami do ścian, a wokół nich mają biegać myszy i szczury. Pan prezydent Duda dobrze się orientuje, że ludzie z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy podpisali opinię na temat tych zmian, to znawcy prawa karnego, różni pod względem wieku i doświadczenia, od adiunktów po emerytowanych profesorów. Prezydent zna większość osób i musi wiedzieć, że mają rację, pisząc, że ustawa jest zła.

A może są jakieś dobre zmiany w Kodeksie karnym?

– Takie też są, ale dotyczą spraw mniej istotnych. Bardzo pozytywnie

Więzienia staną się fabrykami młodych przestępców.

od sądu do sądu. A gdy zmienia się właściwość sądu, to nawet gdyby sprawa była na ukończeniu, trzeba będzie ją prowadzić od nowa. Nie ma odpowiednich przepisów przejściowych, które by to regulowały. Nie ma przepisów mówiących

oceniam możliwość karania za kradzież tablic rejestracyjnych czy przekręcanie liczników samochodowych. Dobry jest przepis, który mówi, że kierowca po spowodowaniu wypadku będzie musiał doczekać badania w celu ustalenia, czy w jego organizmie nie ma alkoholu lub innego środka podobnie działającego. W tej chwili pijani kierowcy, którzy oddalili się z miejsca wypadku, tłumaczą się, że byli tak zdenerwowani, że musieli się napić.

A jaka, pana zdaniem, może być decyzja Trybunału Konstytucyjnego?

– Trybunał mamy taki, jaki mamy, i nie wiem, czy można liczyć na poważne zastanowienie się nad tymi zmianami. Trybunał może sprawę rozpatrzyć błyskawicznie lub starać się ją przetrzymać do następnej okazji, bo najważniejsza będzie tu wola polityczna. ■

PAPIEŻ FRANCISZEK O KARZE ŚMIERCI

Papież bardzo stanowczo potępił karę dożywotniego pozbawienia wolności, uznając ją za „ukrytą karę śmierci”, bo ta kara „nie tylko pozbawia winnego wolności, lecz także usuwa go nadziei”. Potwierdzeniem stanowiska Franciszka wobec kary dożywotniego więzienia było zniesienie tej kary w Kodeksie Watykańskim i zastąpienie jej karą więzienia od 30 do 35 lat. Papieska decyzja zainspirowała debatę na całym świecie (poza Polską) na temat zniesienia tej kary.

W czasie wizyty w zakładzie karnym w Iserni papież powiedział: „Niektórzy myślą: Nie, nie, trzeba mocniej karać, więcej lat, dłużej! To niczego nie rozwiązuje, niczego! Zamykanie ludzi w klatce – wybaczone mi to słowo – tylko dlatego, że jeśli są w zamknięciu, my czujemy się bezpieczni, niczemu nie służy”. („L'Osservatore Romano”, wydanie polskie, 2014, nr 7).

Państwo na rozkaz czy państwo prawa i procedur

Oskarżony o zamordowanie Kristiny Jakub A. chodził w koszulce z napisem „Polscy patrioci”

Robert Walenciak

Na liście wrogów PiS może nie jest na pierwszym miejscu (kto prześcignie Tuska?), ale na pewno plasuje się w gronie najbardziej znieprawdopodobnych. Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich.

W ostatnich dniach mieliśmy festiwal wyzwisk i oskarżeń pod jego adresem. TVP Jacka Kurskiego, ważni politycy PiS, z premierem i marszałkiem Senatu włącznie, pravicowi blogerzy, wszyscy dzień w dzień atakowali rzecznika. Powód ataku – to pretekst. Choć wiele mówi o PiS i rysuje główne osie podziału w Polsce.

Policja dzielna inaczej

Mrowiny. W tej miejscowości zamordowana została 10-letnia Kristina, zakłuta wieloma ciosami ostrym narzędziem. Policji w stosunkowo krótkim czasie udało się wytypować osobę, która mogła być mordercą. To 22-letni student, zaprzyjaźniony z matką Kristiny.

Policjanci weszli więc do jego domu, tam go zatrzymali. I o to wejście wybuchła awantura. Policja pochwaliała się akcją, przekazując mediom nagrany przez funkcjonariuszy filmik. Zobaczyliśmy na nim uzbrojonych po zęby policjantów, którzy rzucają na ziemię chłopaka w majtkach, skuwają mu ręce i nogi i wloką na przesłuchanie.

Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur, ciało funkcjonujące przy Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, wydał w tej sprawie oświadczenie. Czytamy w nim, że „zatrzymany nie stawiał oporu”, dlatego „nie były potrzebne kajdanki zespolone ani chwyt obezwładniający”. „Za niedopuszczalne należy uznać wyprośowanie zatrzymanego z budynku boso i niekompletnie ubranego,

a następnie pozostawienie zatrzymanego w takim stanie w czasie wykonywania czynności procesowych. Takie zachowanie narusza godność zatrzymanego i stanowi pogwałcenie praw”. W oświadczeniu czytamy też, że „użyte przez policję środki wydają się w tym przypadku nieproporcjonalne i mają charakter pokazowy, stanowiący przykład manifestacji siły państwa wobec jednostki, do którego nie powinno dojść w demokratycznym państwie prawa”.

I jeszcze jedno – KMPT dodał, że z policji wypłynęło zrobione podczas przesłuchania zdjęcie zatrzymanego, na którym widać jego twarz, oraz nazwisko i link do konta na profilu społecznościowym.

Media odważne inaczej

To oświadczenie stało się punktem wyjścia do skierowanej przeciwko Bodnarowi kampanii. Na pierwszej linii stanęły „Wiadomości” TVP, które regularnie, dzień po dniu, go atakowały. Za to, że ujął się za zatrzymanym. Materiałom towarzyszyły teksty

„Wiadomości” TVP regularnie, dzień po dniu, atakowały rzecznika praw obywatelskich.

na paskach: „W obronie interesów mordercy?”, „W czym interesie działa Adam Bodnar?”, „Podwójne standardy rzecznika Bodnara”, „Bodnar broni interesów mordercy dziecka?”.

Telewizja wysłała do Mrowin reportera, który pytał mieszkańców, co sądzą o oświadczeniu Bodnara. Mówili również policjanci, oburzeni, że rzecznik nie docenia ich ciężkiej pracy, że się czepia.

TVP otworzyła też nowy wątek – publikując materiał o 14-letnim synu rzecznika. Ujawniła, że był on w grupie wyłudzącej od innych uczniów pieniądze.

Swoje dorzucali politycy. „Wyowiedź Adama Bodnara na temat zatrzymania Jakuba A. to jest świat postawiony na głowie – lamentował premier Mateusz Morawiecki. – Powinniśmy chronić słabszych, a nieobliczalny morderca musi być jak najszybciej unieszkodliwiony. Dziękuję policji i prokuratorom za profesjonalne działanie”.

Natomiast marszałek Senatu Stanisław Karczewski oceniał, że wyowiedź Bodnara jest „irytująca” i „wszystko przykrywa”, dlatego że „nie rozmawia się o tragedii, do jakiej doszło, ale o prawach jej sprawcy”. I w ogóle Adam Bodnar „powinien się wreszcie dla świętego spokoju podać do dymisji”.

Oto więc propozycja nie do odrzucenia – wystarczy, że rzecznik poda się do dymisji, a wtedy ustaną ataki i na niego, i na jego dziecko.

W ten sposób wyszło szydło z worka. Dowiedzieliśmy się, czego PiS oczekuje od rzecznika. Hejt na Bodnara jest po to, by maksymalnie go osłabić, zdyskredytować. By nikt jego słów nie traktował

poważnie. Żeby zniszczyć jego wizerunek, by odebrane zostało mu publiczne zaufanie. Żeby siedział jak mysz pod miotłą.

Tak PiS działa od lat. Przecież Bodnar nie jest pierwszym, którego załata fala prawicowej nienawiści. Dobrze zorganizowanej. Jednych ta fala utopiła, drugim uprzykrzyła życie. Z tarczą wyszli z tej próby Jerzy Owsiak, Donald Tusk, Andrzej Rzepliński, Adam Michnik, Agnieszka Holland, Małgorzata Gersdorf... Przypomnijmy sobie, co prawicowe szczujnie na ich temat wypisywały i wygadywały. No i pamiętajmy, że



gdzieś po drodze poległ Mateusz Kijowski czy Ryszard Petru.

Wielka sztuka hejtu

Z tego punktu widzenia sprawa ataków na Adama Bodnara dzieli Polskę na dwie części. Na Polskę hejtu i rozprawy z wrogami partii rządzącej oraz Polskę spokojnej dyskusji. Tu nie ma równowagi, nie ma sytuacji, że naprzeciw siebie stoją dwie równorzędne armie. Po jednej stronie mamy zastępy oddanych PiS trolli, którzy działają bez żadnych zahamowań, po drugiej – inteligenckie dzielenie włosów na czworo. Sprawa Jakuba A. jest tego dobrym przykładem. Przecież jeszcze zanim postawiono mu jakiegokolwiek zarzuty, już go skazano i nazwano mordercą i bandziorem. Chociaż mało kto cokolwiek o nim wiedział. Z drugiej strony ktoś z policji ujawnił jego konto na profilu społecznościowym. Tam mogliśmy go zobaczyć w czarnej koszulce z napisem „Polscy patrioci”.

I teraz wyobraźmy sobie, co by było, gdyby Jakub A. miał na sobie koszulkę ze słowem „Wiosna”. Albo z wymalowaną tęczą. Ale to był napis „Polscy patrioci”, czego ta druga strona, bliska Bodnarowi, nie wykorzystała. Czy tylko dlatego, że lewica nie ma

– w przeciwieństwie do PiS – swojej armii trolli, czy raczej dlatego, że te metody walki politycznej w ogóle nie przychodzą jej do głowy?

A przecież można śmiało zakładać, że gdyby wybuchł hejt, że oto „polski patriota” morduje polskie dzieci, druga strona nawoływałaby do spokoju i rozważa. Tak jak nawoływała, gdy okazało się, że Stefan W., zabójca prezydenta Adamowicza, chciał się zemścić na Platformie.

Marszałek Stanisław Karczewski stwierdził, że Adam Bodnar „powinien się wreszcie dla świętego spokoju podać do dymisji”.

Tymczasem zamiast oskarżeń „o koszulkę” mieliśmy wykład o prawach człowieka i ludzkiej godności. Błąd? Tak bym tego nie nazwał.

Jaka Polska?

Obecna wojna PiS z Adamem Bodnarem ma jeszcze inny aspekt, którego jej główni aktorzy być może nawet sobie nie uświadamiają. Otóż jest to zderzenie dwóch wizji państwa. Państwa procedur i państwa gniewu ludu.

PiS prezentuje państwo gniewu ludu, to model najbliższy Jarosławowi Kaczyńskiemu. Odnoszę wra-

żenie, że on innej polityki prowadzić nie chce i chyba nie potrafi. Kaczyński zawsze wskazuje wroga; to on decyduje, kto jest tym wrogiem, i do walki z nim mobilizuje lud. W tę machinę mobilizacji zaangażowany jest aparat państwa, aparat partii rządzącej i rządowo-partyjni dziennikarze.

Ta machina jest totalna. Nagle wszyscy związani z PiS – politycy, publicyści – zaczynają jak jeden mąż powtarzać oskarżenia. A różne związane z PiS służby (także medialne) zajmują się grzebaniem w życiorysie wroga ludu i szukaniem na niego haków. To jest państwo na rozkaz.

Jego istotnym elementem jest aparat przymusu, więc wszyscy w PiS jak najcieplej mówią o policji i prokuraturze. Widzieliśmy to po oświadczeniu Bodnara. Telewizja publiczna natychmiast dała głos przedstawicielom policji, którzy reagowali oburzeniem – przecież policja się starała, przecież złapała mordercę, więc o co chodzi? Co to za krytyka? Dlaczego Bodnar tak się wstawia za przestępcą? To nie wie, kto jest dobry, a kto zły?

Jak te pretensje ocenić? Rzecznik praw obywatelskich przecież nie krytykował policji za to, że namierzyła i zatrzymała podejrzaną osobę. Chodziło mu o szopkę propagandową, którą urządzono przy tej okazji. O pokazywanie, jak grupa policjantów w hełmach, kamizelkach kuloodpornych, z długą bronią zdobywa dom, w którym mieszkał Jakub A. Jak go zatrzymują, rzucają na podłogę,

a na końcu prowadzą, skutego kajdankami, bez spodni, bez butów. Do tego był jeszcze przeciek do mediów społecznościowych, gdzie pokazano jego twarz i nazwisko. Przepraszam, jakim prawem zdjęcia z komendy (prokuratury?) trafiły do sieci? Co to za policja?

Bodnar wystąpił więc nie jako rzecznik praw bandyty – co mu zarzucano – ale jako rzecznik normalnie działającego państwa, które nie musi grać na prymitywnych instynktach, tylko działa według prawa i procedur.

Przecież na kilometr widać, że ci uzbrojeni po zęby policjanci, którzy przyszli zatrzymać Jakuba A., tylko

► sobie przeszkadzali, nie mieścili się w pokojach, na schodach... Że nie było potrzeby skuwania mu nóg, że można było pozwolić mu się ubrać. Po co więc ta przesada? Bo nagrywała kamera?

Krótką pamięć policji

Miejmy świadomość, że zatrzymany w sprawie morderstwa Kristiny to człowiek, któremu w tamtym momencie nie postawiono nawet zarzutów prokuratorskich. Dziś je ma, sąd zdecydował o jego aresztowaniu. On sam się przyznał, że zabił. Ale do momentu prawomocnego orzeczenia sądu nie można go nazywać przestępcą. To abecadło cywilizowanego świata. I mamy dziesiątki przykładów potwierdzających, że te zasady są słuszne.

Dolnośląscy policjanci i prokuratorzy powinni mieć w pamięci przypadek Tomasza Komendy, zatrzymanego i skazanego za zbrodnię, której nie popełnił. Wtedy 15-letnia dziewczynka została brutalnie zgwałcona, a potem konana przez kilka godzin w śniegu, na mrozie. Wówczas też wszyscy wołali, że trzeba złapać winnych i ukarać. No i zamiast prawdziwych sprawców gwałtu i morderstwa przed sądem postawiono niewinnego Tomasza Komendę. Nastroj również był wtedy taki, że oto dzielna policja złapała bandytę. I wszyscy go za takiego uważali: dziennikarze, policjanci, inni więźniowie... Czy ta sprawa niczego nas nie nauczyła? Przynajmniej pewnej powściągliwości?

A sprawa Igora Stachowiaka, który został zabity na komendzie, bo paru policjantów nie potrafiło się powstrzymać, zapanować nad emocjami i torturowało go paralizatorem?

A pokazywanie twarzy i danych osobowych Jakuba A.? To też po-

licjantom nie przeszkadza, chociaż sami chowają się za kominarkami?

Zachowajmy powagę, w sprawie śmierci Kristiny domniemany morderca jest w areszcie, jeżeli jest winien – już się nie wymknie. Po co więc robić z jego zatrzymania show? Schlebiać niskim instynktom?

Silne państwo nie potrzebuje takiego dopingu. Silne państwo jest poważne. Także powagą swoich służb. Silne państwo przypilnuje, by morderca dziewczynki został sprawiedliwie ukarany. Sąd, rozprawa, wyrok... Wszystko na zimno. A państwo słabe? Będzie schlebiało tłumowi...

Hejt na Bodnara jest po to, by maksymalnie go osłabić, zdyskredytować, by zostało mu odebrane publiczne zaufanie.

Gdy Jakub A. trafił do zakładu karnego w Świdnicy, gdzie przebywają tymczasowo aresztowani i recydywiści, przywitały go okrzyki: „Stąd nie wyjdiesz, stąd nie wyjdiesz!”. Niektórzy prawicowi internauci z zachwytem relacjonowali, że oto mordercę (oni już wydali wyrok) za chwilę dośięgnie ludowa sprawiedliwość. Zupełnie bezrozumnie oddali więc prawo do wymierzenia sprawiedliwości bandytom, którzy odsiadują wyroki za napady, kradzieże, może i morderstwa. Przecież to stawianie wszystkiego na głowie – bo od kiedy bandyta ma być wzorem postępowania? Od kiedy ma decydować, kto na jaką karę zasłużył i tę karę wymierzać? Państwo polskie ma abdykować przed przestępcami? Mają szarpać nim najbardziej prymitywne emocje, którymi zarządza pan z Nowogrodzkiej?

Jakie państwo nam się należy?

Spór Bodnar-państwo PiS jest więc sporem dużo głębszym, niż można sądzić. To spór o model państwa.

Trudno mieć złudzenia – dla zwykłego Kowalskiego model PiS jest ciekawszy, bo zawsze coś się dzieje. Zawsze jest wróg, jakieś zło, które popełnił, kara wymierzana przez władzę i policję. Jest zatem poczucie, że sprawiedliwość działa. Takie państwo stanu wyjątkowego, społeczne-gniewu, jak dowodzą przykłady z historii, może się cieszyć poparciem ludności, choć z reguły dobrze nie kończy.

Jego przeciwieństwem jest państwo procedur. To nudne państwo. Od urzędników, od policji wymaga znajomości tych wszystkich

przepisów, które – w intencji ustawodawcy – mają chronić najsłabszych. Choć czasami chronią też ludzi na ochronę – w naszym odczuciu – niezaspokojonych. W państwie procedur najważniejsi są ci, którzy je znają, potrafią się poruszać w labiryncie przepisów. A to wzbudza u naszego Kowalskiego podejrzliwość. On woli prostsze reguły gry – że jest gniew ludu albo gniew partyjnego lidera, jaśnie pana dziedzica, a potem, krótko i treściwie, nadchodzi sprawiedliwość i sprawa jest załatwiona.

Nie muszę chyba dodawać, że państwo procedur to raczej wzór zachodni, liberalny. A państwo gniewu ludu to dziś nie Europa, tylko klimaty wschodnie. To m.in. prezydent Łukaszenka, który podczas transmisji na żywo, przed kamerami, dymisjonuje ministrów.

Tak oto wojna z Bodnarem, którą wywołało PiS, niespodziewanie PiS obnażyła, pokazała, w którą stronę zmierza. Warto to zapamiętać.

Robert Walenciak



POMOCIE? NOWA SERIA KSIĄŻEK „PRZEGLĄDU”

**Polska
Rzeczywistość
Ludowa**

Odpowiadając na apele Czytelników, szykujemy wydanie wielotomowej serii książek o Polsce Ludowej. Piórem wybitnych uczonych, ludzi kultury i gospodarki pokażemy obiektywny i wyważony obraz 45-lecia Polski Ludowej. Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa. Wszystkich, którzy są zainteresowani powstaniem tej serii, prosimy o wsparcie. Każda wpłata na poniższe konto ma znaczenie.

Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Z Galicji



Jan Widacki

Nieszczęście Polski polega nie na tym, że jest PiS, tylko na tym, że 40% Polaków myśli tak jak PiS. Nawet gdyby opozycja jakimś cudem wygrała jesienne wybory, to mając przeciw sobie PiS z takim poparciem, niewiele zrobi, przede wszystkim nie rozliczy partii Kaczyńskiego ani z łamania konstytucji, ani z innych niegodziwości. Postawienie któregośkolwiek jej polityka przed Trybunałem Stanu jest nierealne. Do tego potrzeba by miażdżącego zwycięstwa nad PiS, a na to nie ma szans. Nie bardzo też możliwa jest naprawa instytucji demokratycznego państwa. Będziemy się babrać w błocie jeszcze długo, coraz bardziej na marginesie Europy.

W tej sytuacji lepiej nie zajmować się PiS, a więcej uważać poświadczyć tym 40% Polaków, którzy głosują na tę partię. Wyśmiewanie ich i obrażanie jest przeciwskuteczne. Czują się bardziej solidarni i mocniej związani z tym, kto nie tylko ich nie wyśmiewa, ale jeszcze ich wady i złe instynkty potrafi przedstawić jako zalety. Czyli z PiS.

Długi marsz

Jak to się stało, że w III RP pojawił się taki fenomen, niech zastanawiają się socjologowie, historycy, politolodzy czy psycholodzy. Na pewno ma on wiele przyczyn. Jedną z nich z całą pewnością są braki w edukacji. Odpowiada za nie elita III RP. Te braki trzeba nadrabiać i to w obecnej sytuacji wydaje się o wiele ważniejsze niż doraźne komentowanie polityki.

Rzecznik praw obywatelskich zaprotestował przeciw sposobowi zatrzymania podejrzanego o zabójstwo 10-letniej dziewczynki. Zwrócił uwagę, że zastosowanie wobec tego człowieka przymusu bezpośredniego było nieproporcjonalne do potrzeb (rzucono go na ziemię, skuto kajdankami zespolonymi), że zabrano go i transportowano boso, w białej bieliźnie, że w takim stanie przesłuchiowano go w lokalu urzędowym, że przesłuchanie odbyło się bez udziału obrońcy. Co więcej, sceny te zostały nagrane, a nagrania dostały się do mediów. Rzecznik spełnił swój obowiązek – bo jego obowiązkiem jest obrona praw człowieka. Tymczasem postawa rzecznika spotkała się z ogromną falą hejtu, ze strony zarówno rządzących, jak i licznych osób postronnych, które nie mogły zrozumieć, jak można stawiać w obronie praw bestii, jaką jest morderca małej dziewczynki. Wątpiły nawet, czy w ogóle ma on jakieś prawa. Zostawmy na uboczu wypowiedzi urzędowych idiotów, z którymi wstyd nawet polemizować. Spróbujmy spokojnie wytłumaczyć sprawy podstawowe.

Za ohydne, popełnione z premedytacją zabójstwo należy sprawcę surowo ukarać. Kodeks karny przewiduje za taki czyn nawet dożywotnie więzienie. Przy czym należy pamiętać, że karę wymierza tylko sąd! Działania policji, prokuratury nie są wymierzaniem kary ani nawet jej zadatkami – mają doprowadzić do ujęcia sprawcy, zgromadzenia dowodów winy i postawienia go przed sądem. Ukarze go dopiero sąd. Do czasu zapadnięcia prawomocnego wyroku każdy jest traktowany jak osoba niewinna. Nazywa się to domniemaniem niewinności. Art. 42 ust. 3 konstytucji stanowi: „Każdego uważa się za niewinnego, dopóki jego

wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu”. Art. 6 ust. 2 europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności głosi: „Każdego oskarżonego o popełnienie czynu zagrożonego karą uważa się za niewinnego do czasu udowodnienia mu winy zgodnie z ustawą”. Kodeks postępowania karnego w art. 5 par. 1 stanowi, że „oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki wina jego nie zostanie udowodniona i stwierdzona prawomocnym wyrokiem”.

W chwili zatrzymania nie tylko wina Jakuba A. nie została stwierdzona prawomocnym wyrokiem, ale nawet nie było pewności, że jest on rzeczywiście mordercą. Do dokonania zbrodni przyznał się podobno dopiero w czasie przesłuchania. Do dziś nie wiadomo, czy jest on poczytalny, na ten temat wypowiedzą się dopiero biegli psychiatrzy. Jeśli byłby niepoczytalny, nie ponosiłby winy (poczytalność jest warunkiem koniecznym winy), zasługiwałby zatem nie na wieloletnie więzienie, ale na leczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Konstytucja nakazuje pozbawionego wolności traktować humanitarnie (art. 41 ust. 4), a przepisy ustawy o policji nakazują dokonywać takiej czynności jak zatrzymanie „w sposób możliwie najmniej naruszający dobra osobiste” osoby, wobec której czynność ta jest podejmowana (art. 15 ust. 6). Rzucanie na ziemię osoby niestawiającej oporu, skuwanie jej kajdankami zespolonymi, wywlekanie z domu boso i w białej bieliźnie, na koniec udostępnienie mediom nagrania z tej czynności było w sposób oczywisty niezgodne z tym przepisem. Przesłuchiwanie kogoś w takim stanie, nawet przy pełnym przekonaniu, że to morderca, jest traktowaniem poniżającym, zakazanym przez art. 40 konstytucji. Mordercę należy ukarać, ale nie wolno go poniżać.

Kolejna sprawa to przesłuchanie zatrzymanego bez udziału obrońcy. Nie będę już wymieniał przepisów, które zostały tu naruszone, osłabiając konstytucyjne prawo do obrony podejrzanego. Dlaczego to zrobiono? Władza wykorzystała społeczne emocje uruchomione przez okrutne morderstwo, by pokazać siłę i skuteczność. Liczyła na akceptację i podziw, dając do zrozumienia, że podziela nastroje społeczeństwa i najdziksze instynkty. Cyniczne to i obrzydliwe.

W państwie prawa po ujęciu podejrzanego o popełnienie tak odrażającej zbrodni w telewizji pojawiłby się minister sprawiedliwości lub prokurator i wytłumaczył, że śledztwo się toczy, jeśli wina zostanie podejrzanemu udowodniona, niezawisły sąd wymierzy mu sprawiedliwą, surową karę. Przy okazji zwróciłby uwagę, że nawoływanie do linczu czy obrzucanie kamieniami konwoju prowadzącego podejrzanego są niedopuszczalne w państwie prawa.

A w Polsce? Minister sprawiedliwości już wypowiada się w mediach w kwestii kary, jaka ma być wymierzona dopiero co zatrzymanemu, a jego zastępca domaga się odwołania rzecznika praw obywatelskich. Już samo to pokazuje, jak daleko odbiegliśmy od standardów państwa prawa. Na tym tle tym bardziej jasnie gwiazda rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara.

Ewa Smolińska-Borecka

Od 28 lat ojcowie oblaci ze Świętego Krzyża zabiegają o to, by otrzymać zachodnie skrzydło klasztoru i budynek pobliskiego szpitalika, które są własnością Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Sprawa się przeciąga, bo kolejni dyrektorzy parku nie zamierzali brać na siebie decyzji o oddaniu sporego majątku. Obecny dyrektor jest jednak bardzo przychylny oblatom. Podobnie rząd. Rada Ministrów przygotowała projekt rozporządzenia, według którego teren, na którym jest posadowiony klasztor, a na dokładkę pięciohektarowy plac przylegający do zachodniego skrzydła klasztoru, również będący własnością Świętokrzyskiego Parku Narodowego, zostanie wyjęte z granic parku. Wtedy państwo, bo dobra staną się własnością skarbu państwa, będzie mogło je odsprzedać oblatom za dowolną kwotę. Może za 1% wartości. Albo i mniej.

Tylko list

Superiorem klasztoru, czyli przełożonym, jest o. Marian Puchała. Jeszcze nie wiem o tym, że faktycznie klasztorem rządzi o. Zygfryd Wiecha, któremu skończyła się w ubiegłym roku kadencja superiora i został ekonomem. Miejscowi żartują, że w klasztorze jest jak w Rosji, gdzie Putin i Miedwiediew wymieniają się stanowiskami. Proszę o. Mariana o spotkanie i rozmowę na temat rozporządzenia Rady Ministrów. Ojciec

Oblaci od 28 lat zabiegają o zachodnie skrzydło klasztoru i budynek szpitalika, które są własnością parku narodowego.

wykręca się, twierdzi, że to sprawa między ministrem środowiska a Świętokrzyskim Parkiem Narodowym, a zakon nie jest stroną. Ripostuję, że rozporządzenie powstaje z myślą o oblatach właśnie, więc w pewnym sensie jednak są stroną. Zgadza się na rozmowę.

Wjeżdżam samochodem aż do samego klasztoru, bo mam status gościa oblatów – jak zapewnił mnie o. Marian. Tuż za bramą Świętokrzyskiego Parku Narodowego pojawia się gęsta mgła. Na Łysej Górze, gdzie stoi klasztor, nie ma jeszcze ludzi. Turysty i pielgrzymi zjawiają się dopiero

Nieświęta walka na Świętym Krzyżu

Żeby zakon oblatów mógł dostać część budynku na Świętym Krzyżu, rząd wytnie kawałek parku narodowego



przed dziewiątą. Zaczepiam oblata w podkoszulku. Twierdzi, że o. Marian o umówionej porze, czyli o dziewiątej, wyjdzie z klauzury i mnie odnajdzie. Nie wychodzi. W informacji pytam o furtę. Kobieta wypytuje, kim jestem. Potem wręcza białą kopertę od o. Mariana, z odręcznie napisaną

wtedy pada nazwa Święty Krzyż. Ta sama góra ma dwie nazwy i dwa oblicza. Miejscowi deklarują się jako katolicy, chodzą na msze, chrzczą dzieci, ale prywatnie mówią o tajemniczych podziemnych zbiornikach, dziwnych zjawiskach i o tym, że ta ziemia jeszcze kiedyś zaskoczy.

Jedno z najważniejszych dla pogańskich wierzeń miejsc miało się stać najważniejszym miejscem dla chrześcijaństwa w Polsce. Przeciwwagą dwumetrowej wysokości wału usypanego przez pogan miał się stać kamienny klasztor. Nie wiadomo, kiedy dokładnie przybyli na Łysą Górę benedyktyni i skąd pochodzili. Przekazy w kronikach są sprzeczne. Według jednej z wersji benedyktynów sprowadził do Polski Bolesław Chrobry, który w 1006 r. stworzył na Łysej Górze opactwo. Zdaniem historyków pojawili się oni dopiero w XII w.

Rola tego miejsca znacznie wzrosła, kiedy benedyktyni otrzymali od księcia węgierskiego św. Emeryka, syna króla św. Stefana I, relikwie Krzyża Świętego, czyli drzazgi z krzyża, na którym zmarł Chrystus. Pod koniec

informacją: „Oświadczenie klasztoru opublikowane w KAI”. Nie ma żadnego „przepraszam” czy „bardzo mi przykro”. Widocznie pokonanie ponad 200 km, aby się z nim spotkać, nie robi na zakonniku wrażenia.

Klasztor kontra bóstwa

Kiedy mówi się o czczonych przez Słowian pogańskich bóstwach, takich jak Świst, Poświst, Łada, Bodo czy Lel, albo o sabatach czarownic, pojawia się nazwa Łysa Góra. Kiedy mówi się o pierwszym na ziemiach polskich klasztorze chrześcijańskim,



Oblaci starają się o zachodnie skrzydło klasztoru i budynek szpitalika.

Pod koniec XIII w. klasztor został nazwany opactwem Krzyża Świętego i stał się narodowym sanktuarium Polski.

XIII w. klasztor został nazwany opactwem Krzyża Świętego i stał się narodowym sanktuarium Polski. Z czasem sanktuarium straciło tę dominującą pozycję na rzecz Częstochowy. Obecnie relikwie Krzyża Świętego znajdują się w kilkunastu polskich kościołach. Mimo to Święty Krzyż nadal jest miejscem szczególnym, które odwiedzają tysiące pielgrzymów.

Swoje najlepsze lata klasztor przeżywał za czasów Jagiellonów, którzy nadal mu wiele przywilejów. Po ponad 800 latach, w 1819 r., klasztor na Świętym Krzyżu za zgodą papieża został skasowany. Polska była wówczas pod zaborem, a te ziemie wchodziły w skład Królestwa Kongresowego. I właśnie Królestwo Kongresowe stało się właścicielem klasztoru. Zakonnicy zostali przeniesieni do innych klasztorów, a każdy otrzymywał od państwa pensję. Po odzyskaniu niepodległości władze polskie stworzyły w zachodnim, młodszym skrzydle klasztoru najcięższe więzienie, jakie funkcjonowało w owym czasie.

Mimo że kościół i pozostałe zabudowania były w opłakanym stanie, zwróciły uwagę Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, które postanowiło stworzyć tam swój klasztor. 2 stycznia 1936 r. przedstawiciele kurii die-

cezjalnej w Sandomierzu i prowincji oblatów z Poznania zawarli umowę, na mocy której zakonnicy dostali do dyspozycji kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża, relikwie Krzyża Świętego, które wcześniej były w posiadaniu benedyktynów, oraz przylegające do kościoła zabudowania klasztorne. W zachodnim skrzydle nadal funkcjonowało więzienie. W czasie II wojny światowej Niemcy zorganizowali w nim obóz zagłady dla jeńców radzieckich. Pod koniec wojny większość ojców oblatów opuściła klasztor, wrócili po jej zakończeniu. Od razu rozpoczęto remont dachów, z tym że dach nad skrzydłem zachod-



Piotr Szafranec: – Oblaci byli częstymi gośćmi w Ministerstwie Środowiska i korzystali z każdej zmiany ministra czy wiceministra, by naciskać na oddanie im tego terenu.

nim, gdzie mieściło się wcześniej więzienie, wyremontował Wydział Budowlany Województwa Kieleckiego, a o naprawę pozostałych dachów musieli zadbać zakonnicy. Ale przez kilka pierwszych lat nikt formalnie nie zapisał, która część klasztoru jest we władaniu państwa, a która we władaniu oblatów. W końcu władze zdecydowały, że starsze części budynku będą należały do Kościoła, a młodsze, XVII-wieczne, czyli skrzydło zachodnie, przejmie Ministerstwo Leśnictwa. W 1950 r. na obszarze 7,6 tys. ha powstał Świętokrzyski Park Narodowy. W jego granicach, na obszarze ścisłej ochrony, znalazł się Święty Krzyż. I właśnie Świętokrzyski Park Narodowy został użytkownikiem zachodniego skrzydła, gdzie powstało Muzeum Przyrodnicze, oraz niewielkiego budynku szpitalika.

Komisja nie dała

Ojcowie oblaci zawsze łakomym okiem spoglądali na tę część klasztoru. Okazją do zgłoszenia roszczeń pojawiła się po zmianie ustroju, gdy 17 maja 1989 r. Sejm przyjął ustawę o stosunku państwa do Kościoła katolickiego. Dawała ona Kościołowi prawo do ubiegania się o zwrot majątku, który został zabrany po II wojnie. Wprawdzie w przypadku oblatów taka sytuacja nie zachodziła, co jednak szkodziło spróbować.

Już 21 maja 1991 r. diecezja sandomierska wystąpiła do Komisji Majątkowej o przekazanie na własność zabudowań pobenedyktynskich położonych na Świętym Krzyżu. Powołała się na to, że do roku 1884 te nieruchomości stanowiły własność kościelną. Komisja Majątkowa na rozprawie 12 listopada 2002 r. ustaliła, że dwie działki o łącznej powierzchni 3,97 ha diecezja sandomierska nabyła z mocy prawa, czyli przez zasiedzenie. Dlatego diecezja ograniczyła roszczenia do dwóch działek stanowiących własność skarbu państwa, czyli zachodniego skrzydła i szpitalika.

Komisja jednak wniosek diecezji oddaliła. W uzasadnieniu napisano m.in., że „objęte wnioskiem nieruchomości zostały upaństwowione bullą Piusa VII w roku 1819. W okresie międzywojennym próby przepisania prawa własności tych nieruchomości na rzecz Kościoła katolickiego okazały się nieskuteczne”.

► Sprawa została więc rozstrzygnięta nie po myśli oblatów. Ale to nie znaczy, że zrezygnowali oni z nieruchomości, zmienili tylko strategię działania. Zaczęły się naciski na polityków, władze w województwie i kolejnych dyrektorów Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Jak twierdzi miejscowa ludność, niezależnie od tego, kto sprawował władzę, ojcowie oblaci potrafili dość skutecznie wpływać na rządzących. Jedynie dyrektorzy parku narodowego tym naciskom się nie poddawali. Byli zdeterminowani, by chronić dobro narodowe, jakim jest świętokrzyski park.

Bogdan Hajduk, który konkurs na dyrektora parku wygrał w 2005 r., został odwołany przez ministra środowiska Jana Szyszke już w kwietniu następnego roku. Wszyscy wiedzieli, że prawdziwym powodem odwołania był konflikt z oblatami. Hajduk nie chce wypowiadać się ani

nani, że załamanie było spowodowane konfliktem z oblatami.

Następcą Świątkowskiego został Piotr Szafranec. Dyrektorowanie zaczął w grudniu 2013 r., ale w kwietniu 2016 r. został odwołany przez ministra Szyszke. Czy powinien być się spodziewać zwolnienia, skoro nie przekazał oblatom zachodniego skrzydła i szpitalika? Zapewne tak. Czy ojcowie oblaci chcą teraz powiększyć swój stan posiadania za darmo? – Czy za darmo, tego nie wiem, ale na pewno taniej, niż mogliby to zrobić – mówi Piotr Szafranec. – Fakt, że chcą powiększyć stan posiadania, to nic nowego. Ale ma się to odbyć w sposób bardzo niebezpieczny dla parku narodowego i to jest dla mnie najważniejsze. Znalezione sposób, jak do tego doprowadzić, czyli na zasadzie wyłączenia tych gruntów z terenu parku. W rezultacie zostanie wykrojony teren w samym

tego zasobu leśnego w Polsce jedynie 1% wchodzi w skład parków narodowych – przypomina były dyrektor.

Murem za oblatami

Miejscowi od lat przyglądają się konfliktowi między oblatami a Świętokrzyskim Parkiem Narodowym. Jedni trzymają stronę oblatów, drudzy parku. Jedni mówią: oddać, drudzy: nie oddawać. Jedni opowiadają, że tutejsi są coraz krytyczniej nastawieni do klasztoru, a na tegorocznej procesji Bożego Ciała było znacznie mniej ludzi niż w poprzednich latach. Drudzy, że na mszach są takie tłumy jak kiedyś, a może nawet większe. Że mieszkańcy chodzą na Świętym Krzyżu dzieci i biorą ślub, choć podobno zawierane tam są nietrwałe. Zwolennicy oblatów mówią pod nazwiskiem, zwolennicy parku anonimowo. Po co się narażać Kościołowi?

W 2002 r. Komisja Majątkowa stwierdziła, że nie ma podstaw prawnych, by oddać zakonnikom część klasztoru będącą własnością parku.

na temat ówczesnych stosunków z oblatami, ani na temat obecnych rządowych planów wydzielenia ze Świętokrzyskiego Parku Narodowego 5 ha gruntu. Twierdzi, że pracuje za granicą, nie śledzi tego, co się dzieje wokół parku, ponadto nie chce wracać do przeszłości, bo rok, kiedy był dyrektorem, kosztował go zbyt wiele zdrowia.

Następca Hajduka, Stanisław Huruk, też zdobył stanowisko w drodze konkursu. Wydawało się, że będzie bardziej przychylny planom oblatów, lecz tak się nie stało. Potrafił natomiast być na tyle elastyczny, że nie wchodził w otwarty konflikt z zakonnikami i dotrwał do końca kadencji. Lecz kolejny konkurs w 2011 r. wygrał inny pracownik parku – Wojciech Świątkowski. Jak twierdzą osoby, które go znały, był człowiekiem genialnym i jak każdy geniusz delikatnym. Dlatego przejmował się naciskami polityków i ojców oblatów. Mówi się, że zaczął bardzo nerwowo reagować na dzwonki telefonów, że ze zdenerwowania drżały mu ręce. Niecałe dwa lata po konkursie, w lipcu 2013 r., został znaleziony martwy. Stwierdzono samobójstwo. Choć nie zostawił listu pożegnalnego, miejscowi są przekonani,

że załamanie było spowodowane konfliktem z oblatami. Wiem, że oblaci byli częstymi gośćmi w Ministerstwie Środowiska i korzystali z każdej zmiany ministra czy wiceministra, by naciskać na oddanie im tego terenu. Od 1 stycznia 2012 r., kiedy nastąpiła zmiana ustawy o ochronie przyrody, grunty, na których są parki narodowe, znalazły się w dzierzawie wieczystej. Wcześniej były tylko w zarządzie, który można było łatwo wygasić. Oblatom więc trochę się skomplikowała sytuacja prawna. Komisja Majątkowa stwierdziła, że skrzydło zachodnie i szpitalik są własnością skarbu państwa. Klasztor czuje się mocno pokrzywdzony, ale nie wiem, z jakiego powodu. Ja uważałem, że jako dyrektor parku zostałem postawiony na straży majątku narodowego i mam robić wszystko, zgodnie z prawem oczywiście, żeby ten majątek zachować.

Piotr Szafranec obawia się, że rozwiązanie, które rząd zamierza zastosować w przypadku Świętokrzyskiego Parku Narodowego, stanie się furką dla wszelkich roszczeń zgłaszanych przez kogokolwiek w stosunku do każdego parku, kiedy jego istnienie będzie niewygodne. – A przecież z ca-



Józef Mazur z Huty Szklanej pamięta, jak w 1936 r. oblaci pojawili się na Świętym Krzyżu, miał wtedy 12 lat. W czasie wojny nosił do klasztoru jedzenie. Po wojnie najął się u oblatów do naprawy zniszczonych dachów. – Uważam, że to skrzydło klasztoru i szpitalik powinny należeć do oblatów i powinny być im oddane. Trzeba im dziękować, że zaopiekowali się tym klasztorem, bo to wszystko poszłoby w ruinę i tylko kupa rumowiska by była – mówi zdecydowanie.

Józef Mazur i jego już nieżyjąca żona Marianna wpłacili w 2014 r. pieniądze na odbudowę wieży klasztoru. A osoby, które przeznaczyły na ten cel co najmniej 2 tys. zł, zostały uwiecznione jako dobroczyńcy na marmurowych tabliczkach wewnątrz wieży.

Wśród wielu tabliczek są też te upamiętniające datkę Ewy i Adama Przygodów z Huty Szklanej i nieżyjącej Zofii i jej męża Czesława z Huty Starej.

– Uważam, że oblaci powinni dostać te zabudowania, czyli zachodnie skrzydło i szpitalik – stwierdza Ewa Przygoda. – Oni teraz wynajmują od parku pomieszczenia dla nowicjatu, bo nie mają miejsca. Benedyktyni dali oblatom ten klasztor, więc bardzo dobrze by było, żeby to było oddane. Park wyremontował część budynku, gdzie jest muzeum, ale część stoi pusta, a oblaci by to zagospodarowali. Ale czy chcą za darmo to dostać, czy za odpłatnością, tego nie wiem.

– Jestem za tym, żeby oddać te zabudowania oblatom, ponieważ to kiedyś było benedyktynów – wyjaśnia swoje stanowisko Czesław Kopacz. – Słyszałem, że prawdopodobnie benedyktynom zabrano zabudowania klasztorne. A potem na miejsce

zerność właśnie. Kiedyś było inaczej. Księża żyli w komitywie z miejscowymi. Teraz bardziej niż na sprawach religijnych są skupieni na biznesie. Wykorzystują każdą możliwość zarobku. Zawsze wokół kościołów powstawały nieduże stoiska, z których żyli miejscowi. Tak było też na Świętym Krzyżu. Kiedy jednak w 2009 r. superiorem tutejszego zgromadzenia został o. Zygfryd, wszystko się zmieniło.

Nadal można zarobić na dowozie turystów i pielgrzymów z Huty Szklanej do klasztoru, bo autokary nie mogą wjeżdżać na górę, a samochody osobowe tylko czasem. Oblaci nie dorobili się jeszcze własnych środków transportu. Dlatego w weekendy na Świętym Krzyżu pojawia się z okolicznych miejscowości siedem melek-sów, każdy na kilkanaście miejsc. Jeździ też ciuchcia na ponad 50 miejsc.

Kiedyś kwitł okołoklasztorny handel pamiątkami i zabawkami. Żył z niego

oblaci otworzyli własne stoiska z pamiątkami i chińszczyzną. W tym roku park, podobno na żądanie o. Zygfryda, zaoferował handlującym miejsca oddalone od głównej drogi, tak mało atrakcyjne, że na 15 oferowanych wynajęto jedynie siedem.

Anna oburza się na oblatów, bo słyszała o młodej kobiecie, która w zeszłym roku, kiedy odwołano przetarg na miejsca handlowe, w rozpaczy ratowała budżet rodziny, handlując obwarzankami. Choć była w zaawansowanej ciąży i stała z torbą obwarzanków nieopodal muzeum, oblaci i tak ją przeganiali. Annie nie podoba się, że osoby duchowne tak bardzo zabiegają o pieniądze. – Pewnie chcą taki biznes zrobić jak re-demptoryści z Torunia – mówi.

Teresę mierzi to, że klasztor cały jest upstrzony miejscami do handlowania: jadłodajnia w podziemiu, dwie kawiarnie w budynku klasztoru, dwa



Wokół klasztoru są sklepy z dewocjonaliami i pamiątkami, stoiska z wiktuałami, kuchnia polowa.

benedyktynów pojawili się oblaci. Myślę, że to było jakieś porozumienie kościelne. Jestem przekonany, że na mocy tego porozumienia właścicielami zabudowań są oblaci, a Świętokrzyski Park Narodowy im to zabrał. Teraz jest szansa, żeby zakonicy odzyskali te zabudowania. Moim zdaniem większość miejscowych jest tego samego zdania.

Pazerność

Ludzi nastawionych krytycznie do klasztoru można spotkać i w Nowej Słupi, i w miejscowościach po przeciwnej stronie góry, czyli w różnych Hutach. Mariuszowi nie podoba się pazerność ojców. Mówi wprost: pa-

kilkaście miejscowych rodzin. Ale to się nie podobało o. Zygfrydowi, który chciał, żeby oblaci zmonopolizowali cały przyklasztorny handel. Anna słyszała, że któryś z ojców zwyzywał od złodziei ludzi mających przed muzeum swoje stoiska. Kiedyś można było je rozłożyć na gruncie parku. Na wiosnę park organizował ustne przetargi. Jeszcze w 2017 r. 16 stoisk stanęło na dużym rondzie przed Muzeum Przyrodniczym.

Było to nie w smak o. Zygfrydowi, który podobno w ubiegłym roku tak naciskał na dyrekcję parku, że bez podania przyczyny przetarg odwołano. Rodziny, które przez pół roku żyły z tych stoisk, zostały bez pieniędzy. Turyści i pielgrzymi nie ucierpieli, bo

sklepy z dewocjonaliami i pamiątkami, trzy stoiska z wiktuałami przed klasztorem, kuchnia polowa. A mimo że funkcjonuje tam tak wiele punktów gastronomicznych, za toaletę trzeba płacić 1,5 zł.

Andrzej uważa, że oblaci odsunęli się od ludu. W czasie wojny miejscowi przynosili im jedzenie, żeby nie pomarli z głodu. A teraz oni się wywyższają, trzymają tylko z ludźmi wysoko postawionymi, a zwykłych mają za nic. Mówi się, że to nie wojewoda, ale o. Zygfryd ze Świętego Krzyża rządzi w województwie. Skąd ta jego moc i ważność się bierze, tego nikt nie wie. Zdaniem miejscowych za poprzedniej władzy tak było i jest obecnie.

Ewa Smolińska-Borecka

Co ukrywa BAŁTYK

Najśłodsze morze świata powoli umiera.
Jeśli nic się nie zmieni, stanie się morzem martwym

Bronisław Tumiłowicz,
Helena Leman

Jeśli pragniemy jakiegoś NAJ, to Bałtyk jest najmniej zasolonym morzem świata. Zalicza się go do wód słonawych (mezohalinowych) i określa jako morze półsłone. We wcześniejszych okresach geologicznych Bałtyk zresztą dwukrotnie był jeziorem. Średnie zasolenie wynosi ok. 7‰, przy czym zawartość soli w wodzie waha się od 2 do 12‰. W łączącej Bałtyk z Morzem Północnym cieśninie Kattegat (jednej z trzech Cieśnin Duńskich) wynosi nawet 20‰. Gdy szaleją silne sztormy, z Morza Północnego przez Cieśniny Duńskie wpływają do Bałtyku porcje bardziej słonej wody, życiodajnej dla gatunków ściśle morskich. Z drugiej strony 250 rzek nieustannie pompuje do Bałtyku słodką wodę i dlatego żyją w nim, prócz typowo morskich gatunków, takich jak dorsz, śledź, szprot i flądra, także gatunki ryb słodkowodnych – sieja, płóc, szczupak, sandacz i węgorz. Te same gatunki ryb morskich, np. dorsze, są z powodu niższego zasolenia mniejsze o 10-20% w Bałtyku niż np. na Atlantyku czy w Morzu Północnym.

Bałtyku, który jest w zasadzie morzem zamkniętym, nie ogrzewa ciepły Prąd Zatokowy – z tego powodu średnia temperatura wody to tylko 10 st. C. Zimą temperatura jest niewiele wyższa niż 2 st. C, a w najgorętszych miesiącach letnich w Zatoce Gdańskiej można liczyć na 19-20 st. C. Ma to swoje dobre i złe strony. Zimna woda hamuje nieco rozwój drobnoustrojów, choć nie wszystkich, o czym świadczą letnie zakwity sinic. Morze

mniej paruje i dlatego woda zawiera więcej jodu i innych minerałów.

Jeżeli więc jesteś nad Bałtykiem, korzystasz z nadzwyczajnej porcji jodu. Bałtyk zawiera więcej jodu niż np. Morze Śródziemne czy Morze Czarne, pobyt nad polskim morzem korzystniej wpływa zatem na nasze zdrowie niż wyjazd za granicę. Jod był pierwszą substancją odżywczą, która została uznana za niezbędną dla ludzkiego organizmu. Pierwotnie ten wpływ przede wszystkim na funkcjonowanie tarczycy. Jego niedobór może prowadzić do wielu chorób i poważnych powikłań zdrowotnych. Jod jest potrzebny niemowlętom i małym dzieciom, ponieważ w tym okresie kształtuje się ich układ nerwowy. Poleca się go

Bałtyk jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych mórz na świecie.

także m.in. kobietom w ciąży. U dzieci niedobór jodu może być przyczyną zahamowania rozwoju fizycznego – wolniej rosną, mają problemy z koncentracją, zapamiętywaniem, szybciej odczuwają zmęczenie. W przypadku osób dorosłych niedobory hormonów tarczycy są przyczyną chorób sercowo-naczyniowych, zbyt wysokiego poziomu cholesterolu, depresji, anemii, apatii, bezpłodności, a nawet ślepoty. Pobyt nad Bałtykiem, ze względu na możliwość naturalnego wzbogacenia organizmu o jod, jest więc bardzo korzystny.

Brudna zupa

Niestety, wiąże się także z pewnymi zagrożeniami. W 2018 r. Komisja Helsińska – HELCOM (ang. Bal-



tic Marine Environment Protection Commission – Helsinki Commission) udostępniła pierwszą wersję raportu o stanie Morza Bałtyckiego. Wynika z niego, że zanieczyszczenia, które dostały się do Bałtyku, nie utylizują się całkowicie. Część zalega w dnie, a my dzień po dniu dolewamy kolejne. 97% wszystkich zanieczyszczeń wprowadzanych do Bałtyku powstaje na lądzie, pozostałe 3% to zanieczyszczenia powstające na morzu. Bałtyk zanieczyszczają:

1. Substancje biogeniczne – głównie związki azotu i fosforu oraz materia organiczna. Ich źródłem są m.in. nawozy sztuczne stosowane w rolnictwie czy detergenty.

2. Substancje toksyczne – metale ciężkie: kadm, rtęć, ołów, będące produktem ubocznym procesów technologicznych w przemyśle, oraz pestycydy – środki ochrony roślin i inne. W 1993 r. roczny zrzut kadmu do Bałtyku oszacowano na ok. 30 ton (z rzek ok. 25 ton, z powietrza 5 ton). W latach 1993-2003 nastąpił spadek, ale od 2005 r. notowany jest ponowny wzrost.

3. Zanieczyszczenia ropopochodne – z przemysłu, motoryzacji i gospodarki komunalnej.



Parawany stały się symbolem polskich plaż.

przemienia się w kisiel. Eksperci, np. Michał Przybylski, prezes Pomorskiego Towarzystwa Hydrologiczno-Przyrodniczego, twierdzą, że Bałtyk jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych mórz na świecie.

Rybka z rtęciową wkładką

Skutki rosnącego zanieczyszczenia są różnorodne. Pierwszym jest eutrofizacja. Duża ilość substancji biogenicznych powoduje użyźnianie wód. Skutkiem pozytywnym, ale krótkotrwałym, jest zwiększenie ilości fitoplanktonu (mikroskopijnych organizmów) – w wodzie przybywa zatem pożywienia. Z czasem jednak eutrofizacja wywołuje efekty niekorzystne, np. przyczynia się do pogarszania sytuacji tlenowej w głębiach Morza Bałtyckiego.

Dla życia Bałtyku niezwykle ważne są regularne, odświeżające go wlewy z Morza Północnego. W latach 1960-1983 zanotowano prawie 20 takich wlewów, w tym pięć silnych. Potem nastąpiła przerwa. Nawet trzeci z największych w historii wlewów, w grudniu 2014 r., nie uratował sytuacji na Bałtyku. Długie przerwy między wlewami sprzyjają powstawaniu obszarów wód beztlenowych. Brak wlewów, eutrofizacja oraz inne czynniki nie służą rybnemu. – Dorsz zwyczajnie nie ma co jeść. Żywi się bezkręgowcami żyjącymi przy dnie, do których ma utrudniony dostęp poprzez powiększające się strefy beztlenowe. Dorsz tam ▶

4. Skażenia sanitarne/mikrobiologiczne – ich źródłem są gospodarka komunalna i rolnictwo.

5. Substancje radioaktywne – jako wynik katastrof i zrzutów odpadów radioaktywnych. Poziom radioaktywności w Bałtyku jest nadal podwyższony w porównaniu ze stanem sprzed roku 1986, czyli sprzed katastrofy w Czarnobylu. Szacuje się, że przy zachowaniu dotychczasowego tempa obniżania się aktywności substancji promieniotwórczych sytuację

sprzed czarnobylskiej eksplozji osiągniemy w 2035 r.

6. Inne, w tym śmieci.

Mimo istnienia oczyszczalni ścieków zanieczyszczenie wzrasta. Przybywa azotu i fosforu z nawozów stosowanych w rolnictwie. Brudy płyną rzekami i ściekami komunalnymi. Dokłada się do tego letnia działalność turystyczna. Bałtyk powoli umiera. Jeśli nic się nie zmieni, stanie się morzem martwym. Katastrofiści alarmują: brudna zupa

Gdzie się kąpać?

Główny Inspektor Sanitarny informuje o stanie wody na specjalnej stronie: sk.gis.gov.pl/index.php/kapieliska/mapa. Obejmuje ona ponad 100 kąpielisk nad samym Bałtykiem. Chodzi nie tylko o sinicę, ale też o zanieczyszczenia drobnoustrojami chorobotwórczymi, w tym groźną *Escherichia coli*. W tym sezonie o większych zagrożeniach na razie nie słychać.

Fundacja Edukacji Ekologicznej po kontroli jakości wody, działań ekologicznych, bezpieczeństwa i jakości usług w sezonie 2019 wyróżniła Błękitną Flagą osiem kąpielisk z województwa pomorskiego (Ustka, Jastrzębia Góra, Władysławowo, Gdynia, Sopot, Gdańsk Stogi, Gdańsk Sobieszewo, Gdańsk Orle) i 12 z województwa zachodniopomorskiego (OSiR w Lubczynie, Świnoujście-Uznam, Międzyzdroje, Dziwnów, Dziwnówek, Pobierowo, Pust-

kowo, Trzęsacz, Grzybowo, Dźwirzyno, Dąbki Zachodnie i Darłówko Zachodnie).

Natomiast prestiżowy brytyjski dziennik „The Guardian” opublikował ranking 30 najładniejszych uzdrowisk bałtyckich. W tej liczbie znalazły się trzy z Polski.

1. Wolin – znakomite plaże, prawie 50 km dzikich ścieżek spacerowych oraz 150 żyjących tam gatunków ptaków. To sprawia, że delta rzeki Świny jest rozkoszą dla miłośników przyrody.

2. Łeba – położona zaledwie 10 minut od Słowińskiego Parku Narodowego. Według „Guardiana” wydmy ruchome w pobliżu Łeby to idealna sceneria dla fotografów.

3. Hel – doceniony głównie za wyjątkowe położenie. Wśród głównych atrakcji miejscowości wymieniono Muzeum Rybołówstwa, domki rybackie oraz starą latarnię morską.

► nie pływa, bo się dusi. By mógł się rozmnażać, potrzebuje słonej wody, tymczasem z powodu zmian klimatu woda w Bałtyku robi się coraz słodsza i cieplejsza – mówi Piotr Zięcik, biolog środowiskowy, pracownik Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. W wyniku zanieczyszczenia wód wymierają gatunki wrażliwe, np. trawa morska, a rozwijają się gatunki nieużyteczne, np. brunatnice.

Eutrofizacja wód sprzyja rozwojowi sinic. To jednokomórkowe bakterie, które tworzą ogromne kolonie i dlatego przypominają glony. Wiatr spycha te kolonie do brzegu i wówczas plażę trzeba okresowo zamknąć. Takie problemy spotykały wczasowiczów w ubiegłym roku, kiedy to z powodu pojawienia się sinic zamykanych było wiele nadmorskich kąpielisk. W tym roku (stan na 26 czerwca) sinice jeszcze się nie pokazały. Zakwit sinic prowadzi do powstania mało estetycznej zawiesiny o niebieskozielonym, szarozielonym, zielonkawobrazowym, a niekiedy czerwono-brązowym zabarwieniu. Towarzyszy temu zatęchły zapach. W zasadzie sinice nie są dla nas zagrożeniem, ale wydzielają toksyny mające wpływ na skórę, a nawet na wątrobę i układ nerwowy. Kontakt z nimi, podobnie jak z glonami lub niezbyt przejrzystą wodą, może się skończyć wysypką, swędzeniem i łzawieniem oczu, nudnościami, wymiotami czy

biegunką. Szczególnie ostrożni powinni być alergicy.

Natomiast w organizmach żyjących w Bałtyku ryb kumulują się metale ciężkie, np. rtęć. Badania ryb sprzedawanych w nadmorskich smażalniach na razie nie są alarmujące. Główny Inspektorat Ochrony Środowiska czy Państwowa Inspekcja Weterynaryjna wykazywały niebezpieczne dla zdrowia przekraczanie norm tylko w przypadku dużych łososi bałtyckich, dorszy i śledzi. Tłumaczy się to tym, że duża ryba dłużej żyje, wchłania zatem więcej toksyn.

97% wszystkich zanieczyszczeń wprowadzanych do Bałtyku powstaje na lądzie.

Mięso zawierało raczej bezpieczne dla człowieka stężenia rtęci, ołowiu i kadmu. Ale metale ciężkie kumulują się także w organizmie ludzkim. Stąd wzięły się zalecenia, aby jadać te ryby z umiarem. Na przykład śledzia bałtyckiego można bez obaw zjeść 400 g tygodniowo, a dorsza nawet 1 kg. Idealnie, aby na talerzu lądowało nie więcej niż dwie porcje po 100-150 g ryby w ciągu siedmiu dni. Natomiast małe dzieci zdecydowanie nie powinny jeść np. wątroby dorsza.

Życie w Bałtyku zmienia się. Na szczęście do tej pory z naszych wód zniknęła tylko jeden gatunek – jesiotr

amerykański. Ostatni został złapany w latach 70. w Estonii, choć kiedyś była to ryba dość pospolita. Teraz wydaje się, że zagrożony jest dorsz. Międzynarodowa Rada Badań Morza (ICES) zaleciła znaczną redukcję połowów dorszy i śledzi w Bałtyku. Zalecenia te nie są jeszcze wiążące, ale na rok 2020 ICES rekomenduje m.in. wstrzymanie połowów dorszy na obszarze na wschód od Bornholmu (czyli na naszych łowiskach) i zmniejszenie o połowę kwoty połowowej tych ryb w zachodniej części Bałtyku. Eksperci ICES zalecają też wstrzymanie w przyszłym roku połowów śledzi w zachodniej części Bałtyku. Nie jest wykluczone, że wskazania te są podyktowane również walką konkurencyjną, bo każdy kraj chce wyłowić i sprzedawać jak najwięcej, a nasza pozycja przetargowa w takich gremiach jak ICES jest słaba.

Obserwuje się także proces odwrotny, choć wcale nie należy on do pozytywnych. Do Bałtyku przedostało się ok. 60 gatunków zwierząt z innych akwenów, a co roku pojawiają się nowe – np. z Morza Północnego, Kaspijskiego, Czarnego czy wreszcie z mórz tropikalnych przywiezione z wodami balastowymi statków. Są to przede wszystkim skorupiaki – kielże, oraz małe gatunki ryb, z których najbardziej znaną jest babka bycza. Mogłyby być pokarmem dla dużych drapieżników, ale tych jest

Skarby Bałtyku

Wyobraźnię poszukiwaczy skarbów rozpalają kosztowności, jakie mogą się znajdować na dnie Bałtyku. Kilka razy wrzucono do morza pierścienie w uroczystym akcie zaślubin Polski z Bałtykiem. Pierwsze zaślubiny odbyły się 10 lutego 1920 r. Gen. Józef Haller z płk. Władysławem Zakrzewskim wrzucili do morza dwa platynowe pierścienie ufundowane przez polskich gdańszczan. W ten sposób pieczętowali posiadanie przez Rzeczpospolitą 140 km wybrzeża bałtyckiego. Kolejne zaślubiny Polski z morzem miały miejsce w 1945 r., gdy nasze wybrzeże wydłużyło się do ponad 500 km. 15 marca 1945 r. w Dziwnówku zaślubiny przeprowadzili żołnierze 2. dywizji piechoty 1. Armii Wojska Polskiego. Odbyło się to z inicjatywy dowódcy 5. pułku piechoty płk. Antoniego Szabelskiego. Dwa dni później w Mrzeżynie zaślubin dokonał ułan kpr. Sochaczewski, a 18 marca 1945 r. w Kołobrzegu – kpr. Franciszek Niewidziajło. Inne źródła podają, że 19 marca 1945 r. w Kołobrzegu zaślubiny zorganizowała 5. Brygada Artylerii Ciężkiej na plaży zachodniej. Pierścieniem rzucił Jerzy Oświecimski. Prości żołnierze wrzucali do morza swoje obrączki.

Pierścienie czy obrączki to drobiazg. Prawdziwe skarby mogą się znajdować na zatopionych statkach. Profesjonalnie badają je

ekipy poszukiwawcze Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Dysponują one własnym statkiem, mają nowoczesny sprzęt, a przede wszystkim dobrze przygotowanych morskich archeologów, którzy nurkują i wydobywają co cenniejsze eksponaty. W starych spichrzach na Ołowiance można obejrzeć ich największe odkrycia. Wydobyto np. ładunek z „Miedziowca”, statku handlowego z XV w. Eksplorowano szwedzki okręt wojenny z XVII w. „Solena” oraz angielski wrak z XVIII w. „General Carleton”. Prócz ładunków, które przewoziły dawne żaglowce (w jednym znajdowało się mnóstwo metalowych klamerek do butów typowych dla XVIII-wiecznej mody), w zakamarkach wraków spoczywa mnóstwo rzeczy osobistych marynarzy, złote monety, a nawet butelki whisky.

Specjaliści z muzeum prowadzili poszukiwania podwodne na wrakach znacznie młodszych, np. „Wilhelma Gustloff’a”, „Arngasta” i „Mount Vernon”. Wrak „Gustloff’a” leży kilkanaście mil na północny wschód od Łeby. Tragedia statku, którym ewakuowała się niemiecka ludność Gdańska, rozegrała się 30 stycznia 1945 r. Początkowo na podstawie list pasażerów sądzono, że na zatopionym przez torpedę statku znajdowało się 6,6 tys. osób, w tym 5 tys. uciekinierów, ale



coraz mniej. Największe morskie zwierzęta żyjące w Bałtyku to ssaki: morświny i foki. Są one zwierzętami rzadkimi i znajdują się pod ochroną.

Tykające bomby

Potężnym zagrożeniem dla środowiska są wraki. Jak wynika z ustaleń naukowców z Instytutu Morskiego w Gdańsku, w rejonie Bałtyku leży ich 8-10 tys. Co najmniej 100 to tzw. wraki o wysokim priorytecie, w których znajdują się znaczne ilości

paliwa zagrażające środowisku naturalnemu. Do takiej kategorii należą tankowce „Stuttgart” i „Franken”, które zalegają na polskich wodach Zatoki Puckiej i Zatoki Gdańskiej. Z wraku „Stuttgarta” stopniowy wyciek paliwa rozpoczął się już w 1999 r. W 2015 r. okazało się, że obszar skażenia wyciekami przez 16 lat powiększył się pięciokrotnie i wynosi aż 415 tys. m kw., a stan środowiska morskiego w bezpośrednim sąsiedztwie wraku można określić jako lokalną katastrofę ekologiczną.

Bałtyk jest morzem chłodnym. W najgorętszych miesiącach letnich w Zatoce Gdańskiej można liczyć na 19-20 st. C.

Kolejnym zagrożeniem jest „Franken”. Z dokumentacji ekspedycji badawczej z 2018 r. wynika, że w momencie zatonięcia tankowca podczas II wojny światowej było na nim 2,7 tys. ton paliwa, nie licząc tego, co było konieczne do napędzania statku. Specjaliści oceniają, że razem może to być nawet 4,6 tys. ton. Na razie zbiorniki wyglądają na szczelne, ale jakkolwiek wyciek może spowodować skażenie wody i plaż w rejonie Zatoki Gdańskiej, „Franken” bowiem od prawie 80 lat spoczywa na głębokości 68 m w centralnej części zatoki, 13 mil morskich od Gdyni i 6 mil morskich od Helu. – „Franken” należy traktować jako największe ryzyko rozlewu substancji ropopochodnych – mówi Benedykt Hac z Instytutu Morskiego w Gdańsku.

Równie poważne zagrożenie stanowią leżące w Bałtyku od czasów II wojny światowej wraki statków mających w ładowniach broń chemiczną, m.in. iperyt i środki zawierające arsen (adamsyt, Clark I, Clark II, luizyt). Morski Instytut Rybacki – Państwowy Instytut Badawczy informuje, że w Bałtyku może się znajdować 50 tys. ton amunicji zawierającej bojowe środki toksyczne, m.in. arsen ▶

także oficerowie i marynarze z 2. dywizji szkolnej okrętów podwodnych, kobiety z korpusu pomocniczego Kriegsmarine i ranni żołnierze Wehrmachtu. Ostatnie szacunki mówiły jednak, że na „Gustloffie” mogło być nawet ponad 10,5 tys. osób. Uratowano jedynie ponad tysiąc. Była to więc największa morska tragedia w historii ludzkości.

Po wojnie poszukiwania na wraku prowadzili m.in. Rosjanie. Sądzili bowiem, że tam znajdowała się wywożona z Gdańska legendarna bursztynowa komnata. Także polscy archeolodzy próbowali badać statek – dzwon okrętowy wydobyty z „Gustloff” był ozdobą w jednej z gdańskich restauracji, a teraz jest w Muzeum II Wojny Światowej. Dzikie ekspedycje organizowały również prywatne ekipy, liczące być może na cenne przedmioty z ładunku pasażerów. Warto w tym miejscu dodać, że poszukiwania prowadzone na dużych głębokościach – a „Gustloff” leży na głębokości ok. 45 m – nawet przez doskonale przygotowanych i wyposażonych pletwonurków nierzadko kończą się tragicznie. Właśnie w ubiegłym tygodniu wydobyto z miejsca, gdzie spoczywa wrak, ciało nurka, który prawdopodobnie zginął kilka lat temu. Dziś już poszukiwania na wraku „Gustloff” są zakazane, statek traktuje się jako mogiłę zbiorową.

I wreszcie złoto Bałtyku – bursztyn. Kopalna żywica drzew iglastych z rodziny sosnowatych. Powstał ponad 40 mln lat temu i nadal żyje. Zachodzą w nim procesy twardnienia, bursztyny ciemnieją, nabierając wyrazistości i głębi. Niektóre zawierają skamieniałe ciała obce, nazywane inkluzjami – kawałki drewna, roślin, owady. W dotyku bursztyn jest ciepły, co pozwala go odróżnić od kawałków obrobionego przez piasek brązowego szkła.

Największe jego złoża są w obwodzie kaliningradzkim, na półwyspie Sambia. W Polsce poławia się bursztyn po sztormach w Zatoce Gdańskiej, na Mierzei Helskiej i Wiślanej. Poławiacze w woderach wchodzą w morze z kaszorkami. Kierunek pokazują im mewy, które pikują, by upolować żyjątko na patykach wypływających z dna morza. Tam, gdzie pojawiają się mewy i patyki, najcenniejszy jest bursztyn.

– Nie ma nic piękniejszego niż sztorm o sile i porywach 11 st. w skali Beauforta z północnym wiatrem, który trwa dwie doby. Wtedy wiemy, że będzie bursztyn. No i jest. I są emocje. Jak się wyciąga pierwszą bryłkę, to sama myśl, że trzyma się w dłoni coś sprzed milionów lat, onieśmiela – opowiada Sylwester Malucha z Wyspy Sobieszewskiej, poławiacz bursztynu metodą tradycyjną, lokalny gawędziarz i znawca bałtyckiego złota.

► i iperyt. Iperyty dzięki temu, że słabo rozpuszcza się w wodzie morskiej, nie stanowi większego zagrożenia dla organizmów żywych. Uwolniony z korydujących pojemników pozostanie na dnie w formie stałej i będzie ulegał powolnemu rozkładowi, aby ostatecznie rozłożyć się do substancji nieszkodliwych. Toksyczne są natomiast niektóre pośrednie produkty jego hydrolizy.

Cyklon B i tabun rozkładają się w wodzie morskiej szybko, a produkty ich rozkładu nie są toksyczne. Natomiast arsen ma zdolność kumulacji w organizmach żywych. Występuje w środowisku w formie organicznej i nieorganicznej. Badania wykazały, że

teczne wydają się tzw. gabiony, czyli sztańce budowane z kamieni załadowanych do pojemników z siatki stalowej. Nie dają się łatwo wciągnąć do wody podczas zimowych sztormów, ale morze nie ustępuje (turyści również) i siatki zainstalowane kilkanaście lat temu pękają, a kamienie wysypują się i znów brzeg w Trzęsaczu i gdzie indziej się obsuwa. W Jastrzębiej Górze spadło do wody kilka willi, a w Gdyni kawał widowiskowego Klifu Orłowskiego, przedstawianego na widokówkach. Po oberwaniu profilaktycznie przeszukano rumowisko, aby sprawdzić, czy nikt nie zginął. Na szczęście stało się to w lutym, bo w okresie letnim przewijają się tędy

i Zalewem Wiślanym. Trzeba będzie podwyższać wały przeciwpowodziowe wzdłuż brzegów i przy ujściach rzek. Półwyspu Helskiego uratować się nie da. Ostanie się może Mierzeja Wiślana, o ile przekopujące ją łopaty nie okażą się zbyt drapieżne.

Zanieczyszczenie Bałtyku jest problemem znanym od lat. Podejmowane są różne inicjatywy, zarówno w Polsce, jak i za granicą. W 2017 r. organizacje rybackie zainicjowały sprzątanie Bałtyku. W projekcie wzięło udział 500 łodzi rybackich, wyłowio-

W rejonie Bałtyku leży od 8 do 10 tys. wraków.



W ubiegłym roku wiele nadmorskich kąpielisk było zamkniętych ze względu na wykwit sinic.

najbardziej toksyczną formą jest arsen nieorganiczny. W wodzie morskiej ponad 90% arsenu jest obecne właśnie w tej formie, ale w organizmach żywych nawet 95% arsenu przybiera dużo mniej toksyczną formę organiczną.

Czy można uratować Bałtyk?

Morze, choć trawia je różne choroby, jest jeszcze dostatecznie silnym żywiołem. Dowodem może być Trzęsacz w powiecie gryfickim w gminie Rewal. Ze starego kościoła w tej miejscowości pozostał tylko fragment jednej ściany, teraz umocniony i traktowany jako atrakcja turystyczna. W tym miejscu naszego zachodniego wybrzeża Bałtyk odebrał nam bodaj najwięcej. Niszczący pochód morza próbuje się zastopować różnymi konstrukcjami inżynierskimi. Dosć sku-

tlumy spacerowiczów, często przyjeżdżali tu też nowożeńcy na pamiątkowe zdjęcia. – Ten klif obrywa się stale w tempie co najmniej metra na rok – mówi specjalistka z Instytutu Geologicznego w Gdańsku. Z tej wojny nie da się wyjść zwycięsko.

Do ruchów geologicznych dokładają się zmiany w atmosferze. Specjaliści ostrzegają, że jeżeli w ciągu najbliższych 10-20 lat nie zatrzymamy emisji gazów cieplarnianych, bardzo prawdopodobny stanie się wzrost poziomu morza do końca tego stulecia o metr. Co oznacza metr, do którego trzeba dodać kolejny metr na spiętrzenia sztormowe? Niżej położone dzielnice Gdańska i Dolny Sopot będą zagrożone powodzią od strony morza. To samo dotyczy Żuław Elbląskich i Gdańskich, terenów nad Zalewem Szczecińskim

no 147 ton odpadów. Fundacja Mare i Instytut Morski we współpracy z międzynarodowym gronem ekspertów pracują nad projektem „Ogólna metodologia oczyszczania wraków na Bałtyku”. Projekt zaplanowany jest do końca stycznia 2020 r. W Finlandii rozpoczyna się właśnie rządowy program zarządzania wrakami, a jednym z celów będzie przeprowadzenie operacji wydobywania paliwa z wyselekcjonowanych wraków. Szwedzka Agencja Gospodarki Morskiej i Wodnej SWAM koordynuje program oczyszczania morza z wraków i substancji ropopochodnych oraz sieci widm. Pod auspicjami WWF realizowany jest program Marelitt Baltic – czyszczenia morza ze sprzętu rybackiego.

Do zmniejszenia o połowę zanieczyszczeń płynących do Morza Bałtyckiego z obszarów miejskich ma się przyczynić stworzenie inteligentnych systemów odwodnieniowych, które mogą być stosowane przez miasta i służby wodociągowo-kanalizacyjne. Jest to cel projektu o nazwie NOAH realizowanego przez 18 partnerów kierowanych przez Uniwersytet Techniczny w Tallinnie. Projekt, którego budżet wynosi 3 mln euro, ma zostać zrealizowany do końca czerwca 2021 r. Na pewno rozwiązanie problemu bałtyckich zanieczyszczeń nie będzie możliwe bez przemysłowej współpracy międzynarodowej.

*Bronisław Turnitowicz
Współpraca Helena Leman*

Wykorzystano materiały Komisji Helsińskiej – HELCOM, Fundacji Mare i WWF, Morskiego Instytutu Rybackiego, Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku i portalu Nasz Bałtyk

Andrzej Walicki

O Rosji inaczej

Rosjanie zachowali ogromny samokrytycyzm,
ale nie zniosą niesprawiedliwego poniżania

Na początku XX w. Rosja stała się krajem mocno zintegrowanym z zachodnią Europą, rozkwitającym gospodarczo i budzącym podziw swoją kulturą. Ale już w drugiej dekadzie stulecia czekało ją następne, wyjątkowo głębokie zerwanie historycznej ciągłości: masowa emigracja lub degradacja wszystkich elit, wtargnięcie na scenę dziejową, pod sztandarem rewolucyjnego wandalizmu, zdemoralizowanych przez wojnę i rewolucję mas robotniczo-chłopskich, potem zaś niewątpliwy awans społeczny tych mas, ale za cenę zniszczenia ich kultury – zarówno zaradności gospodarczej, jak i kultury wspólnotowej, przymusowa kolektywizacja wsi, połączenia ze sztucznym roznieceniem wśród chłopów walki klasowej, która nie miała nic wspólnego z tradycyjnym kolektywizmem chłopskiej obszczy. A po straszliwej, ale zwycięskiej wojnie i śmierci Stalina długi okres bardzo powolnej i zygawkowej normalizacji, następnie zaś nowe zerwanie ciągłości, wyjątkowo głębokie, polegające bowiem na lawinowym wygaśnięciu wiary w sens „budowania komunizmu”. Dla nas brzmi to dziwnie, wolimy przypisywać upadek opresyjnego ustroju przyczynom zewnętrznym, ale reliktowa choćby wiara w ów sens wśród liczącej się części elity partyjnej była jednak koniecznym warunkiem istnienia ustroju. Powstał on przecież nie żywiołowo, lecz jako rezultat świadomej woli swoich twórców, a więc nie mógł istnieć, gdy woli tej zabrakło.

Okresu „katastrofki”, czyli dzikiego, oligarchicznego kapitalizmu lat 90., nie uwzględniam, bo nikt go nie chciał z wyjątkiem jego beneficjentów. Ale na pewno był on kolejną katastrofą Rosji i w tym sensie kolejnym pęknięciem jej historii.

Wszystko to ma ścisły związek z Putinowską ideą „konserwatywnej odnowy”. Nie jest ona jakimś „programem dla świata”, ale wyłącznie programem dla Rosji, czyli kraju, który ucierpiał więcej chyba niż jakkolwiek inny od radykalnych zerwań ciągłości i zaczynania wszystkiego do nowa, a więc zasłużył w końcu na rozwój kumulatywny, konserwatywny właśnie, a nie rewolucyjny, budujący ciągłość, łączący postęp z zachowawczością,

dokonujący się przez swobodne działania obywateli, a nie przez wielkie, politycznie sterowane kampanie mobilizacyjne. Doskonałym ułatwieniem wyboru takiej właśnie drogi jest Putinowskie pojęcie „losu Rosji”. Pojęcie to jest bowiem inkluzywne, a nie wykluczające, mieszczą się w nim bohaterowie obu stron rosyjskiej wojny domowej, wielcy rewolucjoniści i obrońcy niszczonego przez nich państwa. Szczególne miejsce w tym losie wielkiego kraju zajmują męczennicy prawosławnej Cerkwi oraz ostatni cesarz Rosji, bestialsko zamordowany wraz z rodziną przez bolszewików. Nikt jednak nie jest tej wizji losu przeciwny, z komunistami włącznie.

„Konserwatywna odnowa” w przypadku Rosji nie jest więc i nie może być programem reanimacji opresyjnego konserwatyzmu obyczajowego, zawsze bardzo słabego wśród zeuropeizowanych elit, a w wersji ludowej unicestwionego w czasach radzieckich. Hasło to wyraża przede wszystkim dążenie do przywrócenia akceptowalnej normalności, należytą tak boleśnie doświadczonemu przez

historię narodowi. Normalności polegającej na zaleczeniu ran i w miarę możliwości zapomnieniu o nich. Częścią tej normalności jest żywiołowe dążenie do zbliżenia z Zachodem, tego bowiem pragną zamożni Rosjanie, marzący o urlopach w zachodniej Europie, o kształceniu tam dzieci, kupowaniu domów, a przy tym słusznie uważający się za Europejczyków, bo europejska jest przecież ich kultura. To samo ciążenie ku powrotowi do „wspólnego europejskiego domu” reprezentowali przywódcy nowej Rosji, poczynając od Gorbaczowa, a Putin był w pierwszych latach swojej prezydentury najbardziej okcydentalistycznym przywódcą Rosji. Dziś jest inaczej, bo opinie Zachodu (wspierane dotkliwymi sankcjami) przestały się dlań liczyć jako skompromitowane podwójnością standardów i zależnością od materialnych interesów. (To ostatnie zresztą, dodam od siebie, daje jakąś nadzieję, bo trudno wyobrazić sobie, aby interesem Zachodu było na dłuższą metę wypychanie Rosji w rolę satelity Chin).

Społeczne poparcie dla Putina pod nieustającym naciskiem Zachodu na pewno nie osłabnie – chyba że sam Putin nie wytrzyma nerwowo i popełni jakieś karygodne błędy.

Rosjanie bowiem przezwyciężyli już stan szoku, w którym jakby odechciało im się żyć, nie chcą na pewno mobilizować się do wielkich czynów, zachowali ogromny samokrytycyzm, ale nie zniosą niesprawiedliwego poniżania. I mają rację. Lekceważenie tego może się okazać bardzo niebezpieczne.

Wynika stąd, że „konserwatywna odnowa” w Rosji, gdyby się udała, byłaby zjawiskiem pozytywnym. Rosja dzięki niej stałaby się stabilna, a więc bardziej przewidywalna, lepiej przygotowana do demokratyzacji w sensie zachodnim (jeśli sama uzna to za potrzebne) i w pełni wiarygodna we współpracy gospodarczej z resztą świata.

Powyższy fragment pochodzi z książki
O Rosji inaczej, wydanej przez PRZEGŁĄD



67 zł

**Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt
wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość dostawy kurierem
InPost – 14,90 zł.
eprasa.pl 215e14bd0c

Studenci zadłużeni na wieczność

Koszty edukacji wyższej w Stanach Zjednoczonych wymknęły się spod kontroli

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Zachęcamy do udziału w naszej loterii, masz szansę spłacić swój dług studencki! Główna wygrana to 100 tys. dol., kolejnych 300 szczęśliwców zredukuje zadłużenie o 500 dol. każdy. By wziąć udział w losowaniu, wystarczy załadować naszą aplikację i... zamówić jedzenie za przynajmniej 5 dol.!

Różne są pomysły na biznes, ale Burger King trafił w dziesiątkę. Liczba amatorów whopperów od razu strzeliła w górę, bo i zdesperowanych ludzi, którzy spłacają studia nawet dziesiątki lat po ich ukończeniu, jest w USA zatręśnienie. Statystyki mówią o 44 mln, czyli o co czwartym dorosłym obywatelu. Sam dług niedawno przekroczył 1,5 bln dol., czyli wynosi średnio 30 tys. dol. na dłużnika i nadal rośnie o ok. 4% rocznie.

Loteria Burger Kinga to zagrywka ekonomiczna obliczona na zwiększenie obrotów i poprawę samopoczucia akcjonariuszy. Ale jeżeli dzięki niej przynajmniej jedna osoba wydobędzie się z dołka, a kilkaset innych nie będzie musiało się martwić o spłatę rat przez miesiąc lub dwa, i tak jest to rozwiązanie o niebo lepsze niż propozycje płynące z Białego Domu. Ivanka Trump, tak samo jak ojciec oderwana od rzeczywistości, przekonuje, że antidotum na dług studencki powinny być... ograniczenia w dostępie do pożyczek na naukę.

Lekkomyślni czy rozważni?

Kto nie zna realiów amerykańskiej edukacji, może pomyśleć – i słusznie! – że mamy kolejny dowód skrajnej lekkomyślności i nieodpowiedzialności Amerykanów. Bez opamiętania pożyczają, a potem rwą włosy z głowy. Czy krach finansowy sprzed 10 lat nie był wynikiem tej samej lekkomyślności? Za proceder bezmyślnego udzielania pożyczek hipotecznych bezmyślnym ludziom,

którzy przy najmniejszym tąpnięciu rynku nie będą w stanie sprostać zobowiązaniom finansowym, zapłacił cały świat. Amerykanie osiągnęli mistrzostwo w nabywaniu dóbr, na które ich nie stać.

Edukacja, tak jak domy czy samochody, też jest dobrem, ale innego rodzaju. Jej wartość nie poddaje się nadmiernym zmianom, a powiedzenie, że „nie ma takiej ceny, której nie warto zapłacić za porządną edukację”, jest tak samo aktualne dziś jak w całej erze nowożytnej. Skala zadłużenia na naukę pokazuje w takim razie skalę inwestycji w siebie i swoją przyszłość, która ma sens tym większy, że wykształcenie wyższe przekłada się w Ameryce na znaczący skok w zarobkach. Mówimy o przynajmniej 1 mln dol. więcej w ciągu życia zawodowego dla osoby z dyplomem

Amerykanie osiągnęli mistrzostwo w nabywaniu dóbr, na które ich nie stać.

bakalarza i o 2 mln więcej dla magistra, niż będą wynosić dochody osoby z dyplomem ukończenia liceum. W tym świetle dług studencki wydaje się świadczyć raczej o rozwadze i odpowiedzialności.

Problem leży gdzie indziej – w kosztach edukacji wyższej, które wymknęły się spod kontroli w ostatnim ćwierćwieczu. Niestety, Ameryka wciąż się upiera, że jedyną opcją ekonomiczną jest dla niej wolny rynek.

Uczelnia publiczna made in USA

Nauka w kapitalistycznym świecie przez większą część jego historii nie była darmowa. W USA, gdzie idea kapitalizmu i absolutystyczne podejście do minimalizacji ingerencji rządu w życie obywatela od początku stanowiły główne elementy państwowości i tożsamości, opłaty za naukę zawsze były wyższe niż gdzie indziej. Niekoniecznie jednak świadczyło to o jakości, raczej – jak rozpa-

czał „New York Times” już w 1875 r. – o tym, że uniwersytety oferowały studentom zbędne luksusy, jeśli chodzi o zakwaterowanie, wyżywienie, a nawet „rekreacje atletyczne”. Na fali idei oświeceniowej, która w Ameryce zbiegła się z ruchem abolicjonistycznym i reformami po wojnie secesyjnej, zaczęły powstawać pierwsze uniwersytety publiczne. Publiczne – bo choć wciąż pobierały od studentów czesne, było ono dużo niższe niż na uczelniach prywatnych, gdyż głównym źródłem ich finansowania były rządy stanowe. Ten typ uniwersytetu do dziś skupia 80% uczących się w USA. Jeszcze do lat 80. opłaty za uczelnie publiczne były na tyle niskie, że pracując na pół etatu za najniższą stawkę godzinową, student mógł zarobić i na czesne, i na utrzymanie, nawet jeśli kształcił się z dala od domu.

Termin pożyczka studencka do lat 60. nawet nie istniał. Pojawił się dopiero, gdy na uniwersytety masowo ruszyło pokolenie baby boomerów (wyżu demograficznego). Najlichniesze w powojennej historii kraju i zaangażowane w walkę o równouprawnienie domagało się od rządu zlikwidowania bariery w dostępie do edukacji. Wtórowali mu ekonomiści, alarmując, że wykształcenie jest najważniejszym kapitałem i tylko ono zapewni Ameryce globalny prymat.

Europa Zachodnia mniej więcej w tym samym czasie zaczęła eksperymentować ze studiami całkowicie finansowanymi z budżetu państwa. Amerykańscy reformatorzy wybrali drogę rynkową. W 1972 r. Kongres przegłosował Ustawę o edukacji wyższej, która powoływała do życia instytucję finansową Sallie Mae do udzielania studenckich pożyczek federalnych oraz automatycznego poręczania przez rząd pożyczek prywatnych. Ustawa gwarantowała jednocześnie odroczenie obowiązku spłaty długu do chwili, aż student odbierze dyplom i znajdzie pracę.



27 tys. dol. – tyle kilka lat temu wynosił przeciętny dług zaciągnięty na studia.

– W założeniu system ten powinien był działać wzorowo i być narzędziem awansu społecznego dla osób biednych i mniejszości. Ale okazało się, że wypuściliśmy z klatki potwora. Większy dostęp do szkół w parze z większym dostępem do pożyczek zmieniły rynek edukacji wyższej w USA w Dziką Zachód. Rozpoczął się morderczy wyścig po federalne pieniądze – powiedziała po latach Alice Rivlin, ekonomistka rządowa odpowiedzialna za kształt ustawy z 1972 r.

Tu się liczy kasa, głupcze!

Rząd, w imię dostępności, nie chciał nakładać ani na studentów, ani na uczelnie żadnych ograniczeń, kto może lub nie kwalifikować się do pożyczki. Nie było też żadnych regulacji odnośnie do maksymalnego wzrostu czesnego w skali roku. Czesne rośnie więc bez kontroli, a instytucje edukacji wyższej dodatkowo zaczęły obniżać progi kwalifikacyjne, by przyciągnąć jak najwięcej chętnych. Nastawione były na zarobek, a nie na roztrząsanie, kto na studia się nie nadaje i ich nie ukończy, choć się zadłuży. Przed rokiem 1970 opłaty za studia rosły o ok. 2-3% rocznie. Od połowy lat 70. mówimy już o 8-

10-procentowym wzroście. Od początku nowego tysiąclecia wzrost pozostaje nieodmiennie dwucyfrowy.

Prawdziwa trąba powietrzna pojawiła się jednak nad Ameryką w czasie recesji w latach 2007-2009. Pracę straciło 8 mln ludzi, logiczną odpowiedzią na ten dramat był run na szkoły, by podnieść bądź zdobyć wykształcenie. Nabór na uczelnie stanowe podskoczył o 30%. Niestety, w tym samym czasie zduszone kryzysem niemal wszystkie stany rozpoczęły drakońskie cięcia finansowania

Uczelnie mogą dowolnie windować ceny i wykorzystywać wpływy z czesnego.

tych szkół – trend, który trwa do dzisiaj. Efektem był dalszy drenaż kieszeni studenta. Dla porównania: rok studiów wraz z zakwaterowaniem na Stanowym Uniwersytecie Kolorado, przy którym mieszkam, kosztował rezydenta stanu (ci płacą kilka tysięcy dolarów mniej niż przybysze spoza stanu) 13 tys. dol. u progu 2008 r. Dzisiaj to koszt 23 tys. dol. Na uczelniach prywatnych dolny próg opłat to 40 tys. dol. rocznie. Najlepsi mogą liczyć na stypendia naukowe, a najbiedniejsi na socjalne (tzw. granty Pell), ale zawsze jest to tylko częścio-

we pokrycie kosztów, w najlepszym wypadku do ok. 15 tys. dol. rocznie.

Monopolista Fed

Nie byłoby bonanzy dla uniwersytetów, a zjazdu po równi pochyłej studentów w ostatniej dekadzie, gdyby nie jeszcze jedno zjawisko. W jak najlepszej wierze, by dodatkowo zabezpieczyć pożyczki studenckie i tym samym zachęcić ludzi do nauki, prezydent Barack Obama praktycznie wyprowadził z tego rynku banki prywatne, robiąc z banku centralnego (Fed) *de facto* monopolistę. Darmowe pieniądze federalne – tak w oczach uczelni wyglądały i wyglądają do dziś studenckie kredyty – kto by nie skorzystał i nie wycisnął z nich, ile się da? Mimo propozycji ustaw ze strony demokratycznych kongresmenów i oddolnych akcji obywatelskich, by Ameryka wzorem innych państw zaczęła przynajmniej regulować wzrost opłat za studia, Obamie nie udało się wprowadzić tej zmiany. Uczelnie mogą więc dowolnie windować ceny. Co ciekawe, wpływy z czesnego mogą spożytkować na różne sposoby, nie tylko pensje dla profesorów czy remont sal wykładowych. Stanowy Uniwersytet Kolorado wybudował w ostatnich pięciu latach nowy stadion dla uczelnianej drużyny futbolowej, choć „stary” miał się świetnie, a przytłaczająca większość mieszkańców stanu i studentów opowiadała się przeciw projektowi.

Jak oderwany od finansowych możliwości przeciętnego człowieka jest obecny koszt studiów w USA, najlepiej uzmystowimy sobie, wstawiając go w kontekst zarobków. Student zatrudniony na pełny etat w branży handlowej, hotelarskiej czy gastronomicznej – tradycyjnych miejscach pracy dla osób uczących się, tzw. *entry-level jobs* – może liczyć maksymalnie na zarobki rzędu 20-26 tys. dol. brutto rocznie. Gdyby więc nawet jakimś cudem udało mu się efektywnie łączyć pracę ze studiami dziennymi, i tak na te studia nie zarobi. Chyba że weźmie drugi etat, ale kiedy?

Starość cię nie obroni

Dług studencki w USA wyróżnia na tle reszty świata nie tylko jego

► astronomiczna wielkość odpowiadająca trzykrotności PKB Polski, ale i fakt, że dłużnicy są w każdym przedziale wiekowym, nawet wśród emerytów. Więcej – amerykańscy seniorzy to grupa, w której ten rodzaj długu wzrasta obecnie najszybciej. Między 2010 a 2017 r. niemal się potroił. Jak to możliwe? Długu studentckiego, w przeciwieństwie do innych rodzajów długu konsumenckiego, nie można bowiem w żaden sposób zlikwidować, nawet na drodze bankructwa. Jedyne formy dostępnej pomocy to programy umorzeniowe, dobroczynność pracodawcy, który może oferować pracownikowi spłatę jakiejś części w ramach pakietu socjalnego, ewentualnie podzielenie się tym długiem z rodziną. Może ona skonsolidować go z innymi formami swojego zadłużenia, np. hipotecznego. Amerykańscy emeryci z długiem studentckim to w sporej części właśnie osoby pomagające finansowo krewnym. Nie ma znaczenia, czy są biedni, czy bogaci. Rząd automatycznie obcina im na to konto z emerytury Social Security nawet 15% miesięcznej wypłaty.

Czy zatem dług studentcki dobije Amerykę? W mediach raz po raz pojawiają się kasandryczne doniesienia, że mamy do czynienia z kolejną bańką i lepiej szykujemy się na jej pęknięcie. Eksperci, wśród nich John Brooks, profesor prawa podatkowego na Uniwersytecie Georgetown, uspokajają jednak, że o krach porównywalny do tego z 2008 r. martwić się nie musimy, gdyż pożyczkodawcą jest Fed, więc nawet jeśli wybuchnie epidemia niewypłacalności, nie uderzy ona w banki prywatne, a tym samym nie zdusi rynku. Ale są inne, nie mniej ważne społecznie i ekonomicznie koszty tego zadłużenia.

– Mówimy o całym pokoleniu, które już u progu dorosłości jest obciążone poważnym długiem. To nie pozostaje bez wpływu na najważniejsze życiowe decyzje tych osób i już widzimy, jak zmienia się w związku z tym oblicze Ameryki – mówi John Brooks.

Po pierwsze: własność mieszkaniowa, wyróżnik ekonomiczny do dziś uważany w Ameryce za dowód przepoczwarzania się młodego człowieka w osobę prawdziwie dorosłą.



Para młodych lekarzy żyje w vanie, żeby móc spłacić dług zaciągnięty na kosztowne studia medyczne.

Dług studentcki w parze z faktem, że ceny domów w USA w ostatnich 30 latach poszły w górę o prawie 40%, sprawia, że najmłodsze pokolenie amerykańskich dorosłych, czyli urodzeni w latach 1981-1996 mileniałsi, odwleka moment inwestycji we własne cztery kąty. Ma je tylko jedna trzecia, pozostali wieszczą pesymistycznie, że nie uda im się zrealizować tego celu szybciej niż za 20 lat. Tyle czasu zajmie bowiem zgromadzenie kapitału na 20-procentowy

wej, a prawie połowa (48%) żyje od wypłaty do wypłaty.

Amerykańska gospodarka od dziesięcioleci konsumpcją swoich obywateli stoi. Co ją czeka? Ekonomiczny establishment żyje nadzieją, że mileniałsi otworzą szerzej portfele, gdy zaczną awansować i więcej zarabiać. Bo kiedyś chyba w końcu... zaczną.

Poza tym dług studentcki powstrzymuje młodych Amerykanów przed zakładaniem rodziny. Oczywiście mamy tu do czynienia z ogólnosiwiatowym trendem, ale trudno nie zauważyć, że istotny spadek w statystykach ślubów i narodzin (dane Center for Disease Control, CDC) zaczął się w USA po roku 2008. CDC alarmuje, że w 2017 r. urodziło się najmniej dzieci od 30 lat, a jednocześnie pikowała liczba narodzin wśród matek poniżej 35. roku życia. „Matki z pokolenia mileniałsi będą pierwszymi w historii USA, które nie zrealizują ambicji rodzinnych, bo te rozbijają się o realia biologiczne, czyli o obniżoną na skutek wieku płodność”, podsumowała CDC. Anne Petersen, dziennikarka serwisu BuzzFeed, tak odniosła się do tej „rewelacji”: „Setki tysięcy z nas nie dają rady zaoszczędzić na własne życie, co więc mówić o wychowywaniu i kształceniu dzieci. Moglibyśmy je

Skala zadłużenia na naukę pokazuje skalę inwestycji w siebie i swoją przyszłość.

wkład. Dla porównania: prawie połowa baby boomerów – rodziców mileniałsi oraz gen-X-erów, ich starszego rodzeństwa – mieszkała na swoim jeszcze przed ukończeniem 34. roku życia. Ale cierpią i inne obszary konsumpcji. Jak podaje Bureau of Labor Statistics (styczeń 2019), mileniałsi kupują i akumulują o całe 30% mniej niż ich rodzice i dziadkowie, częściej wybierają rzeczy używane, w tym samochody, i nie są lojalni wobec marek, bo ważniejsza jest dla nich cena towaru. A i tak mimo zakupowej wstrzemięźliwości ponad połowa (52%) nie jest w stanie na bieżąco spłacać zadłużenia z karty kredytowej.

co najwyżej wyposażyć w ich własny, kolosalny dług”.

Wreszcie wizja wysokiego zadłużenia nie pozostaje bez wpływu na decyzje o wyborze studiów. Z kalkulatorem w ręku Amerykanie coraz szerszym łukiem omijają nauki humanistyczne i pedagogiczne. Problem z niedoborem pracowników w sferze budżetowej zauważył już prezydent George W. Bush. Odpowiedział na niego w 2007 r. ustawą o możliwości „umorzenia” długu studenckiego osobom decydującym się na wykształcenie potrzebne w sektorze publicznym i zatrudnionym w tym sektorze przez co najmniej 10 lat. W ubiegłym roku do Departamentu Edukacji zgłosili się pierwsi kandydaci do umorzenia długu. Niestety, 98% z 29 tys. złożonych wniosków odrzucono, korzystając z rozmaitych kruczków, o których, jak się okazało, większość wnioskodawców dowiedziała się dopiero teraz. Swego czasu nie mieli o nich pojęcia nawet doradcy finansowi na uniwersytetach. Raczej nie zachęci to dzisiejszych licealistów do podobnego eksperymentowania.

Kto przejdzie na emeryturę

Ale najbardziej dramatyczne piętno, jakie dług studencki może odcisnąć na Ameryce, dotyczy jeszcze innej sfery – emerytalnej. Amery-

Zwiększa się liczba Amerykanów na uczelniach zagranicznych, głównie w Europie.

kański rząd już od co najmniej 15 lat oswaja obywateli z tym, że ok. 2035 r. federalny fundusz emerytalny Social Security, ustanowiony w 1935 r. przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta jako powszechne zabezpieczenie socjalne dla każdego Amerykanina, wyschnie na wiór. Odkąd przed ośmiu laty na emeryturę zaczęli przechodzić baby boomerzy, wypłaty robione dzisiaj płyną z bieżących składek osób pracujących. Niewypłacalność funduszu jest kwestią czasu. Amerykańscy seniorzy zaś polegają teraz na Social Security bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości. Po pierwsze, czasy, gdy amerykańskie przedsiębiorstwa powszechnie

uposażały pracowników w firmową emeryturę, dawno za nami. Robi to tylko co szósty pracodawca w firmie do 500 osób i mniej niż co 10. w firmie z personelem poniżej 100 osób. Po drugie, choć firmowa emerytura zastąpiona została pracowniczymi planami oszczędnościowymi 401K (odpowiednik polskiego indywidualnego konta emerytalnego)

Wykształcenie wyższe przekłada się w Ameryce na znaczący skok w zarobkach.

i większość pracodawców w nich uczestniczy, to grubo ponad połowa pracowników nie oszczędza tyle, ile powinna, by choć minimalnie zabezpieczyć się na starość, bo... nie ma na składki.

Najnowsze dane think tanku National Institute on Retirement Security wykazują, że dwie trzecie obywateli poniżej 40. roku życia nie ma żadnych oszczędności emerytalnych. Ameryka już należy do światowej czołówki państw, w których z pracołolizmu uczyniono wartość, choć niekoniecznie z pobudek korzystnych dla pracownika.

W przyszłym roku Amerykę czekają kolejne wybory prezydenckie. Temat długu studenckiego obowiązkowo jest w programie każdego kandydata z każdej frakcji politycznej. Najgłośniej oczywiście zrobiło się o „rewolucyjnym” postulatcie Berniego Sandersa, by cały dług umorzyć i by studia stały się darmowe, jak w wielu innych krajach, finansowane z budżetu państwa. Na to nie zgodzi się przynajmniej połowa elektoratu, która rozwiązanie wszystkich ekonomicznych problemów widzi wyłącznie w obniżeniu podatków i dalszym uwalnianiu rynku.

John Brooks jest zdania, że najbardziej realnym scenariuszem reform będzie plan „małych kroczków”. – W obecnym klimacie politycznym nie ma szans na żadne przełomowe ruchy. Dla własnego dobra powinniśmy jak najszybciej dogadać się w trzech sprawach. Po pierwsze, umorzyć przynajmniej część długu, by ocalić przyszłość całemu pokoleniu. Po drugie, ulepszyć program wymazywania tego długu

dla wszystkich po upływie pewnego okresu, bo emerytura to nie czas na borykanie się z takimi obciążeniami. I po trzecie, lepiej wspierać studentów, by nie przerywali nauki. Wiemy, że zadłużenie jest największym problemem dla grupy, która wzięła pożyczkę, lecz studia przerwała. Ona jest najbardziej dotknięta niewypłacalnością, bo to ludzie bez wykształcenia i kwalifikacji, z najniższymi zarobkami – wyjaśnia Brooks.

A jeśli nic się nie zmieni i nie poprawi? Los gospodarki pozostaje niewiadomą, ale dłużnicy już dziś mogą sięgnąć po rozwiązanie prawdziwie radykalne, ucieczkę z kraju. Rząd USA ma prawo automatycznie ściągać raty zadłużenia z zarobków pobieranych w USA, ale nie za granicą. Historie „radykałów”, którzy zdecydowali się osiedlić w Chinach, Japonii, na Ukrainie, a nawet w dżungli, by uwolnić się w ten sposób od studenckiego długu, zdominowały wiosenne wydania opiniotwórczych mediów w USA. Nie ma na razie danych, jak znaczący to trend i czy rośnie, są za to inne – wskazujące, że zwiększa się liczba Amerykanów na uczelniach zagranicznych, głównie w Europie. Wykształcenie zdobywa tam ponad 300 tys. obywateli USA, o 100 tys. więcej niż przed dekadą. Czy ktoś by pomyślał, że Amerykaninowi będzie łatwiej w dalekim świecie niż na łonie ojczyzny?

Eliza Sarnacka-Mahoney

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Fundamentalny spór w tonie polskiej lewicy.



Autokratów lęk przed akademią

Od Ameryki Południowej po Europę antyliberalne władze neutralizują ośrodki naukowe

Mateusz Mazzini

Choć Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami, w stojących w centrum Budapesztu nowoczesnych budynkach kampusu Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego (bardziej znanego pod anglojęzycznym skrótem CEU) nikt się nie cieszył. Kiedy 3 grudnia 2018 r. władze ostatecznie potwierdziły, że od nowego roku akademickiego uczelnia przenosi się do Wiednia, studenci i wykładowcy czuli raczej porażkę i bezradność w konfrontacji z autokratycznym państwem Viktora Orbána.

Rektor CEU, kanadyjski historyk i liberalny polityk Michael Ignatieff, próbował jeszcze robić dobrą minę do złej gry. W przedświątecznym przesłaniu do studentów podkreślał, że przenosiny do Wiednia są „ekscytującą

Założona w 1991 r. w Pradze, dwa lata później przeniesiona do Budapesztu, była w ostatnich dekadach zdecydowanie najlepsza w tej części Europy pod względem nauczania na kierunkach humanistycznych i w naukach społecznych. W ciągu niespełna 30 lat wykształciła ponad 15 tys. wysoko wykwalifikowanych absolwentów, wielu z nich piastuje dziś ważne stanowiska w polityce, instytucjach uniijnych czy na innych prestiżowych uczelniach. Dyplomem CEU legitymują się m.in. obecny prezydent Gruzji Giorgi Margwelaszwiili, byli ministrowie sprawiedliwości Rumunii i Chorwacji czy polski rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Polityka ściągania najlepszych naukowców z Europy Środkowo-Wschodniej, wspartych regularnie odwiedzającą Węgry kadrą socjologów, filozofów i ekonomistów z USA

idzie, programy nauczania i kryteria uzyskania dyplomów tworzone były zgodnie z amerykańskim, a nie europejskim modelem. I pewnie byłoby to jeszcze do przetknięcia, gdyby nie fakt, że za finansowanie i rozwój CEU, który stał się ostatnim bastionem liberalizmu na Węgrzech, odpowiadał naczelny wróg Orbána, George Soros.

Walka o pozostawienie uczelni w Budapeszcie trwała 18 miesięcy. Zaangażował się w nią praktycznie cały świat akademicki. Listy poparcia dla CEU i apele do rządu Węgier stali naukowcy z Oksfordu, Harvardu, Yale, przedstawiciele towarzystw naukowych od USA po Australię. Orbán okazał się jednak nieugięty – uczelniani liberałowie muszą się wynosić do Wiednia.

Soros jak drzazga

Węgierski premier nigdy nie ukrywał, że w CEU najbardziej przeszkadza mu Soros – jego dawny mecenas i patron, dziś uosobienie najgorszych demonów. Oficjalnym powodem wyrzucenia uczelni do innego kraju jest co prawda „zaburzenie konkurencji na rynku uczelni wyższych”, jednak trudno to uzasadnienie brać poważnie. Politycy rządzącej partii Fidesz mówili półtora roku temu, że mając dostęp do fortuny Sorosa, CEU jest w stanie oferować więcej niż inne węgierskie uniwersytety, a jednocześnie pozostawać pod częściowym jedynie nadzorem władz w Budapeszcie. Dlatego Lex CEU to tak naprawdę dokument będący w interesie „wszystkich Węgrów”.

W praktyce Orbán nie potrafił dłużej tolerować obecności szkoły tworzonej przez jego największego przeciwnika. Nawet w oficjalnym komunikacie Ministerstwa ds. Zasobów Ludzkich z 3 kwietnia 2017 r. uczelnię opisano jako „uniwersytet Sorosa”, zarzucając jej „działanie na szkodę węgierskiego państwa i wprowadzanie dyskryminujących praktyk w biz-

W ciągu niespełna 30 lat CEU wykształcił ponad 15 tys. wysoko wykwalifikowanych absolwentów, wielu z nich piastuje dziś ważne stanowiska.

szansą”, która pozwoli CEU stać się „uniwersytetem prawdziwie międzynarodowym”, funkcjonującym jednocześnie w dwóch państwach. Zachęcał też nowych studentów do składania aplikacji, podkreślając, że uczelnia była, jest i będzie instytucją w całości niezależną.

Przymusowa wyprowadzka do Wiednia

Słowa Ignatieffa brzmią jednak jak zaklęcie rzeczywistości. CEU w praktyce opuszcza Węgry, bo został do tego zmuszony. Wprawdzie w Budapeszcie kontynuowane będzie nauczanie w ramach pojedynczych programów magisterskich, utrzymane też zostaną już rozpoczęte małe projekty badawcze, ale to tylko ułamek akademickiego życia, jakie uczelnia rozwijała w stolicy Węgier.

i Europy Zachodniej, w połączeniu z przystępnymi kosztami życia w Budapeszcie i szeroką ofertą stypendialną sprawiła, że CEU stał się realną alternatywą dla studiów w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych.

Ostatni rozdział tej imponującej historii rozpoczął się w kwietniu 2017 r. Wtedy to rząd Viktora Orbána, coraz silniej dryfujący w kierunku państwa w całości zależnego od osobistych decyzji premiera, wprowadził tzw. Lex CEU. Tak ochrzczono ustawę o węgierskich oddziałach uczelni zagranicznych. Uniwersytet Środkowoeuropejski, choć ulokowany w Budapeszcie, formalnie węgierską placówką był jedynie częściowo. Według oficjalnej dokumentacji stanowił akredytowany na Węgrzech oddział amerykańskiego Bard College. Formalnie więc podlegał amerykańskim regulacjom akademickim. Co za tym



Walka o pozostawienie CEU w Budapeszcie trwała 18 miesięcy. Nz. jeden z pierwszych protestów w kwietniu 2017 r.

nesie". Szefowi rządu przeszkadzało nie tylko to, że Soros na uczelni zarabiał, ale też fakt, że zapraszał na nią wiodących polityków i myślicieli liberalnych czy lewicowych. To w połączeniu ze ściąganiem kandydatów z zagranicy (Węgrzy stanowią 23% studentów) godziło w wizję kraju według Orbána – Węgier konserwatywnych, suwerennych w Europie i przede wszystkim niechętnych przybyszom z zewnątrz.

Szybko się okazało, że pacyfikacja Sorosa i CEU to dopiero pierwszy krok w zdominowaniu świata nauki. Węgierski parlament debatuje nad rządowym projektem reformy Węgierskiej Akademii Nauk, bardzo podobnym w założeniach do polskiej reformy sądownictwa z 2017 r. Zakłada on połączenie WAN i wiodących uniwersytetów w „sieć naukową”, kierowaną przez 12-osobową radę. Zasiadać w niej ma sześciu naukowców i sześć osób z Ministerstwa Technologii i Innowacji. Wszystkich jednak wskaże i zaakceptuje rząd. W praktyce doprowadzi to do pełnego upolitycznienia najważniejszej naukowej instytucji w kraju.

Oficjalnie ma to być reforma jakościowa, podnosząca wkład węgierskiej nauki w rozwój gospodarczy państwa. Realny cel jest zupełnie inny. Politykom takim jak Orbán nauka potrzebna jest tylko wtedy, kiedy służy ich rządowi i ich ideologii.

Ci źli humaniści

Podobnie działa inna gwiazda antyliberalizmu, prezydent Brazylii Jair Bolsonaro. Wybrany w listopadzie ub.r., zdążył już publicznie obrazić co najmniej kilkanaście grup społecznych. Jest politykiem otwarcie homofobicznym, który przeciwników politycznych, zwłaszcza z lewej strony, najchętniej pozamykałby w więzieniach lub co najmniej pozbawił z pracy i zabrał im obywatelstwo. W tej grupie znajdują się socjologowie, filozofowie, kulturoznawcy itp.

Rząd Bolsonaro przygotował w kwietniu nową ustawę o finansowaniu szkół wyższych. Zgodnie z nią pieniądze z budżetu państwa trafiać będą już nie do całych placówek, ale na poszczególne wydziały. I na

pewno nie trafią do humanistów. Bolsonaro twierdzi bowiem, że katedry tych dyscyplin są „wylęgarnią homoseksualizmu, komunizmu i zgorzienia”, niszczących brazylijskie społeczeństwo. Więcej pieniędzy trafić ma natomiast na wydziały techniczne i medyczne, które są nie tylko wolne od ideologii, ale też, przynajmniej według prezydenta, bardziej dochodowe.

Nowe prawo może doprowadzić do likwidacji większości wydziałów humanistycznych na brazylijskich uczelniach publicznych. Nauki społeczne i humanistyczne ostaną się wyłącznie na uczelniach prywatnych. Kryterium zysku, jako gospodarka ma z każdego absolwenta szkoły wyższej, jest zresztą ulubionym uzasadnieniem antyliberalnych reformatorów. Do nauki podchodzą jak do biznesu. Mówią o niej w kategoriach monopoli, uczciwej konkurencji, dochodowości. Pod tą korporacyjną narracją kryje się jednak mocno zideologizowany strach – że tak jak dziesiątki razy w historii uniwersytety zamieniały się w ośrodki liberalnego oporu wobec władzy.

► **Czystka Erdoğan**

Żeby tak się nie stało, niewygodnych wykładowców i badaczy najlepiej z nich usunąć. Tak jak zrobił to Recep Erdoğan po nieudanym zamachu stanu z 15 lipca 2016 r. Fała represji, którą turecki prezydent uruchomił wobec przeciwników politycznych, w środowisko akademickie uderzyła z ogromną siłą. Według raportu Free to Think (Wolny, by myśleć) organizacji Scholars at Risk, zajmującej się przypadkami ataków na naukowców i naruszania wolności prowadzenia badań, tylko od lipca 2016 r. do marca 2017 r. z tureckich

dań, np. przez brak dostępu do bibliotek czy archiwów państwowych. W raporcie Free to Think Turcja jest krajem wymienianym aż 106 razy – najczęściej ze wszystkich badanych.

Naloty na akademiki

Są też państwa, w których władzy najbardziej przeszkadzają w środowisku akademickim nie wykładowcy, ale studenci. Taka sytuacja ma miejsce chociażby w RPA, gdzie prawie trzy dekady od zakończenia polityki apartheidu segregacja rasowa na uczelniach wciąż jest ponurą rzeczywistością. We wrześniu 2016 r. tamtejsi

Bolsonaro twierdzi, że katedry humanistyczne są „wylęgarnią homoseksualizmu, komunizmu i zgorzenia”.

uniwersytetów zwolniono dyscyplinarnie 7 tys. pracowników naukowych i administracyjnych. Wobec co najmniej 990 z nich zastosowano areszt przewencyjny, w większości bez postawienia im jakichkolwiek zarzutów. Do więzień za aktywność polityczną trafiło też ponad 300 studentów. Wśród ukaranych naukowców znaleźli się przede wszystkim sygnatariusze listu przeciwko autorytarnym tendencjom w polityce Erdoğan, opublikowanego w styczniu 2016 r. Choć do zamachu stanu doszło pół roku później, dla administracji prezydenckiej nie miało to większego znaczenia. Sprzeciw wobec władzy, bez względu na datę jego wyrażenia, był tożsamy z zaangażowaniem w próbę obalenia Erdoğan.

Turecki przywódca nie poprzestał jednak na sianiu spustoszenia na rodzimych uniwersytetach. Wielu tureckim naukowcom, zwłaszcza prowadzącym badania i wykłady w dziedzinie nauk społecznych, takich jak politologia czy historia, zabronił uczestnictwa w międzynarodowych projektach akademickich. Ci Turcy, którzy na co dzień pracują poza krajem, mają teraz bardzo ograniczoną możliwość powrotu do ojczyzny lub nie mają jej w ogóle. Erdoğan nie chce też wpuszczać do Turcji zagranicznych badaczy – jego kancelaria stworzyła specjalną listę osób, głównie obywateli krajów Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, którym odmówiono tureckich wiz lub utrudniono prowadzenie ba-

studenci zbuntowali się przeciwko polityce podwyższania opłat za studia i ich zdaniem rasistowskim decyzjom w procesie przyznawania stypendiów. Protest zaczął się na jednej z bardziej prestiżowych placówek w kraju, Uniwersytecie KwaZulu-Natal. Z czasem przeniósł się na inne uczelnie i – co gorsza – stał się powodem regularnych starć z policją, próbującą pacyfikować młodzież.

Reakcja władz centralnych wobec ruchu studenckiego była jednak niewspółmierna do skali jego działalności. Już przy pierwszym zderzeniu z policją w stronę młodych demonstrantów poleciały gumowe kule.

Antyliberalni przywódcy reagują najczęściej z nadmierną siłą, tak jakby chcieli zdusić w zarodku rewoltę.

Nie ma dokładnych danych o liczbie represjonowanych studentów, jednak Scholars at Risk szacuje, że co najmniej kilkaset osób zostało usuniętych z list studentów, zawieszonych w prawie uczęszczania na zajęcia lub aresztowanych – wszystko jako skutek ich udziału w manifestacjach. Jeszcze kilka tygodni po wygaśnięciu protestów policja dokonywała nalołów na akademiki i przeszukała, rzekomo ze względów bezpieczeństwa, a w praktyce po to, żeby ruch studencki zastraszać i zniechęcać do dalszej walki z władzami.

Przykłady użycia siły wobec studentów i naukowców sprzeciwiających się władzy mnożą się na całym

świecie. Raport Free to Think wymienia takie przypadki m.in. w Indiach, Kamerunie, Wenezueli, Rosji, Kenii, Izraelu czy Tanzanii. Najczęściej nie ma w nich żadnej regularności, założonej strategii. W większości są to nagłe reakcje władz na pojedyncze publikacje, protesty czy wypowiedzi. Cechuje je częściej histeria niż chłódna polityczna kalkulacja. Wszystkie te sytuacje mają jednak wspólny mianownik – antyliberalni przywódcy reagują najczęściej z nadmierną siłą, tak jakby chcieli zdusić w zarodku rewoltę. Masowe zwolnienia dotyczą nie tylko zaangażowanych w protesty, ale też wszystkich z ich otoczenia, a niepewnych ideologicznie studentów na wszelki wypadek usuwa się z uczelni bez prawa powrotu, czasami za wykroczenia tak błahe z punktu widzenia rządów centralnych jak pojedyncze wpisy w mediach społecznościowych.

Paradoksalnie niektórzy neoautorytarni strongmani chcą, aby na uczelniach było coraz więcej studentów. Oczywiście mowa tu o szkołach już w pełni zależnych od rządu. Im więcej obywateli wykształconych zgodnie z ideologicznymi wskazaniemi władzy, tym lepiej dla niej. Taką taktykę stosuje chociażby Rodrigo Duterte, filipiński *quasi-dyktator*. Jego urzędnicy jeżdżą po całym świecie, zachwalając rezultaty prezydenckiej reformy edukacyjnej. I rzeczywiście – zwiększone nakłady na edukację wyższą mają pozwolić na

dofinansowanie nauki 1,3 mln filipińskich studentów. W rządowych laurkach nie ma jednak mowy o cenzurze programów nauczania, politycznych kryteriach zatrudniania na uczelniach i mobbingu, co dokładnie opisują dziennikarze zniechęconego przez Duterte portalu Rappler.

Antyliberalni liderzy na całym świecie starają się przykryć naukę politycznym kapeluszem. Trochę z zazdrości, trochę ze strachu, trochę z niewiedzy. Nauka ma jednak to do siebie, że do rozwoju potrzebuje głównie myślenia. A nad tym zapanować każdemu rządowi bardzo trudno.

Mateusz Mazzini

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Można by zacząć idyllicznie: czereśnie są, szpaki, niezalęknione kanonadami z mających je odstraszać armatek, zażerają się w najlepsze – bo nie ma pracowników, żeby owoce zbierać. Jak ktoś słusznie zauważył (nie był to przedsiębiorca), pracownicy są, ale nie ma taniej siły roboczej. Przy zbiorze truskawek i czereśni pracowali w ostatnich latach masowo ludzie z Ukrainy. Ale już nie pracują. Pojawili się szacunki, że prawie 250 tys. zamierza z Polski wyjechać i nie dać się dłużej wykorzystywać. Dziwne... Dlaczego nie chcą dawać się wykorzystywać? Przecież tylko jeden z nich zmarł, bo kiedy zemdlął, szefowa, zatrudniająca go na czarno (symptomatyczne) przy produkcji trumien, zamiast wezwać karetkę, wywiozła go do lasu 125 km od miejsca zdarzenia i tam porzuciła. Pracownik – niewolnik? – zmarł. Na sygnały płynące od lat ze strony organizacji pozarządowych, że prawa pracownicze Ukraińek i Ukraińców są w Polsce systemowo łamane, naruszane, gwałcone – że po prostu nie obowiązują – reakcji nie było. To teraz jest. Ukraińcy po prostu znikną. A czereśnie i szpaki zostaną na drzewach.

i respektowanych standardów obowiązujących media w takim przypadku jest koszmarem. To rozregulowanie zasad ma skutki krótko- i długoterminowe. Jeśli kiedyś zostanie podjęta jakaś próba rozliczenia „dobrej zmiany” za złe praktyki – w co jednak należy, realistycznie rzecz biorąc, wątpić – to ta kwestia woła o nieprzedawnienie.

Tym, co przeraża w szarży na Bodnara, jest dość znaczące i zauważalne społeczne poparcie dla praktyk przemocowo-odwetowych stosowanych przez nieuprawnioną do tego policję. Upublicznianie zarejestrowanego materiału filmowego jest już czystym, skrajnym nadużyciem politycznym – jest patologią władzy przy współpracy z szefostwem policji. W tym samym czasie sąd wydaje skandalicznie niski wyrok na policjantów sprawców tortur i śmierci Igora Stachowiaka, zamordowanego podczas pomyłkowego zatrzymania i tortur na komisaracie we Wrocławiu. Wszystko to dzieje się także w czasie, kiedy mamy jeszcze przed oczyma wychodzącego na wolność Tomasa Komendę, który 20 lat przesiedział niesłusznie skazany za niepopelnione morderstwo młodej dziewczyny.

Barwy autorytarne

Demolowanie praw pracowniczych od co najmniej dwóch dekad nie było nigdy dotąd traktowane jako naruszenie konstytucyjnych zobowiązań (konstytucja, konstytucja!!!). Pozorowane działanie Państwowej Inspekcji Pracy, czy wręcz samo jej istnienie w takim kształcie i z takimi kompetencjami, wołało o pomstę. No to pomsta nadchodzi. W tych kwestiach różnic między głównymi siłami politycznymi w Polsce – nie widać. 150 lat walki o prawa pracownicze – przelana krew, odsiedziane w więzieniach lata i życia, same śmierci w końcu – poszło na zmarnowanie, kiedy przyszyły czasy kultu tzw. pracodawców. Jak macie pracę i chcecie dawać, to dawajcie. Nie chcą brać? No cóż, trzeba godnie płacić i dobrze pracowników traktować. Nie możecie rozdać pracy? Weźcie ją sami, wyżywcie się tymi stawkami, na tym upale, tylko pamiętajcie: gdybyście stracili przytomność, nie wywoźcie się sami do lasu, bo nie będziecie nauczki i morału.

Z zasady nie lubię pisać o mediach, mam alergię na „media o mediach”, ale obserwując, co się wydarzyło wokół rutynowej, choć wyróżniającej się i ważnej interwencji Biura Rzecznika Praw Obywatelskich w sprawie formy zatrzymania podejrzanego o morderstwo 10-latkę, nie mogę tego przemilczeć. W tzw. mediach publicznych i innych sprzymierzonych z obecną ekipą rządzącą ruszyła bezprecedensowa nagonka na Adama Bodnara, w której do ataku użyto także historii jego syna. Słyszałem głosy polityków PiS broniących tej metody, wedle znanego zaklęcia: no, ja bym może tego w ten sposób nie powiedział, ale kiedyś itd. Oburzenie moralne jest słabą bronią w takim starciu. Brak jakichkolwiek określonych

Ministrowie Ziobro i Brudziński prężą nie swoje muskuły, podświadomie pewni, że dużej części ich elektoratu (i innych elektoratów także...) spodoba się taki spektakl pseudosprawiedliwościowej przemocy. Ten styl szeryfowania jako model zdobywania poparcia dla zdobycia władzy, a potem sprawowania władzy i wreszcie utrzymania władzy, ta ekipa praktykuje, odkąd ministrem sprawiedliwości został Lech Kaczyński. A prawice całego świata od zawsze i wszędzie.

Polskie poparcie dla tortur, albo niezrozumienie ich charakteru i metod, jest wyjątkiem w skali Europy. I PiS nie waha się go użyć. Do czasu, kiedy w kajdankach zespolonych zaczną się pojawiać politycy tej partii. Ale spokojnie – nie zaczną. Żadnych trybunałów nie będzie. Nawet jako pokłosie wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, uznającego bezprawność „udawanych reform” wymiaru sprawiedliwości, które naruszały choćby regułę nieusuwalności sędziów. Na tym poziomie politycznym w Polsce nie ponosi się odpowiedzialności – niestety, przywykliśmy do takiego stanu rzeczy. A nie powinniśmy. Musielibyśmy jednak wiedzieć dlaczego. A tego z kolei nikt nas nie uczy, nie przypomina, nie egzekwuje.

To właśnie są potężne słupy nowego „porządku” autorytarne. I na żadne łagodzenie słów w tej sprawie nie mamy już po prostu czasu. To właśnie jest autorytaryzm. Wraz z towarzyszącymi mu niezbyt mądrymi uśmieszkami polityków.

Na szczęście idzie zagłada klimatyczna – a tu nasi rządzący, którzy zachowują się już sami z siebie jak przestępcy – poniosą karę okrutną i nieuchronną. I żadna ich telewizja im wtedy nie pomoże.

Co to znaczy być sobą

Z punktu widzenia psychologii zachęta do bycia sobą jest bezsensowna



Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Jan Jakub Rousseau napisał traktat o wychowaniu, a przecież własne dzieci oddał do przytułku. My wprawdzie nie piszemy traktatów, za to publikujemy różne rzeczy na portalach społecznościowych, wypowiadamy się w tzw. słusznych sprawach, wyrażamy poglądy itd. Co jest bardziej „nasze” – to, co mówimy, piszemy, czy to, co robimy? Czy nasze opinie i pobożne życzenia mają jakąkolwiek wagę, czy są tylko pozorowaniem siebie?

– Język jest pełen takich utartych, wyświechtanych wyrażen. Mówimy: „Moje dziecko”, choć żadne dziecko przecież nie jest własnością rodzica. Albo: „Moje serce należy do ciebie”, chociaż to nonsens.

Nie można mówić o „ja”, a więc o jakiejkolwiek odpowiedzialności czy osobowości, nie mówiąc o wolności wyboru. Niewolnik nie ma osobowości, jest zwolniony z odpowiedzialności za siebie. Pytanie, jakie

należy sobie zadać, brzmiałoby: na ile człowiek, który działa, czuje się wolny? Jeśli wcale nie czuje się wolny, ma do wyboru kilka strategii, które najczęściej są strategiami autoprezentacyjnymi. Taki człowiek może się starać przypodobać swojemu panu, zdobyć jego przychylność, albo starać się go przechytryć, tak żeby on tego nie odkrył. Gry „osobowościowe”, które tu się toczą, nie zależą od tego, „jaki” ktoś jest, ale raczej od tego, czy jest wolny, i od źródła ewentualnego zniewolenia. Często te gry opierają się na szukaniu kompromisu między tym, czego chcemy, a tym, czego się od nas wymaga – szukaniu luk w systemie, wazieniu strat i korzyści itd. Te strategie są bardzo rozpowszechnione w systemach autorytarnych, nakazujących posłuszeństwo. Tam, gdzie wymogiem jest posłuszeństwo, mówienie o „ja” czy „rozwoju osobowości” jest bardzo na wyrost. Co innego, gdy mamy swobodę wyboru – wtedy kierujemy się już nie ponoszonymi kosztami, ale cenionymi wartościami, życzeniami i potrzebami.

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI

– psycholog, wykładowca Uniwersytetu SWPS w Sopocie i we Wrocławiu, autor licznych książek i publikacji, takich jak „Wielkie pytania psychologii” czy „Mądrość i różne niemądrości”. Specjalizuje się w psychologii osobowości i psychologii społecznej.

Tylko że nakaz posłuszeństwa albo poczucie działania z przymusu nie jest jedynie domeną systemów autorytarnych. Rzadko się zdarza, żeby człowiek był zupełnie nieograniczony w swoich wyborach.

– No właśnie. Często to zniewolenie ma źródło wewnętrzne. Jeśli ktoś mówi sobie, że coś musi np. jakoś wyglądać, to sam może się stać własnym ciemnym dziełem. Niektórzy przystępują do sekt albo do fanatycznych ugrupowań politycznych, inni postanawiają gwałtownie się odchu-

dzić, nie zauważając, że pozbawiamy się tym samym podmiotowości. A robią to z wyboru.

Wewnętrzne zniewolenie jest chyba o tyle groźniejsze, że samo siebie nie rozpoznaje. Rzadko ktoś sobie mówi: „Jestem wewnętrznie ograniczony”.

– Oczywiście kiedy na własne życzenie pozbawiamy się wolności, uprawiamy zazwyczaj gry mające podtrzymać w nas złudzenie, że wciąż ją mamy. To tak jak z alkoholem, który powtarza, że pije, bo lubi, i że mógłby przestać w dowolnym momencie. To wyparcie jest formą zaklinalnia rzeczywistości, krzykiem resztek naszego „ja”.

Często proszę swoich studentów o to, żeby wypisali wszystkie prowadzone aktualnie przez siebie przedsięwzięcia i podzielili je na te, które chcą prowadzić, i na te, do których czują się zmuszeni. Tych drugich jest zawsze więcej. Potem proszę ich, żeby wyjaśnili, na czym polega ten przymus. Na końcu zawsze okazuje się, że ludzie „muszą” znacznie mniej, niż im się wydaje.

Przypomina mi się opowieść o władcy i dwóch sługach: pierwszy spełniał wszystkie, coraz dalej idące żądania króla, a drugi odmówił. Pierwszy stał się prawą ręką króla, drugi został wyrzucony z pałacu. Kiedy pierwszy odnalazł po jakimś czasie dawnego towarzysza, jedzącego wodnistą zupę w jakiejś lepiance, powiedział mu: „No widzisz, gdybyś słuchał poleceń króla, nie musiałbyś jeść teraz takiej chudej zupy”. Drugi odpowiedział: „Gdybyś umiał jeść taką zupę, nie musiałbyś słuchać poleceń króla”. Jeden i drugi coś wybrał i coś zyskał. Jak rozpoznać w sobie, że nasze wybory są rzeczywiście nasze?

– Myślę, że warto co jakiś czas dokonywać bilansu podobnego do tego, którego dokonują moi studenci – sprawdzić, czy to, co musimy, rzeczywiście wynika z przymusu. Kiedy myślimy o ograniczeniu wolności, zwykle boimy się, że zostanie nam ona odebrana przez kogoś z zewnątrz. Rzadziej, że my ją komuś ograniczamy, a jeszcze rzadziej – że ograniczamy ją sami sobie. Czasami decydujemy się na coś z własnej woli, ale po jakimś czasie zapominamy, dlaczego dokonaliśmy tego wyboru, i tkwimy w czymś siłą

przymuszania, bezwładu. Dlatego warto raz na jakiś czas powiedzieć: „Sprawdzam!”.

Wynikałoby z tego, że często za „chcę” kryje się przymus, a za „muszę” – dobrowolność. Dlaczego tak chętnie legitymizujemy własne wybory rzekomą koniecznością?

– Ukrytym powodem takiego stawiania sprawy jest ucieczka przed odpowiedzialnością. Tam, gdzie jest wolny wybór, jest także odpowiedzialność za ten wybór i wynikające z tego konsekwencje. Kiedy używamy słowa „muszę”, bezwiednie zrzucamy odpowiedzialność na kogoś lub coś z zewnątrz.

Skrajny przykład takiego rozumowania można było zaobserwować przy okazji procesów norymberskich. Niemal każdy przesłuchiwany zbrodniarz uzasadniał popełnione przez siebie czyny wykonywaniem rozkazów.

Kiedy używamy słowa „muszę”, zrzucamy odpowiedzialność na kogoś lub coś z zewnątrz.

Wychodzi na to, że „muszę” służy często do racjonalizowania przemocy wobec innych. Bliższym codzienności przykładem tej racjonalizacji może być dyskusja nad sensem rodzicielskich klapsów. Ich zwolennicy niemal zawsze odwołują się do odpowiedzialności za wychowanie: „Nie chcę, ale jestem zmuszony”.

– Przypomina mi się japońskie haiku o cesarzu, który „z niechęcią” nadepnął na rysunek wielkiego mistrza. Przykro mu było, ale nadepnął. Podobnie rodzice „z przykrością” terroryzują dzieci, a pracodawcy „z przykrością” terroryzują pracowników. Ale terroryzują.

A gdzie są bardziej sobą – tam, gdzie terroryzują, czy tam, gdzie sprawia im to przykrość? Która strona bardziej o nich świadczy?

– Być sobą – co to właściwie znaczy? Po pierwsze, może to oznaczać, że człowiek ze znanych sobie powodów coś ukrywa. A po drugie, że jest niezmienny. Badania pokazują, że według połowy Polaków ludzie się nie zmieniają. „Jak ktoś się głupi urodził, to głupi umrze”, słyszymy nieustannie. Druga połowa sądzi, że ludzie zmieniają się w ciągu swojego życia. Jeśli to prawda, kiedy są bardziej so-

bą – przed czy po zmianie? I co jest punktem odniesienia? Z punktu widzenia psychologii zachęta do bycia sobą jest właściwie bezsensowna. To wyświechtany frazes.

Ale bardzo popularny, tzw. trenerzy rozwoju osobistego zbijają fortunę na zachęcaniu do bycia sobą czy pozbywania się ograniczeń. Z drugiej strony obok piewców bycia sobą obserwujemy polityków albo inne osoby publiczne mówiące o wierności wartościom, zdradzie czy zepsuciu moralnym. Wydaje się, że to całkiem przeciwstawne gry.

– Naiwnością jest przekonanie, że nasze życie to wyłącznie realizacja naszego interesu albo że w ogóle można się pozbyć wszelkich ograniczeń. Żyjemy w systemie współzależności i stopień naszej wolności jest efektem negocjacji z otaczającymi nas ludźmi i instytucjami. Te dwa języki wbrew pozorom wcale tak się nie różnią. Wychwalanie bycia sobą i przekonanie, że to „ja” zasługuje na specjalne względy przez sam fakt istnienia, jest w gruncie rzeczy postawą narcystyczną. Sugeruje, że inni się mniej liczą, nie ma dla nich miejsca. Jednak ta druga, pozornie przeciwstawna gra jest w rzeczywistości jedynie rewersem pierwszej, zakłada bowiem jedyny słuszny sposób życia, nie liczący się z indywidualnymi potrzebami i dążeniami innych ludzi. Obie te postawy są antyspołeczne. Realizują scenariusz kto kogo, zamiast scenariusza kto z kim. To sprawia, że skupiamy się na różnicach między nami a resztą zamiast na wspólnocie interesów. Zamiast współpracy pojawia się rywalizacja, a wtedy więzi zostają łatwo zerwane.

„Swojskość” przekłada się na „naszość” – narcyzm indywidualny na narcyzm zbiorowy. A to, jak myślimy o sobie i własnej wolności, idzie w parze z tym, jak postrzegamy wolność i prawa innych.

– Taką właśnie zależność obserwujemy w tej chwili w Polsce. Istnieją dwie grupy, które definiują się jedynie przez przeciwieństwo: oni w górę – to my w dół, oni w prawo – więc my w lewo. W rzeczywistości oznacza to całkowitą zależność od tych drugich. A tam, gdzie jest zależność, trudno o wolność i tożsamość. Antykonformizm nie oznacza przecież niezależności. Mechanizmy ▶

- ▶ narcystyczne natomiast są podobne, niezależnie od tego, czy działają na poziomie indywidualnym, czy zbiorowym.

Na poziomie indywidualnym można je zaobserwować np. w mediach społecznościowych. Ludzie piszą o sobie, dostają polubienia, porównują się. Chodzi o wyjątkowość. Na poziomie zbiorowym przejawia też chodzi o wyjątkowość: Polska jako najgorszy kraj na świecie konkuruje tu z Polską najbardziej cierpiącą, „Chrystusem narodów”. Zawsze musi być „naj”.

– Czasami proszę studentów, żeby otworzyli dowolny portal informacyjny i policzyli występowanie takich słów jak Polska, Polacy, polski itd. w porównaniu ze słowami odnoszącymi się do innych narodowości. Łatwo się domyślić wyników. Porównywanie się na poziomie zbiorowym przybiera bardzo często formę my versus oni. My – z wartościami, oni – zepsuci itd. To bardzo niebezpieczna gra, bo oznacza, że ci drudzy właściwie nie są ludźmi, że nie trzeba – a nawet nie powinno się – z nimi rozmawiać. Że standardy przyzwo-

itości wobec tamtych nie obowiązują. To nieuchronnie prowadzi do fundamentalistycznego przekonania o własnej nieomyślności.

Proszę zwrócić uwagę, jak wiąże się to chociażby z wynikami badań: ok. 80% ludzi w Polsce uważa, że człowiek jest z natury zły. Z drugiej strony mniej więcej taki sam procent ludzi deklaruje ogólne zadowolenie z siebie. Jeśli dodać do tego przekonanie o niezmienności natury ludzkiej, wychodzi na to, że spora część społeczeństwa myśli, że człowiek jest zły i niezmienny, ale że tym złym jest inny. A zła nie można przecież naprawić – można je jedynie odseparować albo zniszczyć.

Nie ma tu miejsca na próżnię, wszystko jest bardzo wyraziste: zarówno „ja”, jak i inni. A może chodzi po prostu o niepewność samego siebie? Może nie tolerujemy niuansów?

– Narcyzm, indywidualny czy zbiorowy, zapełnia jakąś tę pustkę. Warto zauważyć, jak z mitem niezmienności „ja” współgra mit talentu czy przeznaczenia. Wracamy do odpowiedzialności – jeśli coś jest z góry zeterminowane, np. przeznaczeniem albo pechem, to nie zależy od nas. A jeśli nie zależy, to nie na nas ciąży odpowiedzialność.

Narcyz z jednej strony uważa się za lepszego niż reszta, z drugiej – potrzebuje ciągłego potwierdzania siebie w oczach innych. Jest od nich zależny. Unika sprawdzania się i sytuacji, które mogą obnażyć jego wady albo przeciętność. Zastanawiając się raz na jakiś czas nad tym, czego chcemy, a co musimy i dlaczego, chronimy się w jakimś stopniu przed narcyzmem.

Takie ciągłe sprawdzanie własnych motywacji musi być bardzo wyczerpujące. Zamiast sprawdzania, co dla mnie ważne, mogę uaktualnić profil na Facebooku.

– Nie trzeba tego robić cały czas, tak jak bez sensu jest codzienne ważenie się. Jednak warto, by człowiek od czasu do czasu sprawdził, czy jego dawne przekonania na swój temat wciąż są aktualne, w końcu jak każdy organizm żywy jest aktywny, aktywność zaś jest źródłem nieuchronnych zmian. A w autoprezentacji zazwyczaj wierzą jedynie sami autoprezentery.

Katarzyna Wierzbicka

„Jacek Braciak daje popis”
- PIOTR GUSZEKOWSKI, „CO JEST GRANE 24”

„Zmysłowa opowieść o dojrzewaniu”
- PIOTR CIERKAWSKI, KRYTYK FILMOWY

„Lubię ten film!”
- ANNA LUBOR, „ELLE”

BRACIAK
BUZEK
BRUCHNICKA
ŻURAWSKI

WAGRODA
PUBLICZNOŚCI
ZŁOTY KIERGIA

18. MFF
NOWE HORYZONTY
FILM OTWARCIA

NAJLEPSZY FILM
MŁODZIEŻOWY
28. FILM FESTIVAL
COTTBUS

CÓRKA TRENERA
Nowy film twórców „Kampera”

JUŻ NA DVD!

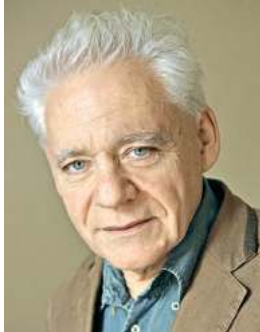
Film do kupienia na swiatksiazki.pl oraz w **KSIĘGARNIE** **Świat Książki**

PARTNERZY MEDIALNI

KINO **SWIAT ELIT** **FILMWEB**

© 2019 Akson Dystrybucja. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Czarne widzenie

Powszechne jest przekonanie, że przegramy wybory parlamentarne. Nie spotykam już nikogo, kto by był optymistą. Pan Krzysio, nasz szambiarz, uważa, że sprawa jest beznadziejna. Jak jeździ po prostych ludziach z szambem, to wszyscy, którzy dostają te 500+, boją się, że jeśli nie zagłosują na PiS, stracą te pieniądze. Wzruszenie i wdzięczność, że zostali obdarowani. Poza tym uważa, że opozycja nie ma twarzy. Schetyna słabiak, nawet Tusk się zużył. I już po herbacie. Tak mówi. Nasz pesymizm może być istotnym czynnikiem przegranej. A przecież sprawa nie jest beznadziejna. Problemem jest nie tylko nasze czarne widzenie, ale też impotencja opozycji. A tu coraz wyraźniej widać, że Polska nieuchronnie idzie grecką drogą, wzbogaconą przez wariant węgierski. Wszystko zmierza do duopolu politycznego, kiedy obie partie licytują się, kto da więcej, i żadna nie może zrezygnować z licytacji, bo wtedy na pewno przegra wybory. To śmiertelna spirala rozdawnictwa. Tak właśnie było w Grecji. I ta domieszka autorytaryzmu, podłość władzy, smród kłamstwa. Jeśli dopiero katastrofa ekonomiczna może odsunąć PiS od władzy, biada nam.

Nasi biskupi czują się zaszczeni przez świat liberalny. Liberalizm to dla nich diabeł. Czyli demokracja jest diabelska, bo nie ma jej bez liberalizmu. Wedle abp. Głódzia – to największy magnat i pasibrzuch wśród biskupów – „Kościół staje pod pręgierzem laickich, libertyńskich i kosmopolitycznych środowisk”. Abp Stanisław Gądecki natomiast mówi: „Próba zohydzenia chrześcijaństwa i Kościoła, tak nierozdzielnie w dziejach związanego z Polską i polskością, ma na celu nie tylko osłabienie jego pozycji w społeczeństwie, ale także osłabienie ducha narodu”. No tak, duch polskiego narodu może być tylko katolicki. Ta tradycyjna już fikcja polskich kapłanów na narodzie, jakby Chrystus był Polakiem, a Matka Boska Polką, jakby chrześcijaństwo z woli nieba było przypisane Polsce szczególnie, a inni dostali ochłapy. Mleko jednak się rozlało, ksiądz kojarzy się teraz z pedofilem, co niewątpliwie jest dla wielu księży krzywdzące, ale Kościół zapracował na taki wizerunek. Polski Kościół nie poradził sobie z erekcją, taka jest prawda. I każdy ją widzi.

Niewątpliwie nastął czas bredzenia, bredzi premier, bredzi prezydent. Premier w retorycznym zapale dołączył prawicowych Polaków do spadkobierców starożytnych Greków, wstrzymujących, jak pod Salaminą, barbarzyń-

skich Persów, Persowie – czytaj – to zachodnia Europa. Duda uparł się, żeby uwieść prezydenta Trumpa, świetnie wyglądają razem w czasie zalotów, pełna harmonia. Obaj lekceważą zagrożenie zmianami klimatycznymi, nie szanują demokracji, a nawet nią gardzą, obaj wzruszają się do łez swoimi słowami i wpadają w łatwy patos. Z tym że Trump to błazen globalny.

Rodzinny obiad u mojego przyjaciela, lekarza, zostaliśmy zaproszeni jako prawie rodzina. Dzieci, wnuki, dużo dzieci, rodzice głównie rozmawiają o szkołach, gdzie postać dzieci i jaka bieda z edukacją. Unikamy tematów politycznych, żeby się nie denerwować, ale wszyscy myślą tak samo, to oczywiste, nie może być inaczej. Od córki gospodarza jednak wiem, że jej sędziwy ojciec, który mieszka w małym miasteczku, daleko od Warszawy, jechał specjalnie do stolicy, by zagłosować. Do łez go wzruszyło, że dostał w prezencie od prezesa 800 zł. Są na obiedzie ludzie różnych zawodów. K. zajmuje się

Premier w retorycznym zapale dołączył prawicowych Polaków do spadkobierców starożytnych Greków.

prognozami dotyczącymi rolnictwa. Wszystkie dane, analizy i przewidywania brzmią pesymistycznie. I czarne scenariusze sprawdzają się znacznie szybciej, niż prognozowano.

Szczucie na Adama Bodnara, rzecznika praw obywatelskich. Propaganda Kurskiego twórczo korzysta ze znanych wzorów z lat 30. i 50. Wszędzie szukanie spisku, tego, co tajne i złowrogie. Zbieranie paszy, by karmić lęki, fobie, podejrzliwość i nieufność. A pisowski Muppet Show wyjeżdża do Brukseli na występy gościnne. Zalewska wyszczerczona w uśmiechu. Kempa ze swoim kobiecym wdziękiem. Ukochana przez lud Szydło. Czarnecki ociekający konformizmem. Legutko, szkoda gadać. Jaki – jaki jest, każdy widzi. Trochę żenada, a trochę kabaret. Coraz bardziej gniewny i kpiarski ton moich tekstów, tak pisałem chyba tylko w stanie wojennym. Oburzenie i bezsilność. Jak człowiek nie-nawidzi, to zawsze jakoś głupieje. Przez to, co się dzieje w Polsce, wszyscy jesteśmy jakoś głupszy i gorsi.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Bohaterowie z „czerwonego afisza”

Szacuje się, że podczas II wojny w szeregach francuskiego ruchu oporu działało nawet 50 tys. Polaków

Przemysław Kmiecik

Jednym z symboli francuskiego ruchu oporu okresu II wojny światowej stał się „czerwony afisz”. Masowo rozlepiano go na ulicach Paryża i innych miejscowości wiosną 1944 r. „Czy to wyzwoliciele?”, pytał przechodniów plakat, prezentując im zdjęcia 10 partyzantów o obco brzmiących nazwiskach. Od razu też udzielał odpowiedzi, demaskując ich jako złowrogą „armię przestępczą”, stanowiącą element międzynarodowego spisku wymierzonego przeciwko Francji. Przy zdjęciach partyzantów były adnotacje typu: „węgierski Żyd”, „włoski komunista”, „Ormianin” czy „czerwony Hiszpan”. Przy aż czterech nazwiskach widniał dopisek: „polski Żyd”. Ten zabieg propagandowy miał konkretny cel. Przechodzień powinien być zobaczyć nie walczącego o wolność ojczyzny partyzanta, ale przestępcę, na dodatek cudzoziemca. Rozbudzanie ksenofobii i antysemityzmu miało utwierdzać Francuzów w wierności wobec reżimu Vichy, który wprawdzie kolaborował z niemieckim okupantem, ale wszem wobec głosił swoją troskę o utrzymanie porządku w kraju i ochronę francuskich interesów.

W ten sposób obiektem ataków propagandy stawiali się także przybysze z nad Wisły. Trudno precyzyjnie ustalić liczby, ale szacuje się, że podczas wojny przez szeregi francuskiego ruchu oporu przewinęło się nawet 50 tys. Polaków. Epizod ten słabo jest obecny w naszej pamięci historycznej. Być może dlatego, że większość polskich bojowników *résistance* należała do organizacji konspiracyjnych powiązanych z ruchem komunistycznym, na dodatek wielu z nich było pochodzenia żydowskiego.

Bohaterowie tego artykułu należeli do formacji o nazwie FTP (*Franco-tireurs et partisans*, Wolni Strzelcy i Partyzanci) – ponadpartyjnych, lecz



Pod koniec lutego 1944 r. na francuskich ulicach pojawiły się „czerwone afisze” przygotowane przez niemieckich propagandzistów.

zdominowanych przez komunistów, oddziałów zbrojnych francuskiej lewicy, tworzonych od jesieni 1941 r. Organizacja ta dzieliła się na część złożoną z Francuzów i część złożoną z obcokrajowców (FTP-MOI). MOI, *Main-d'œuvre immigrée*, czyli Imigrancka Siła Robocza – to nazwa przedwojennego związku pracujących we Francji imigrantów, w tym Polaków. Dzięki ugruntowanemu wpływowi w tych środowiskach komuniści mogli podczas wojny zwerbować do podziemia dziesiątki tysięcy obcokrajowców.

Przybysze z Polski

Szczególną sławę zdobyli sobie bohaterowie „czerwonego afisza”, czyli członkowie tzw. grupy Manouchiana. Jej nazwa pochodzi od nazwiska lidera – Missaka Manouchiana, ormiańskiego poety i działacza komunistycznego. Latem 1943 r. objął on

dowództwo nad grupą bojowników FTP-MOI w okręgu paryskim. W tej międzynarodowej mozaice znalazło się miejsce także dla przyszłego z Polski.

Część przyjechała do Francji z rodzicami w dzieciństwie. Urodzony w Warszawie Mosze Fingerwajg przybył nad Sekwanę jako czterolatek, łódzianin Leon Goldberg miał lat pięć, warszawiak Marcel Rajman i pochodzący z Kraśnika Wolf Wajsbrot – w wieku ośmiu lat.

Szlama Grzywacz, szewc spod Mińska Mazowieckiego, jeszcze w Polsce trafił na pięć lat do więzienia za działalność w ruchu komunistycznym. Po zwolnieniu wyemigrował do Francji, a następnie w Hiszpanii zaciągnął się w szeregi Brygad Międzynarodowych. Po upadku republiki znalazł się w obozie dla internowanych we Francji, z którego jednak udało mu się uciec. W międzyczasie usunięto go z partii komunistycznej, gdyż wykazywał niezadowolenie z jej polityki.

Stanisław Kubacki, pochodzący z wielodzietnej rodziny małopolskiego chłopa z wielkopolskich Siąszyc, wyjechał do Francji w poszukiwaniu pracy w wieku 17 lat. I on walczył w Hiszpanii, gdzie dosłużył się stopnia porucznika i został szefem służby transportowej w Brygadzie im. Józefa Dąbrowskiego.

Bardziej krętą drogą przybyli nad Sekwanę Jonas Geduldig i Salomon „Willy” Szapiro. Geduldig, robotniczy syn z Hrubieszowa, mając 16 lat, wyjechał najpierw do Palestyny, tam zapisał się do organizacji komunistycznej, po czym i on zaciągnął się do Brygad Międzynarodowych. Ranny na froncie, wyładował, podobnie jak Grzywacz i Kubacki, w obozie dla internowanych we Francji i jemu również udało się uciec. Osiedlił się w Paryżu pod fałszywym nazwiskiem Michał Martyniuk. Szapiro, pochodzący z kupieckiej rodziny mieszkającej w małopolskiej Skale, też wyjechał



22 członków grupy Manouchiana zostało rozstrzelanych 21 lutego 1944 r. w podparyskim forcie Mont Valérien.

jako młody chłopak na Bliski Wschód, uwiedziony syjonistyczną wizją zbudowania państwa żydowskiego. Szybko rozczarował się tym ruchem i związał dla odmiany z Komunistyczną Partią Palestyny, przez co trafił na dwa lata do brytyjskiego więzienia. W 1933 r. został zwolniony i wydany, po czym osiedlił się w Austrii, a po zajęciu tego kraju przez Trzecią Rzeszę znalazł się w Paryżu.

Gdy hitlerowcy zajęli także Francję, przybysze z Polski dołączyli do ruchu oporu. Kubacki, członek Francuskiej Partii Komunistycznej, wszedł do konspiracji zaraz po ucieczce z obozu w początkach 1941 r. i natychmiast podjął się organizowania grup polskich imigrantów. Geduldig-Martyniuk, Grzywacz i Szapiro zaczęli od drobnych akcji sabotażowych w warsztatach rzemieślniczych. Obok starszych i zaprawionych już w bojach działaczy do ruchu oporu przyłączali się młodzi robotnicy, tacy jak nastoletni Wolf Wajsbrot. Pozostałych do podjęcia walki zmuszały okrutne represje zastosowane wobec społeczności żydowskiej. W grudniu 1941 r. ojciec Rajmana został aresztowany i wysłany do Auschwitz. W ciągu kilku miesięcy następnego roku to samo spotkało ojca i dwóch braci Fingerchwajga, a także ojca, matkę i dwóch braci Goldberga. Od czerwca

1942 r. każdy Żyd musiał być oznakowany gwiazdą Dawida. Nie chcąc podzielić tragicznego losu krewnych, ci zdesperowani młodzi ludzie musieli zejść do podziemia. Dla niektórych ruch oporu był jedyną rodziną, jaka im pozostała.

Tak formowały się paryskie szeregi FTP-MOI. Pod kierownictwem najpierw rumuńskiego komunisty Borisa Holbana, a potem Missaka Manouchiana, zorganizowano

W pewnym okresie niemal wszystkie akty zbrojnego oporu w regionie paryskim były dziełem bojowników FTP-MOI.

kilka międzynarodowych oddziałów dywersyjnych. Przez kolejne dwa lata przewinęło się przez nie kilkaset osób, w tym kilkudziesięciu przybyszy z Polski. Oprócz wyżej wymienionych wskazać można choćby Leona Pakina, Mordkę Fefermana czy Maurycego Felda. Oni zginęli jako jedni z pierwszych, już w 1942 r.

Pokazowy proces

Paryska grupa FTP-MOI stała się postrachem niemieckiego okupanta. Pierwsze akcje zbrojne, o skromnej jeszcze skali, podjęte zostały w maju 1942 r. Z czasem ataki były coraz bardziej brawurowe. Grupa podkła-

dała bomby, atakowała transporty wojskowe, dokonywała zamachów na hitlerowskich notabli, niszczyła tory i wykołajała pociągi. Najśmielsze akcje przeprowadzała grupa złożona z Marcela Rajmana, mającego polskie korzenie Raymonda Kojitskiego, Włocha Spartaca Fontana i Niemca Leo Knelera.

Od początku działalności FTP-MOI znajdowała się na celowniku francuskiej policji. Do jej zwalczania wyznaczono dwie brygady specjalne. Bojownicy kolejno ginęli bądź ładowali za kratami. W grudniu 1942 r. w ręce brygad wpadł m.in. Stanisław Kubacki.

Gdy dowództwo objął Manouchian, do dyspozycji miał tylko 65 ludzi. Mimo to paryska grupa wciąż przeprowadzała po kilkanaście akcji miesięcznie. Niemal wszystkie akty zbrojnego oporu w regionie paryskim były dziełem właśnie bojowników FTP-MOI. Największe wrażenie zrobił udany zamach na oficera SS Juliusa Rittera, odpowiedzialnego za wysyłanie Francuzów na roboty przymusowe do Niemiec. Trzy śmiertelne strzały oddał do niego Marcel Rajman.

Wokół grupy Manouchiana zaczęła jednak się zaciskać pętla, francuska policja wpadła na trop kolejnych członków ruchu oporu, a szczególnie cennych informacji udzielił im podczas przesłuchania aresztowany w październiku 1943 r. Josek Dawidowicz, pochodzący spod Bełchatowa komisarz polityczny FTP-MOI.

16 listopada 1943 r. na stacji Évre-Petit-Bourg policja aresztowała Missaka Manouchiana, a wraz z nim Józefa Epsteina, pochodzącego z Zamościa lidera FTP w okręgu paryskim. W tym samym okresie w wyniku obław za kraty trafili też Rajman, Geduldig, Goldberg, Grzywacz, Szapiro, Wajsbrot i inni bojownicy FTP-MOI. Siatka konspiracyjna została rozbita.

W sumie wpadło wówczas 68 osób. Aż 16 pochodziło z Polski. Aresztowani byli przesłuchiwanymi i torturowanymi przez prawie trzy miesiące. „Mój brat pierwszego dnia był bito przez pięć godzin. Dwa dni po aresztowaniu chodził z trudem i nie mógł już ani siedzieć, ani leżeć. Ciało miał czarne ▶

► od ciosów, które mu zadawano”, wspominał Szymon Rajman, brat Marcela.

W końcu okupanci zdecydowali się na przeprowadzenie procesu pokazowego. Spośród pojmanych bojowników wybrano 23 osoby: ośmiu Polaków, pięciu Włochów, trzech Węgrów, trzech Francuzów, dwóch Ormian, Hiszpana i Rumunkę. Obok niedawno aresztowanych członków FTP-MOI znalazł się w tej grupie przetrzymywany już od ponad roku Stanisław Kubacki. Przedstawienie, którego normalnym procesem nazwać nie sposób, odbyło się przed niemieckim sądem wojskowym 19 lutego 1944 r. Bojowników obciążono odpowiedzialnością za dziesiątki zamachów i wykolejeń pociągów. Zarzucono im zamordowanie 150 osób i rannienie kolejnych 600. Bez żadnej możliwości obrony zostali natychmiast uznani za winnych i skazani na karę śmierci.

„Umieram za wolność, za Francję i za Polskę”, napisał wtedy Stanisław Kubacki w ostatnim liście do żony i syna. Leon Goldberg próbował przekazać kilka słów rodzinie, która prawie dwa lata wcześniej została wysłana do Auschwitz: „Drodzy rodzice! Jeżeli powrócicie, w co wierzę, nie płaczcie po mnie. Spełniłem swój obowiązek, walczyłem, tak jak mogłem. Macie jeszcze dwóch synów, niebawem staną się dorośli. Walczyłem po to, abyście Wy, Henrysiu, Maksie, mieli lepsze życie, po to, żebyście mając lat 20, nie wiedzieli, co to wojna. Jesteście młodzi, cała przyszłość przed Wami!”. Niestety, nikt z rodziny Goldberga nie powrócił z obozu zagłady.

22 członków grupy Manouchiana zostało rozstrzelanych 21 lutego w podparyskim forcie Mont Valérien. Jediną kobietę wśród skazanych, Rumunkę Olgę Bancic, ścięto w Stuttgarcie 10 maja 1944 r. W międzyczasie stracono też Józefa Epsteina, a Josek Dawidowicz został za zdradę zlikwidowany przez ruch oporu.

Bohaterowie filmów

Tuż po egzekucji grupy Manouchiana na francuskich ulicach pojawił się wydrukowany w 15 tys. egzemplarzy „czerwony afisz”. Wy-



Bojownicy grupy Manouchiana stali się bohaterami filmów fabularnych i murali.

mienionych zostało na nim 10 bojowników FTP-MOI: Manouchian, Rajman, Grzywacz, Wajsbrodt, Fingerwajg, Fontano, Węgrzy Tamás Elek i József Boczor, Hiszpan Celestino Alfonso oraz Francuz o polskich korzeniach Robert Witchitz. Propagandowe hasła informowały o „przestępczej armii”, „żydowskim sadyzmie”, „międzynarodowym

Największe wrażenie zrobił udany zamach na oficera SS Juliusa Rittera, odpowiedzialnego za wysyłanie Francuzów na roboty przymusowe do Niemiec.

spisku wymierzonym przeciwko życiu Francuzów i suwerenności Francji”. Philippe Henriot, minister propagandy rządu Vichy, w wystąpieniach radiowych przestrzegał obywateli przed zbrodniczą działalnością partyzantów i podkreślał, że „za każdym razem, gdy milicja zdoła schwycić tych »patriotów«, ich szefami okazują się Polacy, Hiszpanie, Węgrzy”.

Przeciwko tej szowinistycznej kampanii wystąpiła przewodząca lewicowemu podziemiu Francuska Partia Komunistyczna. Wezwała Francuzów, by stanęli u boku walczących o wolność imigrantów, a nie podających się jedynie za Francuzów zdrajców z kolaboracyjnego rządu: „Kiedy Laval, Péta-in, Darnand, Doriot, Déat, Henriot i wielu innych, którzy tylko noszą nazwiska francuskie, przeszli na usługi nieprzyjaciela, zdradzając swój własny kraj, ci robotnicy o obcych nazwiskach, którzy pracowali i żyli pomiędzy nami, podjęli walkę wspólnie z patriotami francuskimi. Naród Francji składa hołd tym mężnym ludziom, którzy nie wahali się poświęcić swego młodego życia, ażeby żyła Francja, ażeby świat został oczyszczony na zawsze z hitlerowskiego barbarzyństwa. Francja uważa ich za swoich przybranych synów, którzy przełali za nią swą krew. Poświęcenie tych ludzi jest tym szlachetniejsze, że Francuzi, tarzający się w błocie zdrady, obrzucają ich obelgami”.

„Czerwony afisz” odniósł skutek odwrotny do zamierzonego. Bojownicy podziemia coraz częściej zamiast z potępieniem spotykali się z sympatią i gestami solidarności ze strony Francuzów. A sama treść plakatu bywała „poprawiana” przez przechodniów, którzy ukradkiem dopisywali pod zdjęciami partyzantów: „Oni umarli za Francję”.

Dzieje grupy Manouchiana urosły nad Sekwaną do rangi legendy, a bojownicy FTP-MOI stali się nawet bohaterami filmów fabularnych. Tymczasem u nas, zgodnie z obowiązującym prawem, nie można by ich nawet legalnie upamiętnić! IPN,

wyposażony dziś w potężne prerogatywy cenzorskie, dość skutecznie usuwa nieprawomyślne treści z polskiej przestrzeni publicznej. Nie ma wątpliwości, że zablokowałby próbę upamiętnienia polskich bohaterów francuskiego ruchu oporu, tłumacząc decyzję ich związkami z ruchem komunistycznym.

Przemysław Kmiecik

Robert Walenciak

Gorące lata Gomułki

Za fasadą jedności PZPR o wpływy i władzę w partii walczyły rozmaite grupy, frakcje i koterie

Dla laika Polska Ludowa jest jak betonowa płyta przykrywająca ziemię. Nie ma tam życia, dyskusji, wyborów politycznych. Z jednej strony, jest wąska grupa wystanników Moskwy, kar nie wykonująca rozkazy przychodzące ze Wschodu, z drugiej – naród, który regularnie się buntuje.

Aparat państwa pracowicie ten mit rozpowszechnia. W programach szkolnych, w mediach publicznych, w oficjalnej propagandzie. Temu służą też działania Instytutu Pamięi Narodowej.

Z tego punktu widzenia Zbigniew Siemiatkowski napisał książkę nie-modną. Bo opisał życie ideowe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w czasach Władysława Gomułki, czyli w latach 1956-1970. W okresie, który zaczyna się polskim Październikiem i związanymi z nim nadziejami, a kończy Marcem '68 i Grudniem '70, kiedy władza pokazuje brutalną twarz.

Dlaczego polityka Gomułki przeszła taką ewolucję? Dlaczego nadzieje na polski socjalizm umarły? Dlaczego od połowy lat 60. mieliśmy upadek rewizjonistów, czyli zwolenników bardziej demokratycznego socjalizmu, oraz rozkwit „partyzanów” i ich ideologii? Dlaczego „partyantom” nie udało się zdobyć władzy? Jak wyglądała walka polityczna w tym czasie?

Odpowiedź na te pytania nie jest prosta. Życie polityczne w Polsce Ludowej nie było takie jak w III RP. Mieliśmy monopol PZPR, wspomaganej przez tzw. stronnictwa sojusznice, monopol prasy, cenzurę, system autorytarny. W takim systemie władza nie odwołuje się do szerokiej opinii, bo przecież nie ma demokratycznych wyborów. Jeżeli więc politycy odwołują się do woli ludu, to tylko w nadzwyczajnych sytuacjach.

W takim systemie życie polityczne ogranicza się do kilku czy kilkunastu tysięcy ludzi, do aparatu państwa i partii, bo ci ludzie, uczestnicząc chociażby w wyborze władz partyjnych, mieli na ich kształt – i personalny, i programowy – wpływ. Aparat partii był lustrem, w którym przeglądała się władza. Ale w związku z tym życie polityczne toczyło się według określonych reguł, dla laika niewidocznych. Miało swoją celebrę, swój język zrozumiały dla wtajemniczonych, swoje ukryte tematy.



Przykład pierwszy z brzegu – na władzy ciążyła sytuacja geopolityczna, uzależnienie od Związku Radzieckiego i – do roku 1970 – obawy o stabilność zachodniej granicy, co oczywiście dodatkowo wypychało Warszawę w objęcia Moskwy. Ale przecież o tym otwarcie się nie mówiło, zamiast tego mieliśmy propagandowe hasła o przyjaźni polsko-radzieckiej i wielkim sojuszu. Tak mówił Gomułka, co nie przeszkadzało mu przekazać Rosjanom materiałów kompromitujących Chruszczowa (jego zięć, będąc w RFN, mówił, że ZSRR zgodzi się na zjednoczenie Niemiec) albo krytykować w rozmowach z Chruszczowem i Breżniewem polityki ZSRR.

Za fasadą jedności partii, oddanej I sekretarzowi, kryły się gorące spory. W ramach PZPR istniały rozmaite grupy, frakcje, koterie, które walczyły o wpływy i władzę, prezentowały swoje poglądy na rzeczywistość, swój program na przyszłość.

Były więc grupy połączone więzami pokoleniowymi – KPP-owcy, „partyzanci”, pokolenie ZMP, pokolenie ZMS. A także grupy sklejone ideologią – słynne frakcje Puławy i Natolin (która później przekształciła się we frakcję Moczara), technokraci, rewizjoniści itd. Do tego dorzucimy różne grupy uczestniczące we władzy – chociażby aparat MSW. Ale również kręgi katolickie. I starzejącego się przywódcę, coraz mocniej odklejającego się od

rzeczywistości i coraz bardziej nerwowo reagującego na słowa krytyki.

Gdy w ten sposób spojrzymy na Polskę Ludową, na czas Gomułki, zobaczymy, że były to lata politycznie gorące. Gdzie tę walkę polityczną można było zobaczyć? Przede wszystkim w tygodnikach, które pełniły funkcję nieformalnych trybun poszczególnych grup. Najstojniejsza była „Polityka” – mówiła głosem reformatorów marzących o unowocześnieniu siemiatkowskiego socjalizmu. „Polityka”, która w swych początkach miała być organem gomułkowców, była w sporze z moczarowcami, z obrońcami „prawdziwego” socjalizmu, z narodową nutą. Moczarowcy to z kolei „Stolica”, a także – to już w roku 1968 – „Prawo i Życie” czy „Walka Młodych”. A gdzieś w tle ich walki budowali swoje siły technokraci, opierając się na I sekretarzu KW w Katowicach, Edwardzie Gierku.

Zresztą dopiero z dalszej perspektywy możemy dostrzec, jak Gomułka ewoluował, jak pozbywał się ze swojego grona rewizjonistów, czyli zwolenników bardziej demokratycznego socjalizmu, i jak u jego boku rośli „partyzanci” oraz nowe pokolenie działaczy, takich jak Tejchma, Kociołek czy Olszowski.

Siemiatkowski opisuje jeszcze inną charakterystyczną dla tamtego okresu tendencję – ideowego usychania PZPR czy też „polonizowania” się partii rządzącej. Pokolenie KPP, zapatrzone w Moskwę, w jakimś stopniu ideowe, było zastępowane nowymi kadrami, ukształtowanymi w Polsce Ludowej. Ci młodzi, ambitni działacze bardziej przejmowali się nastrojami organizacji partyjnych czy załóg robotniczych niż dziełami klasyków marksizmu.

Oto więc Polska czasów Gomułki. Fasada socjalistycznego państwa i ukryte za nią gorące, polityczne życie.

Zbigniew Siemiatkowski, *Między złudzeniem a rzeczywistością. Oblicza ideowe PZPR pod rządami Władysława Gomułki*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2019

Kankan na lotniskowcu

Podpisanie przez prezydenta Dudę porozumienia o zwiększonej obecności amerykańskich wojsk w Polsce wzmaga światowy wyścig zbrojeń

Andrzej Gierech

Żyjemy w kraju niepodległym. Konstytucja głosi, że Rzeczpospolita jest dobrem wspólnym obywateli – demokratycznym państwem prawnym (art. 1 i 2). Czy aby na pewno? Co ma wspólnego z demokracją i dobrem wspólnym polska polityka historyczna i informacyjna uprawiana przez ekipy postsolidarnościowe? Prowadzona bez rzetelnej debaty z narodem, uwzględnia wyłącznie interes polityczny ugrupowań rządzących. Wpływa oczywiście

debata polityczna jest więc zamknięta. Owszem, zdarzają się próby niezależnego myślenia. Wyrażany jest zarówno sprzeciw wobec prób podważania wyników II wojny światowej i tworzenia sprzecznej z prawdą nowej polityki historycznej, jak i apel o geostrategiczną refleksję związaną ze szczególnym zagrożeniem dla Polski, wynikającym z położenia naszego kraju na pierwszej linii frontu. Jednak uwagi te natychmiast są zwalczane oszczerstwami i groźbami. Lider „dobrej zmiany” nie od dziś woła, że ten, kto domaga się refleksji, walczy o prawdę i wskazuje

Niebezpieczny nurt tak prowadzonej działalności politycznej widać szczególnie w rewizjonistycznej polityce historycznej. Przykłady wskazują, że polityczny handel można uprawiać nawet na mogiłach naszych Termopil. Do opinii publicznej ma więc się przebić jako obowiązująca norma pogląd, że tragiczny sierpień 1944 r. to nie powód do refleksji nad ofiarami i nad bohaterstwem polskich Leonidasów, skazanych przez nieodpowiedzialnych polityków na oczywistą klęskę, ale symbol chwały, nieomal polskiego zwycięstwa! Agresywną politykę Stanów Zjednoczonych, balansującą pomiędzy wybuchem totalnego światowego konfliktu a permanentnym kryzysem i regionalnymi wojnami, mamy brać za zapewnianie świata pokoju i bezpieczeństwa. A peany prezydenta Trumpa o tym, jak to cały świat podziwia Polskę, i jego zapewnienia o uczuciach przyjaźni do naszego kraju pozwoliły ukryć amerykański interes stulecia – realizację za friko strategicznego celu, maksymalnego zbliżenia baz wojskowych do granic przeciwnika, co notabene narusza paryski układ Rosja-NATO z 1997 r. Niemniej jednak dla zachowania pozorów „polski przyjaciel” zagrożony rosyjską agresją miał błagać o to, by amerykańskie wojsko i uzbrojenie czym prędzej zasiedliły na stałe polskie poligony, za co polscy podatnicy miliardami dolarów zasilą budżet

Peany prezydenta Trumpa o tym, jak to cały świat podziwia Polskę, i jego zapewnienia o przyjaźni pozwoliły ukryć amerykański interes stulecia.

na stan świadomości części społeczeństwa, ale wsącza doń jedynie polityczny jad. Dziś spośród metod prowadzenia polityki na czołowe miejsce wysuwają się emocje; te negatywne stają się podstawowym środkiem perswazyjnym. Władza korzysta więc z nich i je podsyca. W rezultacie świadomość społeczeństwa jest w znacznym stopniu zamulona i zmanipulowana. Zdaje się słyszeć: możemy wam dać nawet nie jedno 500+ (bo to i tak nie z naszego portfela), ale kwestie egzystencjalne narodu to nasz monopol. Rzetelna

zagrożenia, „nie jest polskim patriotą. Jest albo bardzo niemądry i naiwny, albo realizuje interes Rosji”. Agent Kremla to najczęstszy epitet używany wobec myślących samodzielnie. Pocieszeniem w tej sytuacji jest tylko to, że kłamstwo i obłuda kończą zwykle na śmietniku historii. Jest kwestią czasu, kiedy prawda wyzwoli nas z obłudy, kiedy przestaną nas mamić błyskotki Zachodu i społeczeństwo w pełni zrozumie, że styropianowe elity bezwstydnie przedkładają własny interes nad strategiczny interes kraju.

SŁUCHAJ NAS W AUDIODELIC

PRZEGLĄD co tydzień w wersji audio.

Pobierz aplikację i słuchaj tekstów czytanych przez profesjonalnych lektorów! Nieograniczony dostęp do bazy naszych artykułów. Wydania aktualne i archiwalne.



Audiodelic

SUBSKRYPCJA PRZEGLĄDU
19,99 zł MIESIĘCZNIE



amerykańskiego Departamentu Obrony. Ta prowokacyjna gra nie byłaby taka łatwa, gdyby nie korespondowała z antyrosyjskimi fobiami naszych polityków.

Dla obecnej elity, nieodróżniającej ogromnie surowego, niekiedy tragicznego okresu utrwalania władzy, nazywanego okresem stalinowskim, od kolejnych lat PRL, całe powojenne

Pułapka, w jakiej znalazła się dziś Polska, nie wyklucza, że „polscy przyjaciele” będą zmuszeni do militarnego wsparcia USA w następnych wyprawach wojennych w celu ustanowienia w świecie amerykańskiej demokracji. Współudziałem w II wojnie w Zatoce Perskiej w 2003 r. z pewnością zażyliśmy na takie wyróżnienie i zaufanie.

dla służby zdrowia, infrastruktury, inwestycji przemysłowych, wreszcie budżetu polskich rodzin. Słychać odpowiedź, że w obliczu zagrożenia ze strony Rosji nie wolno zapominać, że bezpieczeństwo kosztuje, a przecież jest ono dla Polaków bezcenne.

Narracja ta wynika nie z przesłanek merytorycznych, lecz z głęboko wdrukowanej rusofobii. Każda

Terytorium „polskiego przyjaciela” jako teren zastępczy amerykańsko-rosyjskiej konfrontacji jest dla „amerykańskich przyjaciół” idealny.

45-lecie to IV rozbiór Polski i straszna sowiecka okupacja. W tym czasie partyjni sędziowie skazywali na śmierć bohaterskich „żołnierzy wyklętych” walczących z sowieckim okupantem o wolną Polskę. Tylko dzięki temu, że Polacy są odważniejsi od „ruskich”, zdołaliśmy odzyskać niepodległość i zadzierzgnąć więzy przyjaźni z niezwykłą Ameryką oraz odbudować i pielęgnować kwitnącą dziś w Polsce demokrację. Ponieważ Moskwa nadal czyha na nasze terytorium, Stany Zjednoczone dzięki wysiłkowi naszych elit i osobiście prezydenta Dudy stać będą teraz na straży naszego bezpieczeństwa.

Aż trudno uwierzyć, by takie androny wynikały z braku elementarnej wiedzy historycznej. Niektóre trolle przypominają jeszcze o dokonywanej przez „ruskiego okupanta” permanentnej kradzieży polskiego majątku! Przy tak zbudowanej narracji haniebna likwidacja pomników żołnierzy Armii Czerwonej, którzy polegli na naszej ziemi, a dzięki którym uniknęliśmy polskiego Holocaustu, jest poniekąd logiczna. Nic dziwnego, że Wielkiemu Bratu zmierzającemu do okrażenia i sparaliżowania przeciwnika łatwo przyszło osiągnąć pierwszy etap strategicznego celu. Terytorium „polskiego przyjaciela” jako teren zastępczy amerykańsko-rosyjskiej konfrontacji jest dla „amerykańskich przyjaciół” idealny. W ten sposób USA mogłyby przystąpić do realizacji następnych kroków konfrontacyjnych bez narażania własnego terytorium. Podpisanie przez prezydenta Dudę porozumienia o zwiększonej liczbie amerykańskich żołnierzy i utworzeniu amerykańskich baz w Polsce wydatnie wzmaga światowy wyścig zbrojeń. Tymczasem u nas radość, a media tańczą kankana.

Prawdziwa przyjaźń nie zna ograniczeń. Amerykanie jednak to nie tylko przyjaciele, ale i perfekcyjni handlowcy wyznający zasadę: business is business. Przypomnieli więc, że przyjaźń nie anuluje kosztów, jakie musi ponieść Polska. 2 mld dol. ma wynosić nasz wkład w budowę bazy wojsk USA. Do tego dochodzi zakup myśliwców F-35 za ok. 10 mld dol., zakup najnowszych dronów, droższego skroplonego gazu itp. Niebezpieczeństwo wynikające z przyjęcia przez Polskę funkcji uzbrojonego amerykańskiego lotniskowca to jedno, a drugie – czy Polskę stać na takie wydatki bez istotnego uszczerbku

fobia jest przejawem kompleksu i choroby. Antyrosyjskie fobie są nie tylko chore, ale też groźne dla przyszłości Polski. Prowadzą również do zastoju w naszej gospodarce i zubożenia rodzin. Wyłącznie odbudowa normalnych, dobrych, partnerskich stosunków z Federacją Rosyjską w słowiańskim świecie, zerwanych pochopnie przed laty, może Polskę wyprowadzić na drogę spokojnego rozwoju.

Andrzej Gierech jest adwokatem, obecnie na emeryturze. Publikował m.in. na łamach „Myśli Polskiej”, „Polityki”, „Więzi”, „Rzeczpospolitej” i w innych periodykach.

Jubileusz Społecznego Forum Wymiany Myśli

Jednak można zrobić coś trwałego i zapowiadającego sukcesy na lewicy. Od października 2017 r. we Wrocławiu działa Społeczne Forum Wymiany Myśli. Klub dyskusyjny i płaszczyzna spotkań ludzi utożsamiających się z najszerzej pojmowaną tradycją oraz myślą lewicową. Inicjatorzy i promotorzy tego przedsięwzięcia zakładali, że ma to być pozapartyjny i ponadśrodkowiskowy lewicowy think tank.

W jego ramach odbyło się już 25 debat. Forum organizowało też wystawy fotografii i spotkania autorskie z pisarzami. Podobne fora zaczęły działać w Warszawie i Bydgoszczy.

Społeczne Forum Wymiany Myśli ściśle współpracuje z portalem Strajk.eu oraz Fundacją Naprzód. Z czasem do grona partnerów dołączyły tygodnik PRZEGŁĄD, portal Lewica.pl, Stowarzyszenie Pokolenia Dolny Śląsk, dziennik „Trybuna” i środowisko strony Historia Czerwona. Ostatnio dołączyła znana wrocławska kawiarnioksięgarnia Tajne Kompletty. Na Facebooku funkcjonuje strona SFWM, na której prowadzone są transmisje online z debat forum.



Całemu zespołowi, a przede wszystkim twórcy i animatorowi forum, Radosławowi S. Czarneckiemu, serdecznie gratulujemy.

e-mail: spoleczneforumwymianymysli@gmail.com
facebook.com/SpołeczneForumWymianyMyśli

Rozmawia Rafał Pikuła

Wiem, że nie tylko lubisz oglądać piłkę, ale także w nią grasz. Czy książka to forma opowieści o tej miłości, czy piłka jest tu jedynie zgrabną metaforą?

– To opowieść o miłości, ale raczej takiej straconej. Są tutaj wszystkie składowe romantycznej historii: fascynacja, zaangażowanie, złudzenie, strata. Kochasz tę piłkę, chociaż przynosi ci wiele rozczarowań i smutku, z drugiej strony tylko ona wyzwala tyle emocji. Z jeszcze innej strony piłka nożna, podobnie jak miłość, pozwala zrozumieć absolut. To uniwersalny język, którym posługują się mieszkańcy całego globu.

Piszesz we wstępie, że „piłka nożna pozwala mówić o wielkich prawdach, szczególnie tych, które nie są z nią związane bezpośrednio”. Czy to znaczy, że poprzez zgrabną piłkarską narrację wyrażasz coś, o czym nie chciałbyś mówić wprost?

– Piłka jest szalenie popularna, gra się w nią na każdym kontynencie, niezależnie od statusu społecznego, koloru skóry, wyznania i poglądów. Jest masowa i egalitarna, jednocześnie zawiera wszystkie wynaturzenia kapitalizmu – piłkarze zarabiają kolosalne kwoty, imprezy piłkarskie są bardzo kosztowne, a przemysł piłkarski kolonizuje całe społeczności. Co ciekawe, sam mecz – odarta ze spektaklu rozgrywka – jest czymś szalenie sprawiedliwym w tym świecie nierówności i podziałów. Na boisko wychodzi 22 graczy i wszystko zależy od nich. Tutaj kopciuszek może pokonać giganta – w świecie sportu takich wyników jest dużo więcej niż w świecie biznesu.

Piłka nożna jest więc przestrzenią paradoksów.

– Masz w niej bezwzględny rynek transferowy, oszustwa podatkowe, których dopuszczają się nawet najlepsi, mafijne układy i powiązania z polityką, ale także szacunek, odwagę i prawdę. Zauważ, że tuż po meczu wygrani piłkarze pocieszają przegranych. W piłce nożnej – w przeciwieństwie do polityki – nie ma miejsca na PR-owe zagrywki i fake newsy. Jeśli zespół przegra 0:4, trener nie powie, że odnieśli moralne zwycięstwo! Piłka nożna jest ta-

Lewica musi sobie pozwolić na drybling

Dlaczego piłka nożna ułatwia zrozumienie świata



PAWEŁ MOŚCICKI

– autor zbioru esejów „Lekcje futbolu”, filozof i tłumacz, pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN

ka romantyczna również dlatego, że daje ogromne szanse wykluczonym. Wśród prawników nie ma zbyt wielu osób, które pochodziły z biednych środowisk, a wielu znanych piłkarzy – jak Neymar, Cristiano Ronaldo, Luka Modrić – miało ubogie, naznaczone trudem dzieciństwo. W sporcie wiele zależy od fizyczności, pracowitości i uporu.

Lubimy historie, gdy Dawid wygrywa z Goliatem, gdy niewiarygodne staje się faktem.

– Ostatni przykład z polskiego podwórka, gdy mistrzostwo Polski zdobył skromny Piast Gliwice, prześcigając najbogatszą Legię. W ostatnich latach mieliśmy wiele takich historii: wygranie ligi angielskiej przez Leicester, Islandia w ćwierci-

nale mistrzostw Europy, Ajax rozbijający Real Madryt. To momenty, gdy przewidywania fachowców się nie sprawdzają, gdy świat staje się na moment nieprzewidywalny i daje nadzieję, że wszystko jest możliwe.

Najczęściej jednak pojedynek piłkarski porównuje się do wojny.

– Niektórzy mówią, że lepiej rozgrywać mecze między sobą, niż walczyć, ale przecież konflikty nie zniknęły wraz z popularyzacją tego sportu. Wojenna narracja ma się dobrze w świecie futbolu, bo w ogóle nasz język jest pełen militarnej retoryki. Zauważ, że nikt nie widzi niczego złego w podziwianiu defilad wojskowych – rodzice prowadzą dzieci na pikniki wojskowe i pokazują im przedmioty służące do zadawania bólu i cierpienia! A gdybyśmy urządzili parade gadżetów erotycznych, narzędzi do sprawiania przyjemności, byłby skandal. To przecież absurdalne, że nie mamy nic przeciwko promowaniu rzeczy, które niszczą ciała, ale boimy się tego, co ciału daje radość!

W książce wspominasz, że metafory seksualne lepiej nadają się do pisania o piłce.

– Oczywiście, że retoryka seksualna jest idealna, ale problemem jest napakowanie testosteronem piłkarskiego świata. Mężczyźni mają problemy z mówieniem o seksie, a jak już mówią, to w sposób infantylny czy wulgarny. Inna rzecz, że szatnia jest silnie homofobiczna i szowinistyczna – tu nie ma miejsca na erotykę, bo ten mechanizm budowania wspólnoty mocno by się zachwiał. Zarazem nie brakuje tu... transpłciowych gestów, choćby tzw. cieszynki polegającej na wkładaniu piłki pod koszulkę, aby ta wyglądała, jakby się było w zaawansowanej ciąży. To przełamanie obyczajowości następuje jednak w wyjątkowym momencie – strzelenie gola czy spełnienie, seksualnie rzecz ujmując, jest momentem orgazmu. Wtedy dochodzi do przerwania narracji, zaburzenia reguł, to czas fiesty i dlatego możliwe staje się – jak w karnawale – odwrócenie ról. Sama cieszynka jest „kobieca” – to wybuch emocji, dziki taniec, cmokanie, gesty kojarzone z męskim otoczeniu z kobiecością.

Jednak nie po każdym голу jest czas i miejsce na cieszynkę.

Musi to być gol zwycięski, dający prowadzenie lub wyrównanie. Gol kontaktowy albo honorowy nie daje przyzwolenia na szaleńczą radość i przełamywanie narracji.

– To prawda. A więc prawdziwa radość płynie tu jednak z dominacji. **Jeżeli o kobiecości mowa, to przy okazji mistrzostw świata kobiet w piłce nożnej wybuchła – kolejna już – debata na temat nierówności w zarobkach pomiędzy piłkarzami a piłkarkami. Kwestie genderowe znów weszły na stadiony.**

– Czytałem ostatnio wywiad z Sonią Bohosiewicz, która zażądała takiej samej stawki jak dla aktora grającego równorzędną rolę. Wtedy od razu poszukano innej aktorki. Walka o równe płace objęła wszelkie zawody i profesje, więc nie dziwi ta dyskusja w piłkarskim świecie. Wyokość zarobków w dobie kapitalizmu dyktowana

jest popularnością danej dyscypliny. Kobiecą piłkę wciąż ogląda się mniej chętnie, nie ma tu tylu sponsorów itd. Kapitalizm nie jest uczciwy i nie ma co się oszukiwać.

Bo nie jest uczciwe, że ktoś – tak jak Leo Messi – zarabia ponad 8 mln euro miesięcznie.

– To jakieś kosmiczne kwoty! Bardzo rozsądna wydaje się tutaj wypowiedź Jakuba Błaszczykowskiego, który swego czasu powiedział, że piłkarz nie powinien zarabiać więcej niż lekarz czy dentysta. Ale Kuba to

Kochasz tę piłkę, chociaż dostarcza ci wielu rozczarowań i smutku, z drugiej strony jedynie ona wyzwala tyle emocji.

wyjątek – on nawet teraz w Wiśle gra za symboliczne 500 zł. Absurd wynika także z tego, że w kapitalistycznej narracji miarą twojej wartości jest to, ile ci płacą. Piłkarze walczą o jak najwyższe kontrakty, bo to świadczy o ich statusie. W ogóle żyją w jakichś innych światach.

Jean-Paul Sartre powiedział kiedyś, że „w futbolu wszystko komplikuje obecność przeciwnej drużyny”.

Sformułował w ten sposób banalną prawdę o futbolu, ale również – według ciebie – wskazał kluczową radę dla polskiej lewicy.

– W ogóle w świecie polityki jest wiele piłkarskich odniesień! Tłumacząc klęskę opozycji przy okazji ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego, Katarzyna Lubnauer stwierdziła, że grali na pochyłym boisku i mieli pod górkę. Zapomnieli dodać, że postanowili zagrać ten mecz w kałozach. W przypadku lewicy problem jest taki, że nie chce wyjść na boisko, nie chce zagrać. Lewica ma swoją fałszywą świadomość, która

nie pozwala jej zmierzyć się z rzeczywistością, zagrać z przeciwnikiem. Lewicowa iluzja to przekonanie o „posiadaniu racji” i to złudzenie paraliżuje. Prawica i liberałowie mają swobodę ruchów, nie oglądają się na rzeczywistość, tylko konstruują swój świat, gdzie wszystkie koszty zostały przeniesione na tych, którzy nie mieszczą

się nawet w ich opowieści. Lewica zaś jest zablokowana obecnością przeciwników – chcąc trzymać się rzeczywistości, musi znaleźć sposób na zmierzenie się z iluzjami stworzonymi przez innych.

Czyli lewica gra sama ze sobą w tzw. dziada?

– Dyskutuje sama ze sobą. W lewicowym świecie jest wiele doskonałych analiz, przemyśleń i pomysłów. Lewica, opisując świat, ma problem z chodzeniem na skrót. Piłkarsko rzecz ujmując, wiecznie analizuje

strategie, zamiast pozwolić sobie na drybling. W mediach, a szczególnie w mediach społecznościowych, nie da się opisać skomplikowanego świata – prawica o tym wie i ładuje toporny, ale skuteczny przekaz. Poszedłem kiedyś na spotkanie grup lewicowych skupionych wokół Barbary Nowackiej i wiesz, co usłyszałem?

Pewnie, że mają rację?

– Tak, i że potrzebna jest zmiana konstytucji, głęboka reforma systemu edukacji, zdrowia itd. Mnóstwo ważnych, górnolotnych haseł, ale to było bez sensu. Po co gadać o zmianie konstytucji, gdy ma się 2% poparcia! Lepiej skupić się na tym, jak dojść do władzy, zdobyć więcej głosów, przekonać wyborców, a dopiero potem fantazjować o zmianie ustroju.

Piłka to uniwersalny język, którym posługują się mieszkańcy całego globu.

Trzymając się piłkarskiej metafory: myślą o medalach, a jeszcze nie wygrali eliminacji.

– W piłce i w polityce liczy się wynik. Grecja w 2004 r. wygrała Euro, choć grała koszmarnie. Ważne są punkty, głosy, mniej liczy się styl. Lewica musi postawić na skuteczność, musi być bardziej pragmatyczna. Nie mówię, że trzeba się pozbyć ideałów, ale te ideały są na nic, jeśli nie przekracza się progu wyborczego.

Marek Bieńczyk pisał, że „piękno jest w przekroczeniu niemożliwego czy w spełnieniu nieoczekiwanego w wykonaniu nieprzewidywanego”. W polityce takie cuda nie są możliwe. Tak więc piłka versus polityka 1:0.



Grażyna Barszczewska,
Grzegorz Cwiertniewicz
Amantka z pieprzem

Prószyński i S-ka, Warszawa 2019



Jaka prywatnie i zawodowo jest Grażyna Barszczewska? Czym jest dla niej miłość, ból, strata najbliższych? Odpowiedzi znajdziemy w wywiadzie rzece, w którym popularna aktorka teatralna i filmowa opowiada o uczuciach, miłości, humorze, teatrze i filmie.

O codziennym życiu i niecodzienności bycia „amantką z pieprzem”. Artystka podkreśla, że najważniejsze jest dla niej spotkanie z drugim człowiekiem.

Marek Hłasko

Pierwszy krok w chmurach
Opowiadania

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019

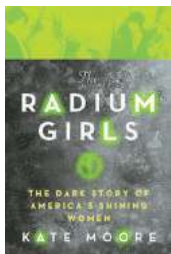


Debiutancki tom zawierający 16 opowiadań zmarłego 50 lat temu Marka Hłaski, który uznawany jest za jednego z najbardziej wyrazistych prozaików, przedstawia naturalistyczne obrazy z czasów realizmu socjalistycznego. Wykreowany w nich dosadny i pozbawiony złudzeń świat to nie tylko przejmujący zapis ludzkich losów, ale też głębokie studium psychologiczne bohaterów, którzy próbują buntować się przeciwko rzeczywistości.

Kate Moore

The Radium Girls
Mroczna historia promiennych kobiet
Ameryki

Poradnia K, Warszawa 2019



W latach 20. XX w. amerykańska firma United States Radium Corporation opatentowała i produkowała farbę świecącą w ciemności. Składnikiem odpowiedzialnym za ten efekt był rad. Nieświadome zagrożenia pracownice fabryk wytwarzały m.in. świecące w ciemności cyferblaty zegarków, a po zakończeniu pracy same promieniowały światłem. Kiedy zaczęły chorować, firma zignorowała wszelkie próby o pomoc i odszkodowania. Rozpoczęła się batalia z korporacją oraz walka o zdrowie i życie. Ale temat jest nadal aktualny w świecie, w którym prawa pracownicze i prawa kobiet są niezmiennie przedmiotem dyskusji.

– Piłka jest opowieścią o marzeniach, polityka o obietnicach, a różnica polega na tym, że te pierwsze niekoniecznie muszą się spełniać, choć mogą, a te drugie są wymagane. Idąc dalej w porównywaniu piłki nożnej i polityki: oba światy to opowieść o pysze i trwonieniu przewagi. Ileż było meczów, w których zespół schodził na przerwę, prowadząc 2:0 czy 3:0, a ostatecznie przegrywał! A w polityce? Komorowski miał przegrać z Dudą tylko w przypadku, gdyby po pijaku przejechał zakonnicę w ciąży. Wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

W piłce i w polityce liczy się wynik.

Widzę jedną różnicę. Jeżeli zespół piłkarski poniesie sromotną klęskę, zwalnia się trenera, wymienia zawodników, analizuje strategię. W przypadku Koalicji Europejskiej za kampanię do europarlamentu odpowiadali ci sami ludzie, którzy poprowadzili byłego prezydenta do sromotnej klęski w boju o reelekcję.

– Na tym polu piłka nożna jawi się jako oaza racjonalności w świecie fake newsów, bzdur i chaosu. Może wynika to z tego, że w futbolu w grę wchodzi ogromne pieniądze. W polityce też są oczywiście duże pieniądze, ale często w formie finansowania z budżetu czy innych dotacji. W polityce spokojnie można sobie grać w opozycji. W piłce nożnej jeśli się nie starasz, to wylatujesz. Świat futbolu zna wiele historii talentów, którym nie chciało się harować, więc ślad po nich zaginął.

Futbol jako szkoła wartości.

Albert Camus napisał kiedyś: „Prawie wszystko, co wiem o obowiązkach i moralności, zawdzięczać uprawianiu

sportu i temu, czego się nauczyłem, stojąc na bramce”. A czego ty się nauczyłeś o życiu, grając w piłkę?

– Nauczyłem się godzić z życiem. Gra w piłkę pozwala zauważyć, że jako człowiek masz ograniczenia. Z wiekiem kondycja słabnie, zauważasz, że młodszy zawodnicy wygrywają z tobą pojedynki biegowe. Tym samym zaczynasz rozumieć, że wszystko przemija, zmienia się, a ty musisz się z tym pogodzić, nie możesz się frustrować. Nie będziesz już

lepszym piłkarzem, czas minął. W codziennym życiu tę prostą prawdę, że się starzejesz, tracisz szanse i możliwości, łatwo od siebie odsunąć. Nowoczesne technologie i hiperoprymistyczne narracje popkultury mogą w tym pomóc. W futbolu prawda wyjdzie na jaw.

„Niektórym wydaje się, że stadiony piłkarskie to wyspy. Nie wiedzą, że są one raczej lustrami, w których odbija się obraz świata, do którego wszyscy należymy”, pisał Eduardo Galeano. Przeglądasz się w świecie piłki, by lepiej zrozumieć ten otaczający nas?

– Porównanie jakiegoś zagadnienia do piłki nożnej pomaga mi uczynić je bardziej zrozumiałym, prostszym,

pozwala mi wyraźniej zaznaczyć jego kontury w umyśle. Większość osób – w tym eseistów – używa filozofii czy literatury, żeby mówić o piłce, ja robię na odwrót – za pomocą piłki chcę opisać problemy filozoficzne, etyczne, emocjonalne.

Dlatego twoja książka nie jest pozycją z półki „książki sportowe”. W serii rzutów karnych po nierozstrzygniętym meczu widzisz alegorię czekającej wszystkich śmierci, w powołaniu do kadry narodowej znajdujesz punkty styczne z Kafkowską prozą, a w kłótniach piłkarzy z sędziami po spornych faulach namiastkę walki klasowej.

– Moja książka jest o piłce nożnej w takim samym stopniu jak „Pasaż” Waltera Benjamina są o sklepach (śmiejch). Po prostu łatwiej mi się opowiada o świecie, gdy piszę za pomocą piłkarskiej metafory. Czytałem kiedyś „Kroniki wina” Marka

Gra w piłkę pozwala zauważyć, że jako człowiek masz ograniczenia.

Bieńczyka, chociaż nie znam się na winach, ledwie odróżniam białe od czerwonego, mimo to byłem pod ogromnym wrażeniem tej książki. Wino, pasaż handlowy, piłka – to wszystko punkty wyjścia do zrozumienia szaleniście ciekawego i skomplikowanego świata. Zadaniem eseisty jest opisywanie go i znalezienie odpowiedniego języka. Dla mnie tym językiem był futbol.

Rafał Pikuła

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Chuck Norris mojego kręgosłupa

Można odmówić zrobienia prawa jazdy, można nie jeździć rowerem, kontestować samolot, ale własne stopy należy jako tako – jak to się mówi – ogarniać. Z reguły nie myśli się o tym przed trzydziestką. Potem piechurzy, perypatetycy albo ci, którzy dźwigają nieco więcej na krągłych ramionach, zaczynają własne stopy czuć (ach, poeta Jaworski: „Odczuwaliśmy starość”). Higieniści zlecają wtedy masaże, dbaluchy kupują cwane buty. Rozsądni odrzucają co wyższy obcasik, a nawet odbijają na kartkach A4 ślady stóp, żeby sprawdzić, czy są koślawe, czy szpotawe. Zniechęcające nazewnictwo nie powinno nas powstrzymać przed eksplorowaniem tematu. Inaczej czekają nas: ostroga, odciski, szeroka stopa i krzywe paluchy (i tak nas to czeka, ale – anything goes! – próbujemy trochę oszukiwać). Po czterdziestce zbieramy na podologa, bo niestety już wiemy, co to jest podolog, i latem – kiedy się chodzi najwięcej – postanawiamy wreszcie dobrać wkładki (osoby wrażliwe proszone są o porzucenie felietonu w tym miejscu).

A tam już czeka na nas jakaś młoda, sprawna i rezolutna osóbką ze stopami jak marzenie – ma się rozumieć boso – żeby nas poniżyć, przebiegając paluszkami, prezentując akrobacje śródstopiem, robiąc z palców przedziwne wachlarze i układy kompletnie dla śmiertelnika nieosiągalne.

W gabinecie pełnym kolczastych piłeczek, kolorowych mat i dziwnych plakatów jest duszno. Wątlą wiatraczek najwyraźniej sobie nie radzi. A tu napinka, bo trzeba DOBRZE stanąć. Wszystko na marne – i tak się okaże, że człowiek jest tak nierówny, że stoi w 70% na jednej stopie. Pewnie chodzi w 100% na jednej. Żle, źle, źle – gani pani. Wszystko źle. Żle z siadaniem i źle ze staniem. Żle z chodzeniem i źle ze stąpaniem. Żle z leżeniem i źle z bieganiem. „Do ściany!”, rozkazuje i pokazuje, jak ona przylega. To ja też podchodzę, próbuję przylgnąć, ale między mną a ścianą powstaje niepożądana, świadcząca o błędzie dziura. „Do ściany!”. Rozkaz to rozkaz. Likwiduję dziurę, ale to kosztowne: stres, wysiłek, poty.

Mapa mojej stopy jest skandaliczna. Robię się mała jak kolec na gumowej piłce. Siadam skruszona (źle!). Poprawiam się. Pani bierze w obroty moją stopę, a potem pokazuje ćwiczenia. Stopą drze ekspresyjnie chusteczkę. Ta choreografia wprawia mnie w zakłopotanie. Nie umiem i nie chcę powtarzać tego w domu. W ruch idzie piłka tenisowa i przypominam sobie, że pisał o niej David Foster Wallace. Przypominam sobie, jak łączyłyśmy z koleżankami pod korty, gdzie opaleni bogacze

uprawiali swoje bogactwo za pomocą miękkich, szlachetnych dźwięków, jakie wydaje piłeczka w zderzeniu z raketą tenisową: cik, jok. Czasem jakaś piłeczka wypadła za siatkę, a my tylko na to czekałyśmy. Porywałyśmy piłkę i już nas nie było. Miały ten niepowtarzalny zapach i jaskrawozielony kolor. W PRL królowały nam przy plecakach). Teraz jednak piłeczka tenisowa miała prześtać się kojarzyć z czymś fajnym. „Po powrocie do domu wkładamy piłeczkę pod stopę i robimy sobie masaż, o tak”. Co za przykreść!

Do podologa weszłam, owszem, zaniepokojona, ale pełna (nerwowej) energii. Wyszłam kompletnie rozbita i pokrzywiona, z dziurą za plecami i gumowym dyskiem pod pachą. Na koniec pani spojrzała na mnie surowo i rzekła: „Teraz Iwan”. Podałam się, bo i tak utraciłam już resztki godności. Grubo ciosana twarz Iwana pojawiła się w drzwiach, a za nią cały Iwan – krzepki facet z łańcuchem na szyi. Coś pomiędzy Chuckiem Norrisem

Iwan był subtelny jak kaczuska, podnosił mnie, przerzucał sobie na plecy jak worek z kapustą, wywijał moje kończyny niezgodnie z logiką.

a Stevenem Seagalem, tylko z Rosji. Żegnaj, życie, było nawet fajnie. Poszłam smutno za Iwanem na rzeź. Poprosiłam, żeby był delikatny, bo inaczej szybko wszystko złamię. I Iwan był subtelny jak kaczuska, podnosił mnie, przerzucał sobie na plecy jak worek z kapustą, wywijał moje kończyny niezgodnie z logiką. Bez komentarza pozostawił ich stan.

Zapłaciłam. „Temu to dobrze”, myślałam. Zdrowy Iwan będzie długo się cieszył swoim sprawnym ciałem, czystymi płucami, różowym żołądkiem. Zeszłam ostrożnie z metalowych schodków i poczułam swojski dym. Pod schodami papierosem zaciągał się Iwan, tak głęboko, z taką przyjemnością, tak namiętnie, że oczy prawie wychodziły mu z orbit. W ręce trzymał dymiącą parzącą. „A! Wcale pan nie jest taki znowu zdrowotny!”, ucieszyłam się. A on uśmiechnął się, ukazując komiksową szczerbę. „A kto tak powiedział? Kto palnął coś takiego?”.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

KURTYNA W GÓRĘ

ODWIECZNE MARZENIE

Spektakl Jędrzeja Piaskowskiego został zatytułowany „Jezus”. Jeśli jednak ktoś oczekiwał, po tytule sądząc, historii ewangelicznej Jezusa, zawiedzie się srodze. Podobnie jak ten, kto się spodziewał szyderstwa w „lewackim” teatrze. W spektaklu nawet nie padnie słowo Jezus, choć aluzyjnie, a raczej metaforycznie, figura kulturowa Jezusa tkwi pod skórą wszystkich postaci. Rzecz bowiem w odwiecznym marzeniu o zmianie i o kimś/o czymś, co tę radykalną zmianę wprowadzi, czyniąc świat i ludzi lepszymi. Jak w cytowanym w przedstawieniu fragmencie z „Jezusa” Jamesa Martina: „Miłosierdzie oznacza umiejętność dotarcia do wnętrza drugiego człowieka tak da-

lece, że będziemy patrzeć na świat jego oczami”.

Wiele tu „linków” do innych dzieł (np. „Szukając Jezusa” Katarzyny Kozyry). Spektakl związany jest silnie z tym, co pulsuje we współczesnej kulturze. I tej popularnej, i tej wysokiej. Sięga także do ikon biblijnych (np. Maria Magdalena). Aktorzy to uwiarygodniają. Trudno nie poddać się zachwycającej kreacji Piotra Polaka, który jako Kosmita daremnie usiłuje wyjaśnić Ziemianom, na czym polega inność bycia w jego świecie.

Na koniec wszyscy wchodzą przez uchylone drzwi do lepszego świata.

„Jezus”, reżyseria Jędrzej Piaskowski, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 22 czerwca



Że to utopia? Zapewne. Że naiwne? Pewnie też. Że rozterki wieku dojrzewania? Niech i tak będzie. Ale bezinteresowność tego spektaklu, niemającego na widoku walki z kimkolwiek, jest pociągająca.

Tomasz Miłkowski



„Śpiewak jazzbandu”, reżyseria Wojciech Kościelniak na motywach sztuki Samsona Raphaelsona, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, prapremiera światowa 14 czerwca 2019

ŚPIEWAK JAZZBANDU

To teatralny majstersztyk. Musical przygotowany przez Wojciecha Kościelniaka na kanwie pierwszego w historii filmu dźwiękowego nie ma właściwie słabych stron. Wspaniali soliści, w tym Kamil Krupicz, Paweł Tucholski i Arkadiusz Borzdyński, doskonałe i dynamiczne sceny zbiorowe, fantastyczne przygotowanie wokalne, natchniona, rytmiczna muzyka, perfekcyjni tancerze. I do tego atmosfera pełna bólu i zadumy nad życiem bliska religijnej refleksji. Scena podzielona na klatki taśmy filmowej czasem służy jako ekran, ale najważniejsze jest to, co się dzieje na żywo. Spektakl porównywalny ze „Skrzypkiem na dachu” wart każdych pieniędzy.

Bronisław Tumilowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI



Ann Cleeves
BŁĘKIT BŁYSKAWICY

tłum. Sławomir Kędzierski
Czwarta Strona, Poznań 2019

Taki już los powieściowych policjantów, że i w czasie wolnym gdzie się pojawiają, tam trup. Jimmy Perez z Szetlandów przywozi narzeczoną na rodzinną wyspę, ale nie tym, czy rodzice i Fran się polubią, musi się martwić. Morderstwo w ośrodku dla obserwatorów ptaków zmusza go do wszczęcia samodzielnego śledztwa. Na własnym terenie wcale nie jest łatwo, choć podejrzanych niewielu. Szaleje sztorm, ale kiedy ucichnie, mogą się zwalić dziennikarze, bo ofiara, administratorka ośrodka, była znaną postacią. Komu aż tak podpadła? Cóż, ptasiarze to nie takie niewinne ptaszyny. Jednym z głównych wątków są tu konflikty na linii rodzice-dzieci. Nawet Jimmy’ego czeka niemiła niespodzianka. I nadal grozi mu, że będzie ostatnim Perezem na wyspach...

Aleksandra Pańko

NA POWAŻNIE

OLBIŃSKI MOZARTOWI

Rafał Olbiński opracował scenografię do jednej z najpopularniejszych oper Mozarta, do „Czarodziejskiego fletu”. Jego wizji pomogły rzutniki, które wyświetlały barwne dekoracje na malutkiej scenie Warszawskiej Opery Kameralnej. Dzięki temu fabuła nabiera bajkowej fantazji, a twórczość Olbińskiego przy okazji głębszej treści. Warte uwagi są też kreacje Marcina Łobacza, który przygotował kostiumy. W obsadzie znajdziemy wielu młodych artystów, dla których ta scena może być trampoliną do dalszej kariery. Paweł Trojak w roli Papagena czy Maria Rozynek-Banaszak jako Królowa Nocy są taką nadzieją. O nich nieraz jeszcze usłyszymy.

Bronisław Tumilowicz



Wolfgang Amadeusz Mozart, „Czarodziejski flet”, reżyseria Giovanni Castellanos, kierownictwo muzyczne Marcin Sompoliński, Warszawska Opera Kameralna, premiera 15 czerwca 2019 w ramach Festiwalu Mozartowskiego

FESTIWALE

25. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWKĘ

Enrico Rava Special Edition

Bez tego festiwalu trudno by sobie wyobrazić Starówkę latem. Program jest jubileuszowy, ale tradycyjnie zróżnicowany stylistycznie, z uwzględnieniem najwartościowszych zjawisk i trendów w międzynarodowym i polskim jazzie. Jak zwykle są w nim gwiazdy, premiery i odkrycia. Na początek najśłynniejszy trębacz Starego Kontynentu Enrico Rava, od lat związany z brzmieniem i projektami wytwórni ECM. Z okazji 80. urodzin odbywa się światowa trasa koncertowa tego artysty. W specjalnej edycji koncertu weteranowi towarzyszyć będzie grupa



niezwykłych młodych muzyków, z którymi współpracował w ostatnich latach: Giovanni Guidi na fortepianie, Gianluca Petrella na puzonie, Francesco Diodati na gitarze, Gabriele Evangelista na kontrabasie i Enrico Morello na perkusji.

A w kolejne soboty m.in. Ashley Henry Quartet, czyli młody wizjoner brytyjskiego fortepianu, gwiazda jazzu, soulu i R&B China Moses Group, ikona skandynawskiego jazzu Terje Rypdal Quartet, Adam Bałdych Quartet, Wojtek Mazolewski Quintet i Aga Zaryan Quartet.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, SOBOTY, 6 LIPCA-31 SIERPNIĄ, GODZ. 19.00

(ap)

ZAJRZYJ TU



W POGONI ZA KOLOREM

Szklą Jerzego Słuczana-Orkusza

Wymyślne kształty i opalizujące kolory zachwyciły miłośników polskiego szkła już pół wieku temu. Różowe wazoniki z kokardkami, zestawy czarnych i białych naczyń dekorowanych spiralną nitką wydają się nam znane. I słusznie, bo one zdobiły wnętrza w latach 80. i 90. Autorem projektów jest Jerzy Słuczana-Orkus – pierwszy absolwent Katedry Szkła wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (obecnie ASP), wybitna postać polskiego designu. Wystawa przypomina jego prace i sylwetkę.

**MUZEUM NARODOWE
WE WROCŁAWIU,
25 CZERWCA-22 WRZEŚNIA**



NA EKRANACH

Z PIANĄ NA USTACH

reż. Janis Nords,
prod. Polska/Litwa/Lotwa,
już w kinach

Łotewskie kino dociera do nas rzadko, a szkoda, bo ta ciekawa kinematografia jest dziś wypadkową wpływów rosyjskich i amerykańskich przy jednoczesnej próbie budowania własnej tożsamości. Najlepszym dowodem „Z pianą na ustach”. Opowiedziany po amerykańsku – z suspensem, emocjami i zabawą gatunkiem, ale z pulsującą rosyjską duszą, która tworzy klimat melancholii. Bohaterowie, małżeństwo z długim stażem, które zostaje wystawione na próbę, gdy w kobiecie, szkolnej higienistce, zakochuje się uczeń, mają swoje tęsknoty i niespełnienia. Jak u Czechowa – marzą o czymś odległym i nie do końca sprecyzowanym, co mogłoby odmienić ich przeciętny, pełen wyzwań los. Gdy tak chodzą z głową w chmurach, dopada ich zawiślana codzienność, która na nowo zweryfikuje ich priorytety. Reżyser skupia się na relacji między bohaterami, fenomenalnie odegranymi przez łotewskie gwiazdy, ale ważne jest też dla niego lokalne tło. Mamy tu odcięte od świata miasteczko, które nie poddało się globalizacji, akcja zaś jest zanurzona w łotewskiej tradycji – pośród bujnej roślinności rodem z romantycznych ballad.

Artur Zaborski



SERIAL

GÖSTA

Psycholog dziecięcy Gösta dostaje swoją pierwszą pracę w miasteczku na szwedzkiej prowincji. Przeprowadza się tam ze Sztokholmu i wynajmuje domek pośrodku lasu. 28-latek chce być najlepszym człowiekiem na świecie i pomagać wszystkim, co wychodzi mu z różnym skutkiem. 12-odcinkowy serial



w reżyserii i do scenariusza Lukasa Moodyssona (debiutował w 1998 r. dramatem „Fucking Åmål”) jest pierwszym szwedzkim serialem HBO Europe.

HBO GO I HBO, OD 1 LIPCA, GODZ. 22.10

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Pracodawcy blokują związki

Niektórzy pracodawcy nie chcą widzieć na terenie zakładu pracy związkowców w nim niezatrudnionych

Paweł Śmigiełski



Związki zawodowe w negocjacjach z pracodawcą często korzystają z pomocy swoich członków lub przedstawicieli niezatrudnionych w danym zakładzie pracy, np. należących do międzyzakładowej organizacji związkowej, zewnętrznych ekspertów czy doradców związkowych. Ich udział w różnego rodzaju działaniach związkowych jest naturalną konsekwencją powszechnie obowiązujących przepisów prawa, a także zasad związanych z niezależnością i samorządnością organizacji związkowej. Doświadczenie tych osób, ich wiedza i umiejętności dają ponadto możliwość lepszej, skuteczniejszej obrony praw i interesów pracowniczych.

W praktyce możliwości ich działania są mocno ograniczone. Niektórzy pracodawcy nie chcą bowiem widzieć na terenie zakładu pracy osób (związkowców) w nim niezatrudnionych, tłumacząc zakaz wstępu na wszelkie możliwe sposoby, w tym zasadami bezpieczeństwa i higieny pracy, ochroną tajemnicy przedsiębiorstwa czy regulacjami związanymi z RODO. Jest to oczywiście pretekst, aby nie ułatwiać wykonywania ustawowych uprawnień związków zawodowych i maksymalnie ograniczyć związkom możliwości skutecznego działania.

Pracodawcy tłumaczą zakaz wstępu zasadami BHP, ochroną tajemnicy przedsiębiorstwa czy RODO. To oczywiście pretekst.

Podjęmowane przez związek zawodowy próby uregulowania tej sytuacji w porozumieniu z pracodawcą są najczęściej ignorowane lub w wypadku podjęcia negocjacji rozmowy trwają miesiącami, a nawet latami.

Mając na uwadze praktykę stosowaną w wielu zakładach pracy, można się pokusić o stwierdzenie, że prawo nie zapewnia organizacji związkowej wystarczająco skutecznych narzędzi.

Odwołując się do regulacji międzynarodowych, warto pamiętać, że art. 2 ust. 1 Konwencji 135 MOP dotyczącej ochrony przedstawicieli pracowników w przedsiębiorstwach stanowi, że przedstawicielom tym będą przyznane takie ułatwienia, które umożliwią szybkie i skuteczne wykonywanie ich funkcji. Przyznanie ułatwień nie powinno jednak utrudniać skutecznej działalności przedsiębiorstwa.

Regulacja ta została uszczegółowiona w Zaleceniu nr 143 MOP w pkt 17 ust. 1 poprzez wskazanie, że przedstawiciele związku zawodowego niezatrudnieni w przed-

siębiorstwie, którego pracownicy są członkami tego związku, powinni mieć wolny dostęp do takiego przedsiębiorstwa. Pojęcie „wolny dostęp” oznacza, że działalność związkowa powinna być prowadzona swobodnie, bez nieuzasadnionych utrudnień lub ograniczeń stosowanych przez pracodawcę (np. spotkania, narady czy rozmowy przedstawicieli związkowych z pracownikami na terenie zakładu pracy nie powinny się odbywać pod nadzorem pracodawcy lub w asyście jego reprezentantów). Pracodawca mógłby wprowadzić w tym obszarze pewne ograniczenia, jeżeli wynikałoby to z przepisów prawa, wymogów bezpieczeństwa lub charakteru zadania realizowanego przez przedstawiciela organizacji związkowej.

Z powodu coraz większych problemów z wejściem związkowców na teren zakładu pracy do Zespołu Problemowego ds. Prawa Pracy Rady Dialogu Społecznego trafił projekt nowego zapisu do ustawy o związkach zawodowych (art. 332). Przewiduje on następujące rozwiązania:

- zagwarantowanie wolnego wstępu na teren zakładu pracy przedstawicieli związku zawodowego, którzy nie są zatrudnieni u danego pracodawcy, lecz którego pracownicy lub inne osoby wykonujące pracę zarobkową są członkami tego związku,
- szczegółowe zasady wejścia na teren zakładu pracy wskazanych powyżej osób powinny zostać określone w układzie zbiorowym pracy lub odrębnym porozumieniu, przy czym zasady te nie mogą zmierzać do nieuzasadnionego ograniczenia lub wyłączenia prawa do wejścia na teren zakładu pracy.

Zaproponowana regulacja obejmuje przedstawicieli organizacji zakładowych i międzyzakładowych,

a także ekspertów i doradców związkowych.

Potrzebne wydaje się upoważnienie stron do szczegółowego uregulowania zasad wejścia na teren zakładu pracy w dwustronnym porozumieniu. Co jednak robić w sytuacji, gdy pracodawca celowo przedłuża rozmowy, po to by takich zasad nie ustalić lub wprowadzić je jak najpóźniej? Wydaje się, że wówczas zastosowanie będzie miał art. 35 ust. 1 pkt 2 ustawy o związkach zawodowych, który przewiduje karę grzywny lub ograniczenia wolności dla osoby, która utrudnia wykonywanie działalności związkowej prowadzonej zgodnie z przepisami ustawy.

Na koniec warto wspomnieć, że projekt nowego zapisu zawiera również zasady prowadzenia przez związek zawodowy polityki informacyjnej na terenie zakładu pracy, w tym wywieszania komunikatów związkowych i rozprowadzania wśród załogi materiałów związkowych.

Paweł Śmigiełski jest dyrektorem wydziału prawnego OPZZ

TUBNIĘCI

Edward Mikołajczyk

Bardzo urozmaicony był w tym roku czerwcowy repertuar strajków i protestów korzystających nie tylko z gościnności Warszawy. Niektóre mają szansę na miejsce w przyszłych podręcznikach szkolnych jako innowacyjne formy buntu i poszukiwania dolegliwych metod perswazji ulicznej.

Pierwszeństwo trzeba oddać internistom ze szpitala w Pruszkowie. Otóż wszyscy, jak jeden mąż, zwolnili się z pracy równo 1 czerwca. Z kolei pod Sejmem, to znaczy wśród płataniny żelastwa naniesionego tam przez policję, pierwszy raz usiadła samotnie uczennica klasy VII szkoły w Milanówku. Pierwszy raz górnicy, na gościnnych występach w Warszawie, zбочyli z rządowego szlaku węglowego i poszli na Nowogrodzką. Pierwszy raz rysowano mapę zapudleń – gdzie zabiera się prosto na komendę człowieka z hasłem: „Precz z polskim faszyzmem”, a gdzie na razie puszcza delikwenta wolno.

Mam tu za mało miejsca, żeby wymienić wszystkie czerwcowe premiery oryginalnego buntu. Tych kilka przykładów powinno wystarczyć, byśmy uwierzyli, że jesteśmy świetni, mężniejsi od Rosjan, jak ujawnił prezydent Duda prezydentowi Trumpowi, ale też bardziej pomysłowi niż np. Czesi, co wyszło dopiero teraz, kiedy tłumy w Pradze domagają się ustąpienia premiera i na jednym z transparentów można było przeczytać: „Dymisja albo defenestracja”. Czesi, niestety, powtarzają się w zapowiedziach wyrzucania przez okno.

Mnie najbardziej spodobał się weterynarze. Zapowiedzieli któregoś dnia, że o godz. 11 zablokują kilka ważnych dróg w kraju, ale wcześniej udali się jeszcze do ministra rolnictwa z ostatnią prośbą o jakieś pieniądze. Widać, wybrali sobie lepszy resort niż lekarze, bo wyszli zadowoleni. Odstąpili od pierwotnego zamiaru blokowania czegokolwiek i postanowili inaczej uwolnić nagromadzoną energię buntu. Mianowicie poszli rozdáwać ulotki z informacją o istocie inspekcji weterynaryjnej w Polsce i marnych perspektywach, jeśli nic się nie zmieni.

Obraz kraju i świata, jaki codziennie dociera do widzów i czytelników za pośrednictwem mediów, jest próbką najczęściej ze śmietnika.

Minister kupił sobie ich spokój na jakiś czas i tyle. Ciekawsze od szczegółów transakcji było to, co powiedzieli weterynarze inspektorzy po upakowaniu ulotek po kieszeniach, a przed wyruszeniem na ulice. Otóż stwierdzili, że ludzie za mało albo nawet nic o nich nie wiedzą.

Uczepiłem się tego zdania, bo jest ono czymś więcej niż rutynowe narzekanie prawie każdego środowiska zawodowego, że gazety nie piszą o jego problemach, media w ogóle się nim nie interesują. I tak w istocie wygląda straszna prawda o dzisiejszym przekazie medialnym. Obraz kraju i świata, jaki codziennie dociera do widzów

i czytelników za pośrednictwem mediów, nie składa się z informacji budujących wiedzę odbiorcy o bliskim otoczeniu i świecie. Nie jest jak kropla z oceanu, która zawiera wszystkie minerały. Jest próbką najczęściej ze śmietnika. Nie jest obrazem ani fotografią, ale podejrzanie estetycznie, psychodelicznym patchworkiem ulepionym z pozadziennikarskich farfocli.

Cyberprzestrzeń choruje na wzdęcia z nadmiaru informacji, a na ziemi poziom wiedzy obywatelskiej jest taki, jakby jeszcze nie wynaleziono gazety. Chodzi mi o tych kilka płacht zadrukowanego papieru, które w komunikacji międzyludzkiej zastąpiły przekaz ustny i druki



ulotne. Potem ten wynalazek długo i z dobrym skutkiem edukacyjnym codziennie kondensował świat każdemu czytelnikowi.

Kto się upomni o rzetelną informację o świecie w polskich mediach, tak jak weterynarze upomnieli się o siebie? Gdzie należałoby się położyć, aby zaprotestować przeciwko wiecowym pogawędkom prezydenta i premiera jako jedynym dostępnym ludowi źródłom

geopolitycznej i gminnej mądrości? Czy wiesz choćby, Drogi Czytelniku, że istnieje międzynarodowy projekt, w który za-

angażowane są rządy Holandii, Irlandii, Danii, Szwecji, Finlandii, Łotwy, Litwy i Estonii? Nazywa się Hanza 2, wiadomo więc, że chodzi o wiekową tradycję, ale też o zupełnie nowy horyzont współpracy międzynarodowej w miejscu, które nas powinno bardzo angażować. Nie ma informacji, nie ma pytań, dlaczego nas nie obchodzi Hanza 2.

Z powodu YouTube'a dzisiaj wszyscy jesteśmy trochę tubnięci. Nadawać może każdy, nadawców są miliony, ale żeby się dowiedzieć, po co jest inspekcja weterynaryjna, trzeba spotkać na ulicy weterynarza z ulotką. ■



Łódka sobie poradzi

Na środku oceanu
mogę spać spokojnie.
Ale przy brzegu robi
się niebezpiecznie

JOANNA PAJKOWSKA

– żeglarka, która jako pierwsza Polka samotnie opłynęła świat bez zawijania do portu

Rozmawia Barbara Jagas

Chodziła pani w dzieciństwie po drzewach?

– Tak, ale nie byłam jakąś chłopczyką. Po prostu ojciec zachęcał mnie do sportu i kiedy miałam cztery lata, zaprowadził na basen. Potem biegaliśmy razem po parku. A jak bolała mnie głowa, twierdził, że za mało jestem na powietrzu. Zawsze mówił, że ruch jest dobry na wszystko.

Z żeglarstwem zetknęła się pani na dobre dopiero na studiach.

– Wtedy traktowałam to raczej towarzysko, jak wszystko. Z przyjemnością jednak zajmowałam się konserwacją łódek, co było wymogiem, aby zakwalifikować się na jakiś rejs. I tak to się zaczęło.

Co pani daje żeglarstwo? Chodzi o poczucie wolności?

– Tak, ono na pewno jest ważne. Zwłaszcza że lubię pływać sama. Wszystko wtedy mogę robić po swojemu.

Skąd to zamiłowanie do samotności?

– To nie do końca tak jest, lubię również ludzi. Ale kocham wyzwania, dlatego wolę pływać samotnie.

Przepraszam, że wypomnę pani wiek, ale podziwiam panią za to, że mając 60 lat, kiedy inne kobiety popadają w stagnację, pani stawia przed sobą coraz trudniejsze zadania.

– No, nie poddaję się (śmiech).

Opłynęła pani Ziemię samotnie jako dziesiąta kobieta na świecie i pierwsza Polka. Gratuluję. Ale jak pani to zniosła fizycznie? Nie potrzebowała pani np. lekarza tam, na środku oceanu?

– Jestem silna. A po lekarzach staram się nie chodzić, bo oni zawsze coś znajdą w człowieku. Sami zresztą mówią, że nie ma ludzi zdrowych, są tylko niezdiagnozowani.

Znam to.

– Więc ja to postanowiłam ignorować i po prostu nie przejmować

się swoim zdrowiem. Co nie znaczy, że o siebie nie dbam, bo robię np. mammografię. Wie pani, ja generalnie dużo się ruszam i może dlatego jestem zdrowa. Bo kiedy człowiek ciągle siedzi, to w końcu trudno mu wstać i tu go zaczyna boleć, a tam strzykać.

Wiem, że podczas rejsu miała pani wypadek.

– Połamalam sobie zebra. To było w połowie drogi, na morzach południowych. Była duża fala i rzuciło mną tak gwałtownie, że uderzyłam o metalowy uchwyt. Aż mnie wtedy zatkało z bólu.

I co dalej?

– Wzięłam proszki przeciwbólowe, a po trzech-czterech tygodniach doszłam do normy. Gdybym złamała

216 dni i 16 godzin rejsu

Joanna Pajkowska wystartowała 23 września 2018 r. z Plymouth w Anglii. 28 kwietnia 2019 r., po 216 dniach i 16 godzinach żeglowania, pokonaniu 29 tys. mil morskich i opłynięciu trzech przylądków: Dobrej Nadziei, Leeuwin i Horn, wróciła do tego samego miejsca. Wcześniej zrobili to inni Polacy: Henryk Jaskuła, Tomasz Lewandowski i Szymon Kuczyński. Natomiast pierwszą w historii żeglarstwa kobietą, która samotnie opłynęła świat z zawijaniem do portów, była Krystyna Chojnowska-Liskiewicz.

nogę, musiałabym poprosić o pomoc, jakiś statek pewnie by mnie zabrał na pokład. Ale w tej sytuacji i tak nic nie można zrobić, trzeba czekać, aż kości same się zrosną.

Ale przecież wtedy nie można się wysilać. Trzeba zabandażować żebra, żeby je unieruchomić.

– Eee tam, bandaż się zsuwa. Jakoś to przetrwałam dzięki lekom.

Jakie niebezpieczeństwa czyhają na morzu na żeglarce? Oprócz sztormu.

– Można np. wylecieć za burtę.

Musi pani być przypięta.

– Tak, powinnam być przypięta. Ale nie jestem cały czas, bo nie lubię być na uwięzi. Robię to tylko wtedy, gdy uważam, że jest niebezpiecznie.

Raz chyba pani wyleciała.

– Tak, miałam takie zdarzenie kilkanaście lat temu, płynęłam wtedy w kobiecej załodze, nagle przyszła ogromna fala i mnie wyrzuciło. To było okropne uczucie, bo wiedziałam, że szanse na przeżycie w takiej sytuacji są niewielkie. Nawet nie krzyczałam, bo wiedziałam, że i tak mnie nie będzie słychać. Na szczęście dziewczyny szybko się zorientowały, że mnie nie ma, i zaczęły poszukiwania. Znalazły mnie i wyciągnęły, do dziś jestem im wdzięczna.

Łódź, na której pani opłynęła świat, ma swoją wagę. Ale czy jest na tyle stabilna, że nic jej nie przewróci, np. jakiś rekin?

– Rekin – nie, ale wieloryb może.

Zdarzają się takie przypadki?

– Tak, bywają zderzenia z wielorybem.

To niebezpieczne?

– Łódź nie zatonię, tak jest skonstruowana. Ale może mieć zachwiany balast albo coś się urwie i wtedy mamy kłopot. Natomiast przy samotnym żeglowaniu najgorsze jest, gdy się wyleci za burtę... Bo nie ma nikogo, kto by nas mógł uratować.

Słyszałam, że sama finansowała pani całą podróż.

– Tak, płynęłam na łódce pożyczonej od kolegi, niemieckiego żeglarza Uwe Röttgeringa. Musiałam też sama kupić wszystko do zabrania ze sobą.

A co pani ze sobą wzięła? Podobno miała pani na pokładzie 550 litrów wody. Nie łatwiej by było ją odsalać?

– Można, są do tego urządzenia, ale gdyby ta odsalarka w drodze mi się popsukała?

Miała pani prysznic?

– Nie, nie miałam też ciepłej wody, kąpałam się w morskiej, polewając wiadrzem.

Jedzenie?

– Przede wszystkim trzeba wytrzymać bez lodówki.

Dlaczego?

– Bo lodówka zabiera prąd.

Lubię ludzi. Ale kocham wyzwania, dlatego wolę pływać samotnie.

Same utrudnienia.

– Nie, trzeba tylko umieć się przestawić na inne warunki. Jeśli chodzi o żywność, to wzięłam liofilizowaną, taką, którą alpiniści biorą w góry. Jest leciutka, zalewa się ją gorącą wodą, aby spęczniała i nadawała się do jedzenia. Niestety, jest droga, porcja kosztuje ponad 30 zł. Dlatego zabrałam też konserwy, a także gotowe zupy – takie do podgrzania. Nie miałam chleba, jadłam krakersy.

A owoce?

– Wszystkie zjadłam w ciągu dwóch tygodni.

A nie miała pani nagle okropnej ochoty na coś dobrego, choćby soczyste jabłko?

– Może bym i miała, ale starałam się odganiać takie myśli. No bo co bym z tego przyszło? Po prostu mam to, co mam, realizuję swój plan i jest fantastycznie. Wiatr wieje, łódka płynie, niczego mi nie brakuje.

A co jest najprzyjemniejsze podczas takiego rejsu?

– Dla mnie – kontakt z naturą, żywiołem.

Przeczytałam 75 książek. A miałam do wyboru 350 – tyle mi dali znajomi.

Czy wpada pani w jakiś rodzaj transu, medytacji?

– Nie, nie jestem z tych, co medytują. Nigdy tego nie robiłam sama z siebie. Ale podobno doświadczam czegoś w tym rodzaju.

Jakie zwierzęta spotyka pani po drodze?

– Nie jest tego dużo. Ale są delfiny, które potrafią towarzyszyć mi godzinami. Bardzo lubię na nie patrzeć, zwłaszcza gdy wyskakują sobie do góry, robiąc w powietrzu obroty. Albo krzyżują swoje drogi przed dziobem łódki – dwójkami, trójkami. Czasami mijam jakiegoś żółwia.

A ptaki? Jakie są tam ptaki?

– Zauważyłam, że robią coś bardzo sprytnego, szczególnie w rejonach, gdzie są latające ryby. Mianowicie trzymają się blisko łódki, przed dziobem, i gdy płynę, to płoszą te latające ryby – wyskakują z fal, a wtedy ptaki natychmiast je łapią. Takie są przebiegłe. Lubiłam obserwować to zjawisko w rejonach tropikalnych, gdzie jest ciepła woda i tam są właśnie latające ryby. Widziałam, jak ptaki tylko czekały, aż wypłoszą ryby, aby na nie zapolować.

Sama łowi pani ryby?

– Nie, ale lubię ryby na talerzu. Po prostu nie zabiję stworzenia.

Taka wyprawa chyba wymaga siły.

– Fizycznej? Moim zdaniem nie aż tak.

Wszystko teraz jest zautomatyzowane?

– Nie, nie o to chodzi, ja nawet nie mam zautomatyzowanego. Jest tylko autopilot, który prowadzi łódkę, często go uruchamiam, nie mogę sama cały czas sterować.

Bo czasem trzeba odpocząć, wyspać się.

– Tak, albo coś zjeść, ubrać się.

Czy na łódce może pani spać osiem godzin?

– Nawet na lądzie tyle nie śpię, jedynie sześć. Na jachcie śpiam kawałkami – godzinę czy 45 minut – i sprawdzam, czy wszystko jest OK, czy nikt na mnie nie płynie. Jeśli wszystko jest w porządku, śpię dalej.

Nie ma czujników, które takie rzeczy wychwytyują?

– Niby są, ale urządzenie zawsze może zawieść, i to np. w momencie, gdy zbliża się jakiś duży statek. A jest on dla mnie zagrożeniem. Nie mam wtedy szans, może mnie rozjechać i nawet tego nie zauważy.

A to się zdarza?

– Niestety tak. Dlatego w moim interesie jest bycie czujną. Ale organizm sam się przestawia na takie funkcjonowanie. Nie miałam w czasie rejsu budzika.

Chciałabym zapytać o najtrudniejszy moment podczas tego rejsu.

– To był sztorm, który spotkał mnie przed przylądkiem Horn, było wtedy rzeczywiście dramatycznie. Wysokie, około dziesięciometrowe, strome fale, jedna uderzyła mocno

► z boku w kadłub, otworzyła się szafka i wyleciały naczynia, niestety, wszystkie się potłukły, a także opakowanie sosu pomidorowego i krakersów. To i inne drobiazgi, razem z pięciolitrową butlą z wodą do picia, turlało się po podłodze, robiąc straszny bałagan. W dodatku przestał działać autopilot i przez następne 16 godzin sterowałam ręcznie, bez picia i jedzenia, zalewana regularnie przez fale. Walczyłam z żywiołem i jednocześnie myślałam, jak tu zamocować awaryjny system sterowania – samoster wiatrowy, bo łódki nie da się tak po prostu zatrzymać, trzeba wszystkie prace wykonać

Przy samotnym żeglowaniu najgorsze jest to, gdy wyleci się za burtę. Bo nie ma nikogo, kto mógłby nas uratować.

w biegu, ale też nie można zostawić jachtu bez kontroli. Ale w końcu morze trochę się uspokoiło i mogłam to nareszcie zrobić.

Podobno straciła pani nawet orientację, gdzie jest.

– Tak, nie znałam swojej dokładnej pozycji, bo zajęłam się walką ze sztormem, podczas gdy łódka gdzieś płynęła, a nie mogłam zejść na dół, czekać na uruchomienie się komputera i programu nawigacyjnego. Dopiero potem to zrobiłam, gdy fale zmały. W efekcie ominęłam Horn dużo większym łukiem, z zapasem, ale tak było bezpieczniej. Sama czasem się zastanawiam, jak ja sobie dałam wtedy radę!

Jest pani po prostu dzielną kobietą... A co z czasem wolnym, którego żeglarz też ma trochę.

– No właśnie, bo nie zawsze walczę z tymi sztormami. Chociaż staram się, aby łódka płynęła optymalnie szybko, bo lubię tę aktywną część żegluga, sprawia mi przyjemność.

Wtedy włącza pani autopilota?

– Tak, ale sama zmieniam żagle, ustawiam je do wiatru. I jak wszystko jest dobrze, to łódka płynie aż do następnej zmiany wiatru. Tego wolnego czasu trochę więc jest.

Ile?

– Po parę godzin dziennie. Czasem robi się nerwowo, kiedy morze jest wzburzone, ale wtedy staram się czymś zająć, aby nie patrzeć na te wielkie fale. Bo po co? Skoro nie mam na nie wpływu... A wierzę, że łódka sobie poradzi.

I co pani wtedy robi?

– Biorę sobie jakieś sudoku albo czytam książki. Przeczytałam ostatnio 75. A miałam do wyboru 350 – tyle mi dali znajomi. Przeważnie kryminały i literatura kobieca. Nie czytam trudnych książek, muszę mieć relaks. Dlatego opisy zbrodni omijam.

Miała pani codziennie kontakt mejlowy z mężem, który też jest żeglarzem.

– Bo mu obiecałam, nie była to moja inicjatywa. To był warunek, że mnie puszcza samą. Poza tym on mnie rozumie, te moje potrzeby. Chociaż sam pływa inaczej – bardziej dla towarzystwa.

Co panią jeszcze ciągnie, barwy morza?

– Morze przeważnie jest niebieskie lub szare. To samo z niebem. A jak jest deszczowo – ponure. Krajobraz jest więc mało urozmaicony.

Nie przeszkadza pani ta monotonia?

– Nie myślę o tym. Ale pamiętam, jak po powrocie płynęłam przez Kanał Kiloński i byłam zaszokowana zielenią. Bo płynęłam w maju, kiedy wszystko kwitło, były więc też niesamowite zapachy. Bardzo mnie to wszystko zachwycało. Zwłaszcza te lądowe zapachy, łącznie z gnojówką, którą wtedy rozwozili na polach.

Prześledźmy pani trasę. Czy rzeczywiście prawie nie widziała pani lądu?

– Wystartowałam z Plymouth w Anglii, to na końcu kanału La Manche, tam jest prawie wyjście na Atlantyk. Potem płynęłam na południe, po drodze widziałam tylko Wyspy Kanaryjskie, a potem Wyspy Zielonego Przylądka. I długo, długo nic.

A południa Afryki pani nie widziała?

– Starałam się tam trzymać daleko od lądu, bo przy brzegu są silne prądy i wiatry.

Optynęła pani Afrykę i...

– ...skierowałam się na wschód. Płynęłam pod Australią, ale też jej nie widziałam. Następnie byłam pod Nową Zelandią, dalej była wyspa, którą mogłabym zobaczyć, jednak akurat nie była widoczna. Potem był znowu południowy Pacyfik, gdzie nic nie widziałam, bo tam nic nie ma. Następnie przylądek Horn, ale wtedy też mocno szłam na południe, więc nie zobaczyłam żadnego lądu. Ale gdy już zakręciłam na Atlantyku i zaczęłam płynąć na północ, to na końcu Ameryki Południowej, gdzie jest dużo wysp, widziałam dość wyraźnie wyspę Los Estados obok Tierra del Fuego... Potem zobaczyłam Falklandy, bo płynęłam blisko, a następnie kawałek Wysp Azorskich.

Człowiek się cieszy na widok kawałka lądu?

– No niekoniecznie.

Dlaczego?

– To dodatkowe zagrożenie. Na środku oceanu mogę spać spokojnie, nawet jak autopilot lub samoster odmówi współpracy albo się popsuje – najwyżej popłynę w złym kierunku. A jak jestem bliżej brzegu, robi się niebezpiecznie, muszę być czujna, mogą być gorsze fale, które w dodatku odbijają się od brzegu.

Może spotkała pani piratów? Chodzi mi bardziej o to, czy pani się ich nie bała.

– Nie płynęłam w takie rejony, gdzie grasują piraci. Zresztą jachty ich nie interesują. Bo co mieliby z nimi zrobić? Przecież ich nie sprzedadzą. Taki pirat nawet się nie zna na jachtach. Tylko tzw. biały człowiek ma dla nich wartość.

To była pani druga podróż dookoła świata. Czym one się różniły?

25 lutego 2019 r.

Liżę rany po ostatnim sztormie, trochę mnie wymęczyło. Fala była taka zajadła, z taką siłą waliła w nas, nawet wyrzuciło mnie z kokpitu (na szelkach). Wtedy uderzyłam w coś twarzą, zanim wrócę, nie będzie śladu.

Wewnątrz też niezły bałagan, tym razem diesel na podłodze z wężyka do dawnego piecyka. Zatkaliśmy teraz wężyk otówkiem i zakleiliśmy taśmą. Dużo sprzątanina, ślisko i zapach pozostał. (...)

Jesteśmy już na północ od 40S! Może będzie trochę łatwiej. Ciepłej, temperatura wody 20 st.



Joanna Pajkowska urodziła się 13 lipca 1958 r. w Warszawie. Jest żeglarką, kapitanem jachtowym i ratownikiem morskim, przepłynęła w sumie 250 tys. mil morskich. Żeglarstwem zainteresowała się podczas studiów na SGPiS (dzisiejsza SGH), to wtedy wybrała się na pierwszy rejs. Pływała samotnie i zespołowo, biorąc udział m.in. w regatach transatlantycznych. Przez kilka lat w Anglii pracowała jako członek załogi statku ratownictwa morskiego. Razem z niemieckim żeglarzem Uwe Röttgeringiem wygrała w 2017 r. słynne transatlantyczne regaty dwuosobowe TwoStar. Po raz pierwszy opłynęła samotnie świat w latach 2008-2009, trasą z Panamy do Panamy, zajęło jej to 198 dni. Miał to być rejs bez zawijania do portów, ale silny sztorm koło Przylądka Dobrej Nadziei zmusił ją do schronienia się w porcie w RPA. Po dziesięciu latach wybrała trudniejszą trasę dookoła Ziemi, podczas której płynęła non stop, bez zawijania do portu.

Mieszka na wsi koło Leszna razem z mężem Aleksandrem Nebelskim, również żeglarzem.

– Teraz płynęłam inną trasą. Tu było dużo zimniej niż podczas pierwszej podróży, przez rejony pasatów. Wtedy najchłodniej było w okolicach południa Afryki.

Jak wyglądała tamta podróż?

– Zaczynała się od Kanału Panamskiego, którego nie da się przepłynąć samotnie, bo zgodnie z przepisami trzeba wpuścić na pokład pilota i cztery osoby, chociaż później już żegluje się samemu – od Panamy na zachód, a potem jest powrót do Panamy od strony Atlantyku. W sumie daje to obrót 360 st. Niestety, silny sztorm koło Przylądka Dobrej Nadziei zmusił mnie do szukania schronienia w Port Elizabeth, dlatego nie żeglowałam non stop.

Jako osoba ambitna postanowiła pani udowodnić, że jednak potrafi opłynąć Ziemię bez zawijania do portów.

– Teraz popłynęłam trasą dookoła świata z opłynięciem trzech przylądków – Dobrej Nadziei, Leeuwin na południu Australii i Horn – która jest uznawana jako opłynięcie kuli ziemskiej. I rzeczywiście, nie zatrzymywałam się na lądzie.

Tak na panią patrzę i nie widzę przed sobą jakiejs atletki, jest pani normalną kobietą, nawet szczupłą.

– Bo to prawda. Dlatego nie ma przeszkód, aby inne kobiety pływały tak jak ja.

Czy wzorowała się pani na innych żeglarkach? Na przykład na Krystynie Chojnowskiej-Liskiewicz?

– Nie do końca. Ona płynęła 40 lat temu, od tego czasu zmieniły się warunki i zasady pływania. Ale miałam ze sobą książkę innej żeglarki – Naomi James, Nowozelandki, która także 40 lat temu opłynęła samotnie Ziemię, na tej samej trasie, jednak

zawijała do portów. To była zabawna lektura. Naomi pisze, że wzięła ze sobą kota, który miał ją ostrzegać przed zbliżającym się statkiem. Zabrała ze sobą też inne rzeczy – worki ziemniaków, cebuli, marchewki, straszne ilości jajek i całe skrzynki cherry i innych likierów.

Pani jest antyalkoholowa.

– Miałam tylko cztery butelki różnych nalewek, które dostałam w prezencie od znajomych, i czasami wlewałam sobie taki naparstek do kawy. Uważam, że na morzu nie powinno się pić. To niemądre.

Nie chciała pani wziąć sobie do towarzystwa jakiegoś zwierzątko?

– No, ludzie biorą. Ale czy taki pies lub kot chciałby siedzieć w łódce?

Ciekawi mnie, jak pani znosiła ograniczenie przestrzeni.

– Moja łódka miała 12 m długości, to niewiele, ale jakoś przetrwałam. Czasem spacerowałam sobie, chociaż to nie takie proste, bo tam poważnie trzęsie i rzuca na wszystkie strony. Ale powiedziałam sobie, że teraz jest przerwa w bieganiu. Teraz żegluję, a to też bardzo lubię.

A czy podczas podróży, przy spokojnym morzu, popływała sobie pani trochę przy łódce?

– Wchodziłam do wody, ale z innego powodu – aby oczyścić łódkę z kaczenic. To takie skorupiaki, które ją spowalniają. Mimo że była pomalowana specjalną farbą, jednak się przyczepiły. Wchodziłam do wody przy Brazylii, gdy morze było spokojne, a jego temperatura wynosiła 30 st.

Przywiązywała się pani?

– Tak, przywiązywałam się linką, a oprócz tego zrzuciłam żagle. Aby łódka nie odplynęła, nie nabrała prędkości, bo już bym jej nie dogoniła.

Nie bała się pani rekinów?

– Są pewnym niebezpieczeństwem. Ale żadnego nie widziałam. Dopiero jak się skałczyłam, wróciłam na pokład – po piankę.

Gdyby zaczęła pani pisać książkę o swojej podróży, bo wiem, że ma pani taki zamiar, jak brzmiałoby pierwsze zdanie?

– Pierwszy pomysł miałam taki: „Opłynąć świat każdy może, pod warunkiem że chce”. Ale mój mąż, Alek, odpowiedział na to: „No bez sensu, nie każdy może. Popatrz, że nie każdy”. Muszę więc wymyślić coś innego.

Barbara Jagas

Wszyscy jesteśmy ofiarami

Młodych rekrutów FARC dość szybko osławiano z przemocą. Już w pierwszych miesiącach mieli szansę zobaczyć egzekucję na porwanych

Maciej Wesołowski

Caquetá to był świat poza światem. Poza czasem. Poza cywilizacją. Prąd nie dochodził, dróg nie było. Nie było szpitali, gazet ani książek. Państwo kolumbijskie istniało tu jedynie w teorii. W zawieszeniu. Bez sensu i oparcia.

Wies nazywała się Remolino Alto Monte Ortegua. Nie na wszystkich mapach można ją znaleźć. Zagubiona gdzieś w Kordylierze Środkowej, przy granicy z departamentem Huila. Pamiętała o niej jedynie *guerrilla*. To *guerrilla* stanowiła tu władzę absolutną. Jedyną. Przychodzili, odchodzili, ale zawsze czuć było ich oddech.

Biologicznego ojca Martha Trujillo nie poznała. Był komendantem FARC, miał dzieci z jeszcze sześcioma innymi kobietami. Zapadł – zniknął, zapadł – zniknął.

– To rewolucjonista, tłumaczyła później matka, rewolucjoniści nie mają czasu na wychowywanie dzieci. Był też człowiekiem niezdolnym do miłości, niezdolnym do wyrażania uczuć, skazanym na samotność, kimś, kto nie dostaje drugiej szansy na tej ziemi. Ruszył na wojnę, w las. Aresztowali go jeszcze przed jej urodzeniem. Być może to prawda, być może nie, ale został rozstrzelany.

Matka miała 15 lat, gdy ją urodziła. A potem rodziła jeszcze sześć razy, niemal rok w rok. (...)

Ojczym był rolnikiem z okolicy, biedakiem, pijakiem i *militante*, współpracował z ludźmi lasu: z EPL, potem M-19, a w końcu z FARC.

Ojczym nadał jej nowe imię – Yineth, o starym szybko zapomniawszy. Ojczym był szorstki, ale gdy nie pił, był czuły. (...)

Ojczym zgwałcił Yineth, gdy miała cztery lata. Bolało wszystko, czuła, że płynie z niej krew, ale nie zamierzała się skarżyć. Od tego czasu Yineth miała problemy ze snem i z biodrami. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędzała na rysowaniu. (...)

Jeden z nauczycieli zapytał kiedyś dziewczynki z jej klasy o relacje z ojcami. Mówiły, co robią razem, w czym są do ojców podobne, za co ich lubią. Mówiły wreszcie, każda po kolei, że ojcowie dotykają je w miejscach intymnych. I tylko jedna z nich zaczęła głośno szlochać.

– Co się stało – zapytał nauczyciel.

– Mój ojciec mnie nie kocha.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo on mnie nigdy nie dotykał. Najwidoczniej się mnie brzydzi.

Matka Yineth nie wszystko była w stanie znieść. Miała 23 lata, siódmą dzieckiem i ostrą nerwicę, gdy odeszła z domu. Yineth spojrzała na nią chłodno, bez emocji, po czym wróciła do rysowania. Miała osiem lat, nie wiedziała jeszcze, że ponownie zobaczy ją za kolejne cztery. Dopiero wiele lat później, gdzieś w innym świecie, z innymi ludźmi, Yineth pomyśli, że wtedy skończyło się dzieciństwo. (...) Ale cóż było robić? Żyło się. Bo co można innego, prawda?

Zatrudniła się na plantacji kawy. Była teraz najstarszą kobietą w rodzinie. Zbierała kawowe ziarenka, potem jeszcze te cholernie kwaśne owoce lulo. (...) Wstawiała przed świtem, karmiła dzieciaki, ubierała, czesała po kolei starym drewnianym grzebieniem – wrzeszczały przy tym wszystkie tak, że słychać było pewnie gdzieś hen, w Putumayo, a może i w Amazonas. Najpierw szli razem. Starsze prowadziła do szkoły, młodsze – pod opiekę żony jednego ze szkolnych nauczycieli. A potem zostawało już tylko dojść na farmę, dwie godziny solidnego marszu. Kiedy śpiewała pod nosem, zawsze szybciej zlatywało.

Nauczyła się pracować na głodniaka. Bo jak się dużo wody pije, głód odchodzi, głód znika, o głodzie przestaje się pamiętać. W domu, kiedy mieszała już w tych garach, pomyślała sobie, że w zasadzie to stała się dla nich nową matką, dla tych dzieciaków, dla sióstr i braci. I była bardzo dumna. Bardzo.

Pracowała też przy sianokosach, przez wiele godzin, za grosze. Zrozumiała wtedy, że świat należy do mężczyzn. Że to oni ustalają zasady i to oni biorą ze świata to, co najlepsze. Okazało się, że jej – jako dziewczynie – płacili połowę stawki chłopców. Ten świat poza światem znów ją zawiodł, ten świat należałoby zmienić. (...)

Ojczym czasem był, czasem zniknął, niczym zapasy fasoli i ryżu w domowej spiżarni. Raz zniknął na dwa tygodnie, raz na trzy. Wraczał skacowany i wściekły. Wtedy lepiej było do niego nie podchodzić. Jak miał zły dzień – wiązał, kopał, wyzywał, czasem przypalał zapalniczką. Jak mu się ktoś za bardzo w życie wtrącał, wyciągał maczetę.

Yineth uciekała w marzenia. O tym, że życie jednak może być lepsze. Że w przyszłości znajdzie człowieka, w którym się zakocha, wezmą bajkowy ślub. Będzie biała suknia z welonem, drużyna i sypanie kwiatów. Gdy padało, spoglądała na perełki deszczu na migdałowcach i czuła się zagubiona w samotności. (...)

Miesiąc po powrocie matki FARC zapukał do ich drzwi, tak jak i do innych domów we wsi. Była noc, smolistą, nieprzeniknioną. (...) Tłumaczyli bez pośpiechu. Czy wiedzą, jak brzmi pełna nazwa organizacji? Czy wiedzą, co to znaczy? Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – Ejército del Pueblo – sylabizowali. Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii – Armia Ludu, prawda? Czy wiedzą, że są tu, w lasach, po to, by ich bronić i chronić? Ich, czyli *campesinos*. Rolników. Przed ciemniznami, przed wrogami ludu, przed oligarchami. Że walczą o prostych, biednych ludzi. O ich prawa. O sprawiedliwość społeczną. Chcą, żeby wreszcie zaczęli żyć jak ludzie, nie jak zwierzęta. Czy wiedzą? No właśnie. Ale Armia Ludu nie może działać bez ludowego wsparcia. Może być krowa, kura, zboże, pieniądze. Może być broń albo buty. A gdy



Obóz FARC w regionie Magdalena Medio, 2016 r.

w chałupie nie ma niczego? Może być najstarsze z dzieci.

Ze wsi poszli we trójkę. Chłopak i dwie dziewczyny. Najstarsze z nich miało 15 lat, Yineth była najmłodsza. W sumie tego dnia FARC złowił 43 dzieci. Szli jak zjawy przez selwę, jedno za drugim, tylko na początku rozglądając się na boki. Potem widoki spowszedniały, a monotonia marszu zabija ciekawość. Szli, nie myśląc. Szli, nie oglądając się za siebie. (...)

Dostała partyzancki pseudonim – jeden z komendantów ochrzcił ją Leydi. Od tej chwili tak się do niej zwracali wszyscy przełożeni. Szybko nauczyła się, że słowo komendanta jest świętością. Że jego rozkazy są wykonywane, zanim zdąży je wydać, nawet zanim je wymyśli, i zawsze sięgają o wiele dalej, niż on sam chciałby im sięgnąć. (...)

Kolejne pół roku to już było ciężkie, poligonowe szkolenie. Survival. Trening militarny, walka wręcz, posługiwanie się bronią. Najpierw – przez dwa miesiące – lekką bronią z drewna, gdzie strzelanie było jedynie symulacją, potem już tą na ostrą amunicję. Dostała do ręki M16 – amerykański karabin. 30 naboju, ryglowanie w lewo, można strzelać pojedynczo i seriami po trzy. Spodobał jej się. Tak samo jak szkolenie z ładunków wybuchowych. Jak skonstruować bombę, jak i gdzie ją podłożyć, jak samemu przy tym nie ucierpieć? Albo: co to znaczy być zwiadowcą i co to znaczy być szpie-

giem? Co to znaczy praca wywiadowcza na tyłach wroga?

Młodych rekrutów dość szybko oswajano z przemocą. Już w pierwszych miesiącach mieli szansę zobaczyć egzekucję na porwanych. Ci, zanim dostali kulę w potylicę, najpierw musieli wykopać sobie groby. I to jest taki obraz, który się pamięta po wielu, wielu latach, czyż nie? To jest takie coś, co świdruje w młodej głowie, coś, co rozsadza mózg od środka, co w nocy spać nie daje, a w ciągu dnia – na niczym nie pozwala się skupić. To jest takie coś, z czym trzeba nauczyć się żyć. Bo coś można zrobić, prawda? Żyje się. Taki już los zarażonych samotnością.

Zarażonych bezsennością i zapomnieniem.

A potem Yineth-Yira miała zostać pielęgniarką. Na kursie uczyła się robić opatrunki, ale też – jak usunąć ciążę. Dzięki temu Yineth kiedyś uratuje parę nóg i dłoni, parę ludzkich istnień. Dzięki temu dowie się, czym jest obozowa dyscyplina i jaka jest kara za niesubordynację. Aborcja była ważna, bo dziewczyny w obozie miały być żołnierzami, nie matkami. Bez zgody komendanta nikt rodzić nie miał prawa. Zdarzały się więc partyzantki po sześciu czy siedmiu skrobaniach, zdarzały się i takie, które zapominały, że są kobietami. Yineth zapamięta taką, która mimo to ukryła i donosiła ciążę. Komendanci w ostatnich tygodniach się domyślili. Spoglądali spode łba, ale byli łaskawi.

Poczekali, aż urodzi. Potem pozwolili dziecku wykrwawić się pod drzewem. Matka dostała siedem kul w głowę.

Yineth patrzyła na to bez słowa. Nie zrobiła nic. Bo cóż można zrobić, prawda? Żyło się. Wiedziała już, że nawet moralność jest tylko kwestią czasu.

Tego dnia armia zaatakowała wcześniej rano. Yineth była akurat tuż za obozem. Szybko zrozumiała, co się dzieje, starała się uciec z linii ognia. Zaczęła biec, dwóch żołnierzy ruszyło za nią. Strzelali, strzelali, strzelali. Ale biegła zygzakiem, nie było łatwo ją trafić. Potem usłyszała wybuch i poczuła coś dziwnego. (...)

Ocknęła się trzy dni później na swoim postaniu – calecie. Obudziła się długo przed świtem i nie otwierając oczu, myślała o tej nieskończonych liczbie lat, które jeszcze musi przeżyć. O tym świecie, który okazał się trudniejszy, niż mogłaby się spodziewać. Poczula, że brakuje jej tchu i nie jest w stanie ruszać nogami. Później towarzysze opowiedzieli jej o tamtym dniu. Mówili, że wybuch wyrzucił ją wysoko w powietrze. Że straciła dużo krwi. Że już się z nią zegnali. Że nie wierzyli... Że dostała drugie życie. Ale to życie nie wyglądało tak, jak mogłaby sobie wymarzyć. Frustracja rosta.

Na długie tygodnie zaległa w calecie. Kurowała się, leczyła rany, nie ruszała się, ale powoli odzyskiwała czucie w nogach. Na nowo uczyła się chodzić. To były te momenty, kiedy znów czuła się jak dziecko z Caquetá, z ziemi, która nie istnieje. Jak niemowlak, który uczy się raczkować, a potem – chodzić. Wszędzie musiała się doczołgać. Do mesy, do latryny, do magazynu z rzeczami. Do swojego nowego życia.

Czuła wszechogarniający smutek i samotność. Którejś nocy złapała za pistolet i wycelowwała w siebie. Nie wyszło. Broń wypadła jej z ręki, nie była już w stanie po nią sięgnąć kolejny raz. Niedługo potem zdecydowała się na poprawkę. Wtedy jednak zauważył ją jeden z komendantów. W ostatniej chwili wytrącił pistolet z ręki. Był zirytowany:

– Jesteś żołnierzką. Musisz sobie z tym radzić. Jeśli jeszcze raz będziesz próbowała to zrobić, sam ci pomogę. A teraz daj sobie jeszcze jedną szansę – idź na śniadanie!

► Umrzeć jest o wiele trudniej, niż człowiek jest w stanie to sobie wyobrazić – przeszło jej przez głowę. O wiele trudniej. Było to cztery lata po tym dniu, w którym po nią przyszli do Remolino.

Cztery długie lata tej leśnej dorosłości.

Po kolejnych trzech miesiącach stanęła w końcu na własnych nogach. Dosłownie i w przenośni. Wstała i poszła. Były nowe zadania, nowe wyzwania. Adrenalina. Zapomniała o depresji, o próbach samobójczych.

Po kolejnym roku usłyszała rozkaz: – Pójdziecie do rolnika na farmę, po panelę.

Było późne popołudnie, one dwie. Kiedy wracały, tamta zapytała:

– Czy ty się tu nie nudzisz? Czy nie masz dość? Bo ja bardzo.

Początkowo myślała, że to pułapka, że dziewczyna jest podstawiona, żeby ją sprawdzić. W końcu dała się przekonać. Teraz albo nigdy. Uciekły jeszcze tej samej nocy. Bez planu, spontanicznie.

Po trzech dniach marszu i dwóch nocach na leśnej ściółce dotarły do

Armenii, sporego miasta w Eje Cafetero – kolumbijskiej „Osi kawowej”, gdzie produkuje się znakomitą arabicę. Na dworcu autobusowym Yineth czuła, że wszyscy na nie patrzą. Miały na sobie panterki FARC, więc były jak trędowate. Ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Chciała zadzwonić do ciotki; jej numer latami trzymała ukryty w bieliźnie. Wiedziała, że to jedyna osoba, która może jej pomóc, gdy zechce uciec. I ten moment wreszcie nadszedł. Podeszła do automatu telefonicznego i poczuła ogromną bezradność. Po ośmiu latach w Caquetá i pięciu latach w selwie nie wiedziała, jak obsłużyć tę maszynę. Co zrobić, by zaczęła działać? Wtedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

– Mogę pomóc? – za nią stał młody żołnierz kolumbijskiej armii. – Może potrzebujesz monety?

Wyciągnął drobne, wybrał numer. Podał słuchawkę. Ale po drugiej stronie usłyszała tylko przeciągłe pikanie, wreszcie ciszę. Nikogo tam nie było. Żołnierz kupił jej bilet do Neivy w departamencie Huila, gdzie chciała odnaleźć krewnych, dał 20 tys. pesos na drogę – w sumie parę groszy, ale na początek wystarczyło. Uśmiechnął się, pomachał na pożegnanie. Pięć lat po tej nocy, gdy rekruterzy guerrilli zawitali do jej domu, usłyszała od nieznanego, dobrego człowieka:

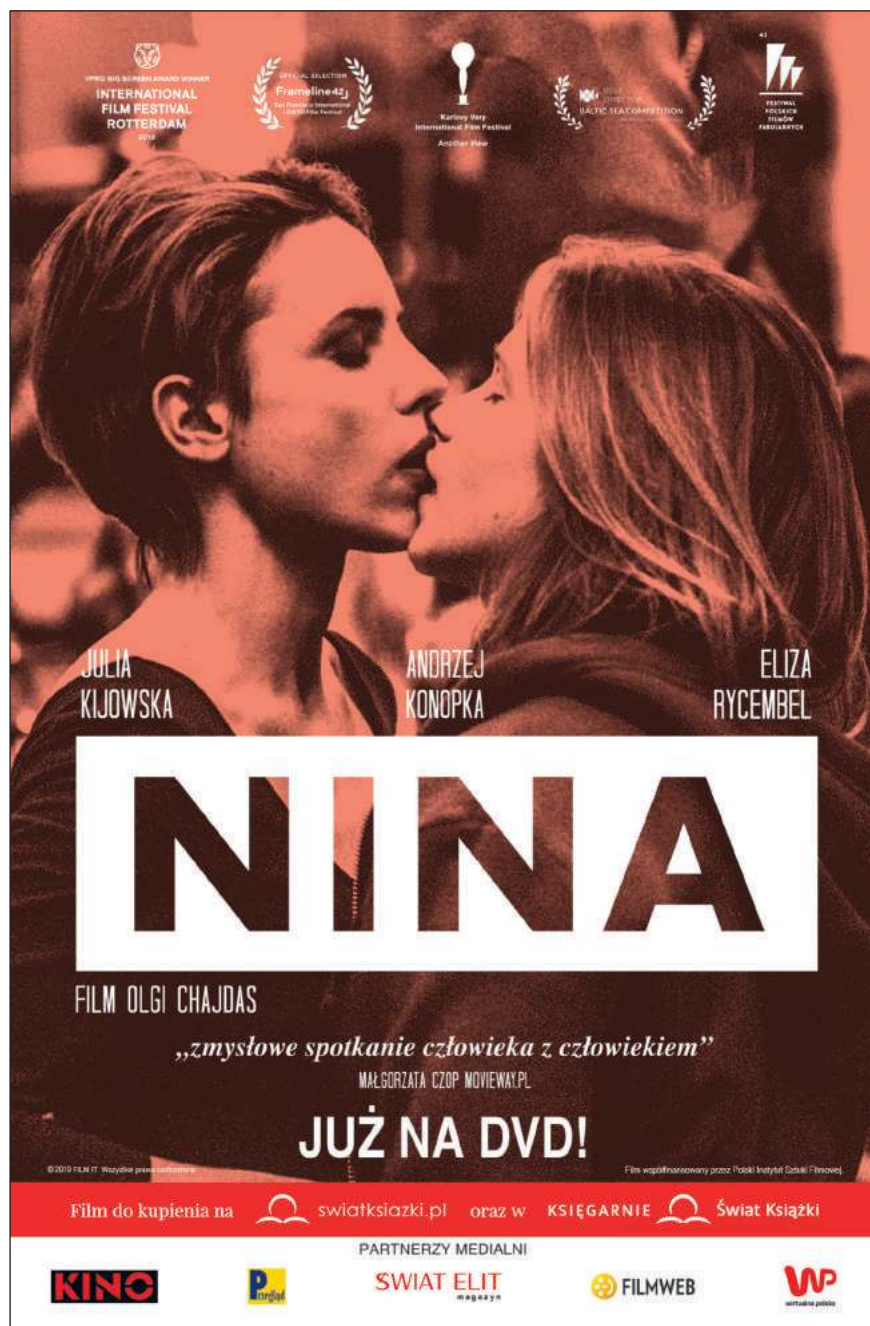
– Witaj na wolności.

W Huila dowiedziała się o porwaniu matki, śmierci braci i siostr. Sygnał był czytelny: FARC nie wybacza dezertantom. Siedziała w parku na ławce i ryczała. Ktoś wezwał policję. Zaopiekowali się nią, zawieźli do szpitala. Dali ubranie. Jako ex-guerrillera trafiła na przesłuchanie do SIJIN – policyjnej komórki wywiadowczej. Miała 17 lat, była zbyt młoda, żeby od razu trafić do więzienia, najpierw byłby więc zakład poprawczy, ale potem groziło jej nawet 45 lat za kratami. Pomógł jej jeden z prokuratorów.

– Nie jesteś gotowa na więzienie – mówił. – Ty również jesteś ofiarą tej wojny, jak i my wszyscy w Kolumbii.

Przyjechała do Bogoty. Próbowwała gdzieś się zaczepić, ale gdy opowiadała o swojej przeszłości w FARC, znów czuła się jak trędowata. (...)

Miała 1,5 tys. pesos (2 zł) w kieszeni, gdy zobaczyła ogłoszenie: „Panie o atrakcyjnej prezencji – poszukiwane



do baru Midas. Do pracy w strin-gach, przy barze i na scenie". Nie od razu się zdecydowała. Trzy nieprzespane noce ją to kosztowało, trzy dni prawie bez jedzenia. W końcu zgłosiła się.

Umiiała życie przychodzącym do klubu mężczyznom, tańcząc przed nimi w skąpym stroju, roznosząc drinki, czasem – rozmawiając. Nie zgadzała się na nic więcej. Nie takie miało być to jej nowe życie. Dla tych ludzi była Tanią. Dostała kolejne imię, kolejne życie.

Mężczyźni byli, owszem, ale poza klubem. Tej żelaznej zasady się trzymała. Przychodzili, odchodzili, przychodzili... Czasem trudno było zapamiętać ich twarze, ich imiona. Zostały po nich dwie cudowne istoty. Druga zasada brzmiała – żadnego alkoholu. Bez tego prawdopodobnie by przepadła.

Przez 10 lat procesu reintegracyjnego po nocach studiowała psychologię i kończyła kurs rachunkowości – dzięki temu z czasem została asystentką księgową w firmie doradztwa finansowego. Pracowała też dla ACR (Agencia Colombiana para la Reintegración) – Kolumbijskiej Agencji do spraw Reintegracji. Promowała program, organizowała szkolenia i konferencje na temat demobilizacji i pojednania, pomagała w znalezieniu pracy innym byłym partyzantom.

Regisa Ortiza po raz pierwszy zobaczyła w bogotańskiej siedzibie ACR. A może to on ją wypatrzył? Mówił o sobie, o swoim rozstaniu z żoną w Baranquill, o tym, że ma dziecko, ale jego rodzina w zasadzie się rozpadła. Ale starał się to wszystko obracać w żart. Śmiał się, gestykulował. Przypadkiem złapał ją za rękę. Dreszcz jej przeszedł po plecach. 14 lat po tym, gdy partyzanci przyszli po nią do rodzinnego domu, poczuła, że znów jest kobietą, nie partyzantką, ale kobietą. Znów poczuła, że dzieje się z nią coś nienormalnego. Że być może wciąż potrafi kochać. (...)

Zwabiła go pokojem, który miała na wynajem. Niedrogo. Brakowało jej na rachunki i na wychowanie dwóch córek, z którymi mieszkała. Wprowadził się i zajął gotowaniem. Popisowe danie? *Arroz con coco* – ryż z kokosem. (...)

Wróciły marzenia z dzieciństwa. O ślubie i sukni z welonem.



Bojowniczką FARC – przede wszystkim żołnierzka, w drugiej kolejności kobieta.

– Kup mi obrączkę – rozkazała, gdy leżeli w łóżku.

Nie śpieszył się, więc zrobiła to sama. Kupiła obrączkę i oświadczyła się Regisowi. Tak, ona jemu. On w końcu przyklęknął i założył jej tę obrączkę na palec – dokładnie tak, jak w jej dziecięcych snach. (...)

A potem zadzwonił telefon. Człowiek po drugiej stronie proponował jej udział w panelu dyskusyjnym. Prosił, by opowiedziała o swoim życiu w selwie, o FARC. Wyszło dobrze, padły kolejne propozycje. Dostawała za to coraz większe pieniądze. Yineth nabierała doświadczenia, coraz lepiej radziła sobie w kontakcie z publicznością. Nigdy nie była nieśmiała, teraz nabrała trochę scenicznej ogłady. Podczas spotkań opowiadała o życiu w selwie. Szczerze, bez upiększania. Również o tym, że najgorsze, co można byłoby teraz zrobić, to udawać, że te wszystkie zbrodnie FARC nie miały miejsca. Albo je rozgrzeszać. Mówiła o tym, że nie ma żalu do świata, do społeczeństwa. O tym, jak trudne doświadczenia ze służby w FARC można przekuć w pozytywne działanie na rzecz lokalnych społeczności i jak ustrzec dzieciaki przed powtórką z niedalekiej w końcu historii. Ale

nie zawsze było łatwo. Na jednym ze spotkań, młody chłopak zaczął krzyczeć, że wszystkich partyzantów trzeba zesać na bezludną wyspę. Niech tam sobie urządzają życie. Że w Kolumbii nie ma dla nich miejsca.

Zaczęto ją zapraszać na wielkie międzynarodowe konferencje. W Meksyku, na konferencji „Od wojny do miłości”, mówiła o sile przebaczenia. O tym, że często myśli o ofiarach FARC. O ich rodzinach. O tym, że chciałaby im wszystkim powiedzieć „przepraszam”. I nie ma znaczenia, że to była wojna. Nie ma usprawiedliwienia.

W Chicago po jej prelekcji – wspólnej z dwiema innymi kobietami – widzowie płakali. W opisie spotkania napisano: „Świadectwo Yineth Trujillo pozwala spojrzeć na partyzantów zarówno jako sprawców, jak i ofiary tej wojny. Jako na tych, którzy używali karabinów niekoniecznie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że zostali do tego zmuszeni”. (...)

Gdy patrzy w lustro, widzi dużo młodszą kobietę niż 10 czy 12 lat temu. Nie jest już młodocianym wrakiem, jakim była, wchodząc w dorosłość. (...) W szufladzie trzyma gotową już książkę „Sombras y sueños” (Cienie i marzenia), która jest jej opowieścią o dzieciństwie i dorastaniu. – Musiałam się rozliczyć ze światem – mówi. To całe pisanie było dla niej *katharsis*. Musiała to zrobić, by zrozumieć swoje dzieciństwo w Caquetá, by zrozumieć matkę, ojczyzna, całą resztę.

Yineth Trujillo uśmiecha się, oczy jej błyszczą. Rysuje na kartce i wylicza na palcach.

Ma w domu:

1. kochającego męża,
 2. dwie wspaniałe córki (osiem i 12 lat),
 3. ogromny telewizor.
- Marzenia jednak się spełniają.

Fragmenty książki
Macieja Wesołowskiego
Café Macondo.
Reportaże z Kolumbii,
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2018



Jak sypał gang „Klapy”

Grupa miała jasno sprecyzowany cel – porwania dla okupu. Przestępcy funkcjonowali jak niewielka korporacja, gdzie każdy miał swoje miejsce



Krzysztof Wójcik

Gdańsk, listopad-grudzień 2001

Józef Przemyski miał niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu. Gęsta siwa czupryna dodawała mu powagi. Siedział przy stoliku w restauracji „Kubicki” przy ulicy Targ Rybny na Starym Mieście w Gdańsku. Dopiero gdy wstał, zauważało się jego niski wzrost, zwłaszcza przy mierzącym prawie metr dziewięćdziesiąt podinspektorze Schutzem. Uśmiechnął się, gdy policjant podawał mu rękę. Schutze znał się z Przemyskim od marca tego roku. Nawet faceta polubił.

Przemyski był właścicielem trzech kantorów i dwóch sklepów jubilerskich w Gdańsku. Wszystkie w świetnej lokalizacji na Starym Mieście. Choć dysponował dużym majątkiem, mieszkał w bloku na Przymorzu i nie chwalił się ochroną.

Z Schutzem poznali się po porwaniu, które przeżył biznesmen.

Pod koniec lutego czterej mężczyźni napadli go przed domem na Chłopskiej. Pobili metalowymi rurkami i wsadzili do czarnego mercedesa. Więzili i torturowali w domku letniskowym w Ocyplu, a następnie wywieźli do Jankowa pod Gdańskiem. Przestępcy tak brutalnie wymuszali zeznania, że złamali Przemyskiemu nogę. Zostawiali go na wiele godzin przykutego do kaloryfera. Przez niemal cztery tygodnie Przemyski nic nie widział: bandyci owinięli mu głowę bandażem, na który naciągnęli gumowy czepek do pływania. Trzymali go prawie miesiąc. Zwolnili, gdy dostali 400 tys. dol. Pieniądze wypłacił zaufany pracownik jubilera.

Wiedząc, co przeżył Przemyski, Schutze patrzył na niego z podziwem.

– Mamy przełom w śledztwie. Człowiek, którego aresztowaliśmy krótko po tym, jak odzyskał pan wolność, chce sypać. Sam zaofero-

wał pomoc. Początkowo do niczego się nie przyznawał. Liczę, że nie ściemnia. Wie, że grozi mu 15 lat więzienia, i nie chce kiblować do pięćdziesiątki.

– Cieszę się, ale chyba nie z tego powodu się widzimy?

– Zgadza się. Chciałbym, żeby pan w najbliższym czasie nie wyjeżdżał. Jest duże prawdopodobieństwo, że będziemy zatrzymywać różnych gości, w tym pańskich porywaczy. Będziemy robić konfrontacje i zależy nam, żeby był pan na miejscu.

– Jasne. Nie ma problemu. Na pewno tych sk... rozpoznam. Cały czas mam w głowie głosy co najmniej trzech gnoi.

Schutze spotkał się z Przemyskim, żeby się upewnić, czy przypadkiem jubiler nie będzie chciał wycofać zeznań. Musiał też wybadać, czy porywacze nie zastraszają swojej ofiary.

– Muszę wiedzieć, czy ktoś panu groził po wypuszczeniu na wolność i zeznaniach w prokuraturze.

– Nie. Żyję spokojnie. Nie miałem żadnych telefonów ani anonimów. Wszystko potwierdzą. Chcę tym sk... spojrzeć w twarz. Zrobię wszystko, żeby ich wsadzić do więzienia.

– Jasne. Cieszę się, że pańskie podejście się nie zmieniło. – Podinspektor wiedział, co mówi. Ileż to razy się zdarzało, że ofiary gangów nagle dostawały amnezji. – Będę pana na bieżąco informował. Będziemy w kontakcie. – Schutze dopił kawę i wstał od stolika.

Przemyski zagłębił się w lekturze „Dziennika Bałtyckiego”, który przyniósł ze sobą.

Następnego dnia rano podinspektor pojechał do więzienia o zaostrzonym rygorze w Sztumie. Tam siedział podejrzany o porwanie jubilera Waldemara Miłski. „Terminator”, bo tak wołano na Waldka w mieście, wchodził w wiek chrystusowy. Był świetnie znany w półświatku. Należał do bandy, która w połowie lat 90. terroryzowała trójmiejskie knajpy i burdele.

Schutze nie musiał długo czekać na Miłskiego. Od razu zauważył, że z jego twarzy zniknęła hardość cechująca go zaraz po zatrzymaniu.

„Terminator” wydawał się też spokojniejszy niż zwykle. Na wolności słynął z zamykania do koks, a narkotyki mieszane ze sterydami powodowały, że potrafił być nadzwyczaj porywczy. Nawet dilerzy dostarczający mu towar obawiali się go, bo nigdy nie było wiadomo, co Waldkowi strzeli do głowy. Kelnerzy w knajpach, gdzie rozbijał się z kumplami, po prostu się go bali. Nie przypadkiem wołano na Waldka „Terminator”.

„Kłapa” nadawał robotę i zależnie od dostępności dobierał ekipę na porwanie.

Teraz jednak Miłski był cieniem siebie sprzed kilku miesięcy. Podczas pobytu w więzieniu schudł kilkanaście kilogramów i bardziej przypominał więźnia obozu koncentracyjnego niż groźnego bandziora.

– No, misiu, chciałeś się spotkać.

– Tak, będę gadał. Powiem wszystko, tylko chcę mieć gwarancję, że dostanę „sześćdziesiątkę” albo świadka koronnego. Wsadzicie mnie też na celę, tak żebym miał ochronę. Oni mnie zabiją, bo nie chodzi o jedno porwanie, ale o kilkanaście podobnych spraw. Nie chcę, żeby na tym etapie

dowiadawał się o czymkolwiek mój adwokat czy inne osoby. Wszystko, co powiem, ma zostać między mną a prokuratorem.

– Dobra. Pomyślimy. Wszystko da się zrobić. Ale jak będziesz ściemniał, to jeszcze większy wpierdol dostaniesz.

– Panie inspektorze, pan mnie zna. Nie będę siedział w pierdлу, kiedy „Kłapa” za moją kasę bawi się w Niemczech. Pojadę ze wszystkimi. Będziecie mieli materiał nie tylko na porwanie, ale i na morderstwa.

Gang Thomasa Klemensa „Kłapy” działał regularnie od 1998 r.

– Hm... Co konkretnie?

– Przyznam się do porwania Przemyskiego.

– Chłopaku, w tym przypadku mamy na ciebie takie dowody, że nie musisz się przyznawać. Co dasz więcej?

– Szczegółowo opiszę porwanie jubilera. Powiem, kto oprócz „Boryny” brał w nim udział. Chłopaki obserwowali tego biznesmena co najmniej trzy miesiące przed uprowadzeniem. Jeździliśmy za nim. Mieliśmy kilka prób, ale dopiero w lutym udało się go wyrwać.

– Czemu tak długo to trwało?

– Z tego, co wiem, dwaj koledzy mieli kłopoty z wystawieniem Przemyskiego, bo często go gubili. Na początku lutego 2001 r. czekaliśmy pod blokiem na Chłopskiej. Siedzieliśmy w audi A8 do dziesiątej wieczorem i nic. Kiedy sprawdziliśmy, pod blokiem stała brava Przemyskiego.

Poszliśmy do chłopaków, którzy mieli go wystawić, i okazało się, że goście siedzą w aucie i chleją browary. „Johnny” się wkurwił i powiedział, żeby spierdalali, bo tak się nie da pracować. Kilka dni później udało się wyrwać jubilera.

– Wiedzieliście, że złamaliście Przemyskiemu nogę?

– Tak, ale ja w tym nie brałem udziału – wybielał się „Terminator”. – Porwałem Przemyskiego, ale nie uczestniczyłem w przesłuchiowaniu. „Fąfel” z „Johnnym” go męczyli. Jak zauważyliśmy, że ma złamaną nogę,

to przez znajomego taksówkarza zamówiliśmy środki przeciwpalnicze i przeciwbólowe.

– Czemu trzymaliście go prawie miesiąc?

– Nie chciał płacić. Gdyby dał kasę od razu, tobyśmy go szybciej wypuścili. Przemyski w końcu dał nam telefon do swojego współpracownika i wynegocjowaliśmy 400 tys. dol. okupu. Jubiler kazał sprzedać część złota i pożyczyć gotówkę od jakiegoś ziomka. Negocjowaliśmy też z jego córką. Wiedzieliśmy, że musimy się

śpieszyć. Przemyski źle się czuł i baliśmy się, że nam wykituje. Długo trwały negocjacje, ale w końcu dostaliśmy kasę na trasie między Cieczewem a Przodkowem. U mnie na kwadracie znaleźliście dolary.

– Wiemy, co znaleźliście. Dobra, co jeszcze dasz?

– Już wcześniej brałem udział w porwaniach i wymuszeniach okupu za uprowadzone osoby. W kwietniu 2000 r. po wyjściu z kryminału zaprosił mnie do siebie „Cielak”. Tam poznałem „Fąfla”, „Marię”, „Johnny’ego” i „Talusa”. „Kłapę” znałem już wcześniej. Nie miałem kasy, więc zaproponowali mi wejście do spółki. Zaczęliśmy od szefa „Maxa”. Od niego wymusiliśmy 10 tys. dol., bo jego kelner sprzedał mi trefny towar. Miała być kokaina, a dostałem amfetaminę, po której wylądowałem w szpitalu. „Kłapa” powiedział, że gość musi zapłacić za oszustwo. Początkowo nie chciał, ale jak wjechał do klubu i wylaliśmy benzynę z kanistrów, to zdecydował się zapłacić. Chcieliśmy mu jeszcze wpierdolić, ale gdzieś się ukrył. We wrześniu porwaliśmy dilerę, który pracował dla Wojtka Tuły. On rozprowadzał kokainę. Zadzwoniliśmy do niego, nie mówiąc, o co chodzi. Powiedziałem tylko, żeby podjechał pod stadion Lechii na Traugutta. Stamtąd go uprowadziliśmy i wywieźliśmy na Janki. Tuła zapłacił 150 tys. zł i wypuściliśmy gościa. Miesiąc później porwaliśmy Sławka z Żukowa. On z kolei hurtowo handlował kokainą. Trzymaliśmy go trzy dni. Jego brat zapłacił 100 tys. dol. Później podobną kasę dostaliśmy za syna właściciela dużej firmy budowlanej.

► – Sławek Mindak to też wasza sprawa?

– Tak. Nie brałem udziału w tej robocie, ale chłopaki mi opowiadali. Poza tym na stację benzynową na Kaszubach przywiozłem topaty i wapno. Dowiozłem im też wiertarkę bezprzewodową, bo potrzebowali jej do wymuszenia od Mindaka numerów kont. Z tego, co mówili, to dostali 200 tys. dol., choć początkowo chcieli milion. Stopniowo zjeżdżali z ceny, bo rodzina i znajomi nie mieli takiej kasy. Potem u chłopaków widziałem dużo dolarów. To musiał być okup za uprowadzonego. „Cielak” mi mówił, że trzymali Mindaka w kanale w garażu. Skuli go chujowymi kajdankami i Sławek bodając dwa razy się oswoił. „Cielak” się skarżył, że napierdzielił się na maksa przy kopaniu dołu na Mindaka. Podejrzewam, że mogli go pochować w tym kanale, ale tego nie wiem. Śmiali się, gdy wspominali, że Sławusia trzymali w kanale nago o chlebie i wodzie...

– To wszystko?

– Wskażę wam, gdzie na Kaszubach wynajęli domek letniskowy na przetrzymywanie Mindaka. Byłem tam dwa razy, więc na pewno trafię. Minęło trochę czasu, ale wiem, jak wyglądał domek. Pamiętam, że gdy z „Fąflem” jechałem do Niemiec, to zatrzymaliśmy się w barze przed

informacje o miejscu, gdzie „Jodkins” jeździ na urlop. Tam planował go odstrzelić. „Mario” z tego spotkania już nie wrócił. Mirek wystawił go zabójcom. Po śmierci Mindaka to „Jodkins” zaczął rządzić półświatkiem w Gdyni.

– OK. Trochę tego jest. Jak będziesz gadać na protokół, to powiedz prokuratorowi, że chcesz wchodzić w małą koronę.

Miał taki autorytet, że kierował gangiem z Niemiec, a przez kilka miesięcy dzwonił do współników z więzienia.

„Terminator” odpowiedział poważnie:

– Pomyślę jeszcze o szczegółach tych porwań.

Trzy dni trwały przesłuchania Waldemara Miłskiego. „Terminator” dotrzymał danego słowa. Aresztowany z nim „Boryna” nadal milczał, ale podinspektor Schutze był pewien, że wkrótce również zacznie mówić.

Gang Thomasa Klemensa „Kłapy” działał regularnie od 1998 r. Grupa miała jasno sprecyzowany cel działalności – porwania dla okupu. Przestępcy funkcjonowali jak niewielka korporacja, gdzie każdy miał swoje miejsce. Porwanie Józefa Przemyskiego było niejako wypadkiem przy pracy.

wej tablicy rozrysował listę porwań i poprzyklejał zdjęcia bandytów, którzy brali w nich udział. „Fąfel”, „Plastik”, „Mario”, „Terminator”, „Cielak” i „Talus” to tylko najbliżsi kumple. „Kłapa” nadawał robotę i zależnie od dostępności dobierał ekipę na porwanie. Miał taki autorytet, że kierował gangiem z Niemiec, a przez kilka miesięcy dzwonił do współników z więzienia. Rozkazywał im telefonicznie

albo osobiście. Członkowie gangu przyjeżdżali na audjencje do Berlina, gdzie mieszał „Kłapa”. Kiedy on sam nie mógł rozmawiać, przekazywał dyspozycje przez żonę Annę, do której od lat miał stuprocentowe zaufanie. On decydował, kto zostanie porwany, jak będzie przebiegała akcja, a potem dzielił zyski.

Podinspektor Schutze odwiedził też w więzieniu Tomasza Lipkę. „Plastik”, bo tak na niego wołano, podobnie jak „Terminator” postanowił współpracować z policją. Nie chciał dłużej siedzieć w więzieniu i opowiadał o wieloletniej działalności przestępczej. Wypałał prawie 300 osób z różnych grup przestępczych.

– Przez ostatnie lata utrzymywałem się z kradzieży, porwań i wymuszeń. Z „Kłapą” lubiłem współpracować, bo jasno precyzował, co należy zrobić, a jak nadawał robotę, to z reguły wypalała. Moja dziewczyna dokładnie nie wiedziała, czym się zajmuję, bo wychodziłem z domu jak do normalnej pracy. Jak musiałem zostać w nocy, bo akurat kogoś porwaliśmy i trzeba było popilnować, to dzwoniłem i tłumaczyłem, że muszę dłużej zostać na delegacji, bo negocjacje się przedłużają.

W ciągu kilku tygodni funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego zatrzymali „Fąfla”, „Johnny’ego” i „Talus”. Na wolności przebywał jedynie „Kłapa”. Ukrywał się w Niemczech.

Porwany nic nie widział: bandyci owinęli mu głowę bandażem, na który naciągnęli gumowy czepek.

granicą. Stała tam szafa grająca. „Fąfel” wrzucił monetę i wybrał kawałek „Chałupy welcome to”. Śmiał się, że puszczał go Mindakowi, gdy wyszali od niego zeznania. On miał taki film, że porwanym nastawiał Radio Maryja albo w kółko puszczał ten sam kawałek. Mindaka zmuszał do słuchania piosenki Wodeckiego, bo go porwali z pola kempingowego w Chałupach. Też miałem być w grupie, która go uprowadzi, ale gdy chłopaki robili przygotowania, to akurat siedziałem. Z tego powodu nie wzięli mnie na robotę.

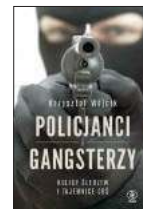
– Hmm... – westchnął Schutze.

– Tomasz Romanow *vel* „Mario” został zastrzelony za to, że chciał się pozbyć „Jodkinsa”. „Mario” robił rozpoznanie w tej kwestii. Osobiście zawiozłem go na spotkanie z jakimś Mirkiem, który miał przekazać jakieś

„Kłapa” na swoje ofiary wybierał ludzi miasta – dilerów czy hurtowych handlarzy narkotykami. To dawało dużą przewagę nad porwaniami „zwykłych biznesmenów”. Tacy ludzie rzadko zgłaszali się na policję. Woleli załatwić sprawę w swoim gronie, zwłaszcza że potem mogłyby się pojawić pytania, skąd mieli taką gotówkę. Mindak, dilerzy czy hurtownicy w ogóle nie informowali policji. Woleliby się ewentualnie zemścić w inny sposób, choć „Kłapa” miał opinię nieobliczalnego psychopaty i spora grupa przestępców po prostu się go bała. Klemens był twardym szefem. Cieszył się autorytetem i charyzmą pozwalającą okiełznać bandę zdecydowanych na wszystko mięśniaków.

Schutze kilka dni analizował wyjaśnienia „Terminatora”. Na kartono-

Fragment książki
Krzysztofa Wójcika
Policjanci i gangsterzy.
Kulisy śledztw i tajemnice CBS,
Rebis, Poznań 2019



Polka na salonach

No to porozmawiajmy o sukcesach Polski (pisowskiej) na arenie międzynarodowej.

Pierwszy sukces, z którego bardzo dumny jest premier Morawiecki, odnieśliśmy 20 czerwca, podczas niedawnego szczytu Unii Europejskiej. Polska razem z Węgrami, Czechami i Estonią zablokowała przyjęcie zapisu o dążeniu do osiągnięcia przez Unię neutralności klimatycznej do 2050 r. Co znaczy owa neutralność klimatyczna? Otóż do roku 2050 państwa Unii miały tak przekształcić swoje gospodarki, by bilans emisji i pochłaniania gazów cieplarnianych, w tym dwutlenku węgla, wychodził na zero.

Ważne tu były dwa elementy – sprawa katastrofy klimatycznej oraz smogu, którego ofiarą padają rocznie tysiące Polaków. Ale co tam, Morawiecki porozumienie zablokował, pewnie myśląc, że zasłuży na oklaski od lobby górniczego. I zasłuży! Tylko raczej od lobby importerów rosyjskiego węgla, którego z roku na rok kupujemy coraz więcej.

Polska węglem stoi! Rosyjskim... No i jest najbrudniejszym krajem Europy. Brudnym w powietrzu i na ziemi, ponieważ, jak mówią dane, jesteśmy też rekordowym importerem śmieci. W roku 2018 przywieziono ich do Polski 434 tys. ton. Trzy razy więcej niż w roku 2015. Biznes się kręci.

A co Polska daje światu? Miała dać Beatę Szydło, która kandydowała do Parlamentu Europejskiego, żeby wnieść do Europy wyznawane przez PiS wartości. Początkowo planowano nawet, że PiS wystawi jej kandydaturę na unijnego komisarza. Ale Beata Szydło w przypływie zdrowego rozsądku odmówiła – bo trudno pełnić tę funkcję, jeśli angielski zna się na poziomie *I am, You are*. Miała też być wiceprzewodniczącą europarlamentu, ale również w tym

boju poległa. Za to już wie, gdzie jest jej skrytka na pocztę i dokumenty. Brawo!

Tego, że obecna Polska jest coraz mniej komukolwiek potrzebna, że traktuje się ją na zasadzie: tu jest pani skrytka, poza tym dziękujemy, dowodzi jeszcze jedno wydarzenie. Otóż szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini ogłosiła nominacje na ambasadorów UE. Do obsadzenia były 43 stanowiska. Żadnego nie obejmie polski dyplomata. Było kiedyś 27:1, teraz mamy 43:0. To już nie jest hokej, to raczej rugby. Kiedy seniorzy grają z juniorami.

Kłeska polskiej dyplomacji jest oczywista, bo zawsze tych kilku ambasadorów w unijnej dyplomacji mieliśmy. W Arabii Saudyjskiej, w Indiach, na Jamajce, w Armenii...

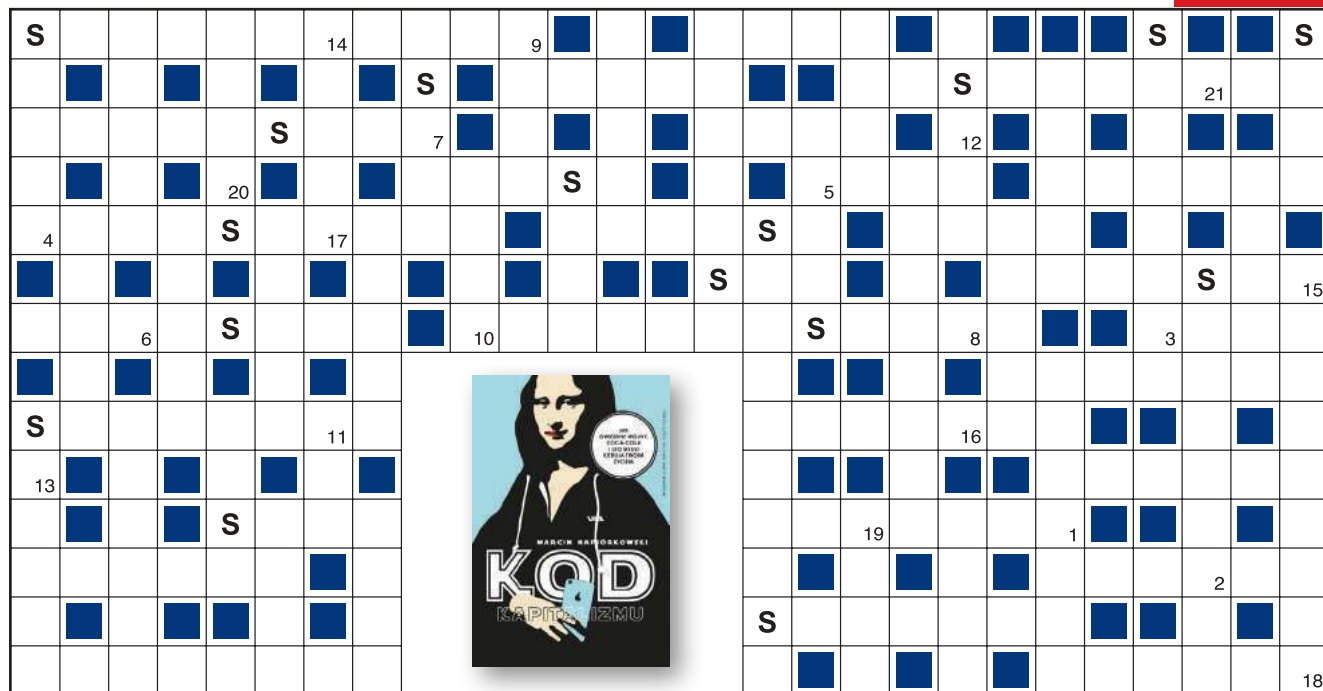
Czy w związku z tym zarządzono jakiś alarm w MSZ? Ależ skąd, wręcz przeciwnie. Oto bowiem minister Czaputowicz dokonał reinterpretacji treści art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej, stanowiącego o wartościach Unii: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne Państwom Członkowskim”. To Czaputowicza nie obowiązuje. On mówi tak: „Polska opowiada się za obroną wartości, które legły u podłoża integracji europejskiej, takich jak równość, sprawiedliwość, demokracja, poszanowanie suwerenności i nieingerencja w sprawy wewnętrzne innych państw”.

Dla niego głównym punktem jest „nieingerencja w sprawy wewnętrzne”. Jak w czasach PRL. Na zasadzie: my od was nic nie chcemy, a wy o nas zapomnijcie.

Attaché



Na skurcze łydki – masażysta, a banan... na skurcze żołądka? Scenka z meczu między Anglią i Australią podczas mistrzostw świata w krykiecie, Londyn.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- jego stworzenie na fresku Michała Anioła
- zespół sprzężonych na stałe maszyn
- pozyskiwany z rud uranowych
- ...vincit omnia
- farmaceutka
- według niego Boga nie ma
- w holenderskiej cenę wywoławczą się obniża

- mazgai się
- diabeł z zamku w Łęczycy
- w niej Kościuszkę na obrazie w Soplicowie
- dawniej o doświadczo-nym, przebiegłym
- całkowicie zniszczenie, rozpad
- Czarny w powiecie nowotarskim

- kształt świata u Terry'ego Pratchetta
- gaz w ropie naftowej
- faza, stadion, tura
- Karst – pisarka, Świętek – tenisistka
- ipsylon
- wkłada kapitał w przedsiębiorstwo
- imię autorki „Wyznań gorszytelki”
- ...Michałika w Krakowie
- i wyspa, i motocykl
- najstarsze polskie studio produkcji filmów
- tam urzędują policjanci
- ...Jankiela w „Panu Tadeuszu”
- do robienia odbitek tekstów
- bania albo turecka
- gra od nazwy portugalskiej kolonii w Chinach

- jego zadaniem łączenie arkuszy blachy
- „...w domu i zagrodzie” była kiedyś w telewizji
- wartki w rzece
- błędny nad bagnami
- zdiagnozuje uraz kości strzałkowej
- jest fizyczna, duchowna, dramatu
- okoliczności towarzy-szące wydarzeniu
- ze Świerkiem i Śródborowem
- ...władzy marszałkow-skiej to buława
- papka, breja
- wzniosłość, koturn
- w dawnym wagonie tramwajowym przedni lub tylny
- synowie i córki
- stolica Maroka
- po równo w meczu
- wydzielina w ranach, wrzodach
- spotęgowana przyjemność

- paczka papieru do drukarki
- Kolumnowa w Sejmie
- tworzywo skóropodobne
- bankowy to trezor
- ingredienca
- złącze spod palnika
- latający Hindenburg
- pracownica obsłu-gująca pasażerów w samolocie
- komplet procentów
- plynie z wolna w piosence harcerskiej
- niezależność w stosunkach międzynarodowych
- ciemnoświaty koń, czarny ptak
- na niego – ostrym końcem do góry
- z surowego mięsa
- posag i wyprawa panny młodej
- zauwania albo nieufności
- zamyśl, intencja
- w wazie wjeżdża na stół

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-915”. Do rozlosowania książki „Kod kapitalizmu” ufundowane przez Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 lipca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-912” z 16 czerwca: *Chciwym zawsze mało.*
Nagrody otrzymują: Rafał Cichocki z Konstancina-Jeziorny, Henryka Cwalińska z Ełku, Grzegorz Jóźwik z Legnicy.

PENETRACJE

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. JACEK BOMBA,
PSYCHIATRA
I PSYCHOTERAPEUTA, UJ

Jeśli nasz mózg tworzy w różnych kulturach ten sam wzór dążenia do niemożliwego w życiu zjednoczenia dwóch osób w całość, dlaczego w naszej kulturze nie powstały, a w każdym razie nie są powszechnie znane historie miłości takiej jak miłość Tristana i Izoldy czy Petrarki i Laury, które wyrażają tę uniwersalną ideę? Czyżby Polacy mieli aż tak odmienne mózgi? I tworzą one inne ideały?

PLAYBOY **MICHALINA**
OLSZAŃSKA-ROZBICKA,
AKTORKA

Jestem zwolenniczką tego, by we wszystko wątpić. W to, co usłyszymy i przeczytamy, a nawet w to, co myślimy na swój temat. Tak nawet dla oczyszczenia samego siebie, dla ćwiczenia, warto obrócić swój punkt widzenia o 180 stopni. Może zobaczyć wtedy coś całkowicie innego. Mnie zawsze nurtowała psychologia, mechanizmy powodujące człowiekiem. Co prawda, nie poszłam w tym kierunku, ale aktorstwo ma w sobie pełno takich elementów. Ludzie jako gatunek są tak interesujący i dziwni. A najlepsze, co nas spotyka, jest zaskakujące. Życiu trzeba dawać się zaskoczyć.

WO

ALEKSANDRA KURZAK,
ŚPIEWACZKA OPEROWA

Uwielbiam występować z Roberto Alagną, bo on jest artystą totalnym – prawdziwym, emocjonalnym, świeżym – a to zdarza się rzadko. Oboje lubimy trochę improwizować na scenie, oczywiście w granicach rozsądku, lubimy, żeby spektakl trzymał nas w napięciu, lubimy się zaskakiwać. To jest zazwyczaj coś małego – zmiana gestu, spojrzenia, krok nie w tę stronę. Bywają śpiewacy, którzy chcą mieć wszystko poukładane, którzy nie lubią takich zaskoczeń, ale akurat my to lubimy.

PANI **JACEK PONIEDZIAŁEK,**
AKTOR

Od dwóch lat jestem sam. Po ostatnim rozstaniu myślałem, że sprzedam mieszkanie – za dużo było rzeczy, które mi go przypominały, ale potem poczułem wolność i spokój. Ból na szczęście mija. Nic nie musimy robić. Bardzo dużo kochałem. Byłem w paru związkach i poznałem miłość, byłem kochany, chyba nadal jestem... Doświadczyłem wielu rodzajów i poziomów miłości. Ale w tym momencie wydaje mi się, że najbardziej liczy się autentyczność i wierność sobie. Wokół jest tyle pozorów i kłamstw. Dlatego właśnie najbardziej cenimy i kochamy tych, którzy są sobą, są prawdziwi.

Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ FRISZKE O WŁADZY PiS

Nienawidzi się ekspertów, wiedzy, buduje się społeczeństwo antyintelektualne, antyinteligencje i antyoswiatowe.

PROF. JADWIGA STANISZKIS
O ANDRZEJU DUDZIE

To jest nieciekawý człowiek i nieskuteczny prezydent.

KRYSTYNA JANDA O MILCZENIU

Milczenie to ciche przyzwolenie, a na pewne sprawy przyzwolenia po prostu być nie może.

ADAM ZAGAJEWSKI O INTELEKTUALISTACH

Tych paru będących po stronie PiS nie podejmuje dyskusji i obrzuca opozycję obelgami.

JAN PESZEK O SYNU BŁĄŻEJU

Zawsze dużo czasu zajmuje nam wybór restauracji, a jeszcze więcej studiowanie menu. Bardzo długo się zastanawiamy, co wybrać, to naprawdę poważne decyzje.

MARIA SEWERYN O OJCU ANDRZEJU

Oboje z tatą mamy podobną przypadłość, potrafimy pracować non stop, gdy nasi partnerzy śpią.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O KSIĘŻACH

Nigdy nie lubiłam tzw. fajnych księży, co to poświńtuszą i popiją.

BEATA ŚCIBAKÓWNA
O MĘŻU JANIE ENGLERCIE

Podziwiam jego łatwość uczenia się, parę razy przeczyta tekst i już go umie.

SŁAWOMIR ZIĘBA-DRZYMAŁSKI
O MAGDALENIE SCHEJBAL

Jest jak halny. Potrafi wyzwolić wielkie emocje, ale też przynieść nagle spokój i oczyszczenie atmosfery.

ANNA DERESZOWSKA O SYNU MAKSI

Ma niecałe cztery lata, a potrafi obrać ziemniaki, usmażyć kotlety czy ukroić i nałożyć sobie rzeczy na kanapkę.

KATARZYNA NOSOWSKA
O ŻYCIU TOWARZYSKIM

Zawsze mieliśmy mnóstwo gości, było wiele imprez i dla nas to się źle skończyło.

SZYMON MAJEWSKI O MAMIE

Była nieustraszona, nieugięta, zwłaszcza gdy chodziło o mnie. Poszła za mnie nawet na komisję wojskową.



Nawet tapirowi znanemu z grubej skóry, któremu na dodatek nie powinien być obcy klimat tropikalny, przyda się balsam do opalania – zoo w Hodenhagen, Niemcy.

FOT. AP/EAST NEWS

Szczęśliwi czasu nie liczą

Mieszkańcy niewielkiej wyspy Sommarøy w północnej Norwegii dążą do uznania jej za strefę wolną od czasu. Jak tłumaczą, poczucie „uwięzienia w zegarze” jest na całym świecie częstą przyczyną stresu i depresji. – Naszym celem jest zapewnienie pełnej elastyczności, 24 godziny na dobę. Jeśli chcesz kosić trawnik o godz. 4 nad ranem, możesz to robić – argumentuje Kjell Ove Hveding, lider kampanii na rzecz zniesienia czasu. Warto wspomnieć, że między 18 maja a 26 lipca ze względu na położenie geograficzne słońce w ogóle na wyspie nie zachodzi, a od listopada do stycznia – nie wschodzi.

Szydełkiem w rasistę

Portal Ravelry, skupiający 8 mln miłośników szydełkowania, robienia na drutach i tkactwa, uzupełnił regulamin o zakaz wyrażania poparcia dla obecnego prezydenta USA. Obejmuje on publikowane posty, projekty i wzory oraz informacje zamieszczane w sekcji „O użytkowniku”, a jego złamanie grozi zablokowaniem możliwości korzystania z serwisu. Władze portalu tłumaczą, że ich decyzja nie jest równoznaczna ze zwalczaniem republikanów lub popieraniem demokratów, lecz wynika z niezgody na rasizm Trumpa i jego współpracowników.

I jak, zapiekło?

Za przywódcą Stanów Zjednoczonych wyraźnie nie przepada także internetowy satyryk Elijah Daniel. Na złość politykowi czasowo wykupił niewielką osadę Hell, czyli Piekło, przemianował ją na Gay Hell – Gejowskie Piekło, a następ-



nie zakazał wywieszania w niej flag innych niż tęcza. Był to rewanż za sprzeciw Białego Domu wobec dekorowania takimi flagami amerykańskich ambasad z okazji Miesiąca Dumy LGBT. To kolejna akcja Daniela wymierzona w Trumpa. Przykładowo w 2016 r. opublikował gejowskie opowiadanie erotyczne z miliarderem w roli głównej.

Było i nie ma

Mieszkańcy obwodu murmańskiego zawiadomili policję o zniknięciu... centralnej części mostu kolejowego nad rzeką Umbą. Zdaniem przedstawicieli służb 23-metrowy fragment nieczynnej przeprawy, ważący 56 ton, został skradziony przez złodziei. Jedną z rozważanych wersji wydarzeń głosi, że złodzieje spowodowali załamanie się mostu, a później kawałek po kawałku wyciągnęli go z rzeki.

Bo Einstein też była kobietą

Uniwersytet Techniczny w Eindhoven postanowił wesprzeć globalne wysiłki na rzecz równouprawnienia poprzez zatrudnianie wyłącznie kobiet. Mężczyźni nadal będą mogli się ubiegać o pracę i ją dostać, pod warunkiem że w ciągu pół roku od jej rozpoczęcia nie pojawi się odpowiednia kandydatka na ich miejsce. Uczelnia postanowiła ponadto, że każda z nowo zatrudnionych otrzyma 100 tys. euro na założenie laboratorium lub rozpoczęcie programu badawczego, a także będzie wspomagana specjalnym programem doradczym.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Trzy gracje: Anno Domini 1938 w wizji Aristide'a Maillola, Muzeum Hyacinthe Rigaud, Francja, oraz Anno Domini 2019 w obiektywie Mahmuda Turki, Libia.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPL, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Tort na Nobla – a nawet dwa

Mieszkanka Anglii poinformowała znajomych, że marzy o torcie urodzinowym z wizerunkiem ulubionej piosenkarki. Sporą niespodzianką musiało być dla niej zatem ciasto z podobizną prekursora radiochemii, Marii Skłodowskiej-Curie. Znajomi jubilatki źle ją bowiem zrozumieli, o co było nietrudno: Mariah Carey i Maria Curie brzmią po angielsku dość podobnie. „To mogłabym być ja, gdybym nie zaważyła poprawki z matematyki”, skomentowała na Twitterze artystka. Jeśli przyjdzie jej do głowy uzupełnianie wykształcenia, polecamy szkołę w Eindhoven!

Specyficzne imię? Wie coś o tym

46-letnia Amerykanka, Marijuana Pepsi Vandeyck, uzyskała stopień naukowy doktora. Jej dysertacja dotyczyła wpływu typowo afroamerykańskich imion na postrzeganie uczniów przez nauczycieli, a w konsekwencji na ich dalsze szanse życiowe. Pani Marijuana Pepsi, której siostry Robin i Kimberly mają zdecydowanie mniej efektowne dane osobowe, deklaruje dumę z tego, jak się nazywa. Tłumaczy, że nietypowe imię nauczyło ją m.in. tego, że nie warto się zmieniać tylko po to, by odpowiedzieć na oczekiwania otoczenia.



Wyspy morza Tawhaki

**Wystawa fotografii
Anny Twiggy z podróży
do Australii, Tasmanii
i Nowej Zelandii**

Tytuł wystawy nawiązuje do starej maoryskiej legendy, w której bóg Tawhaki wyrusza w pełną niebezpieczeństw podróż przez wzburzone morze, aby uratować ukochaną żonę Hapai. Te wody są dzisiaj znane pod nazwą Morza Tasmana, Maorysi natomiast zwykli je nazywać *Ko te moana tapokopoko a Tawhaki* – wzburzonymi wodami boga Tawhaki. Artystka chciała podkreślić, że trzy wyspy będące głównym tematem zdjęć są uzależnione od rytmu natury, przede wszystkim od przyptyków i odpływów niespokojnego morza. Dzikość, wolność i piękno – te trzy słowa najlepiej oddają charakter fotografii Anny Twiggy.

**Muzeum Azji i Pacyfiku
im. Andrzeja Wawrzyniaka
Warszawa, ul. Solec 24
do 21 lipca**





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE



PROBLEMY DOROSŁYCH TO CIĘŻAR DLA DZIECI.

Razem możemy to zmienić.

SOS Wioski Dziecięce to **opieka zastępcza** oraz **działania profilaktyczne** w ramach **Programu SOS Rodzinie**.

Dowiedz się więcej na: **www.wioskisos.org**

Partner kampanii:



Patronat medialny:



*Na podstawie
bestsellerowej
powieści
Lyndy
Rutledge*

PO RAZ 12
RAZEM:

CATHERINE
DENEUVE
&
CHIARA
MASTROIANNI

PAMIĄTKI CLAIRE DARLING

REŻYSERIA JULIE BERTUCELLI

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



W KINACH OD 5 LIPCA